

Co z tą **opozycją** | Polska **mocarstwem?** | Trucizna **złych wieści** | Lista **płac PiS**  
**Majówka** – dokąd i za ile | **Wieś** się burzy | Żarty **Abelarda Gizy** | Kino **Keanu**

POLITYKA.PL

# POLITYKA

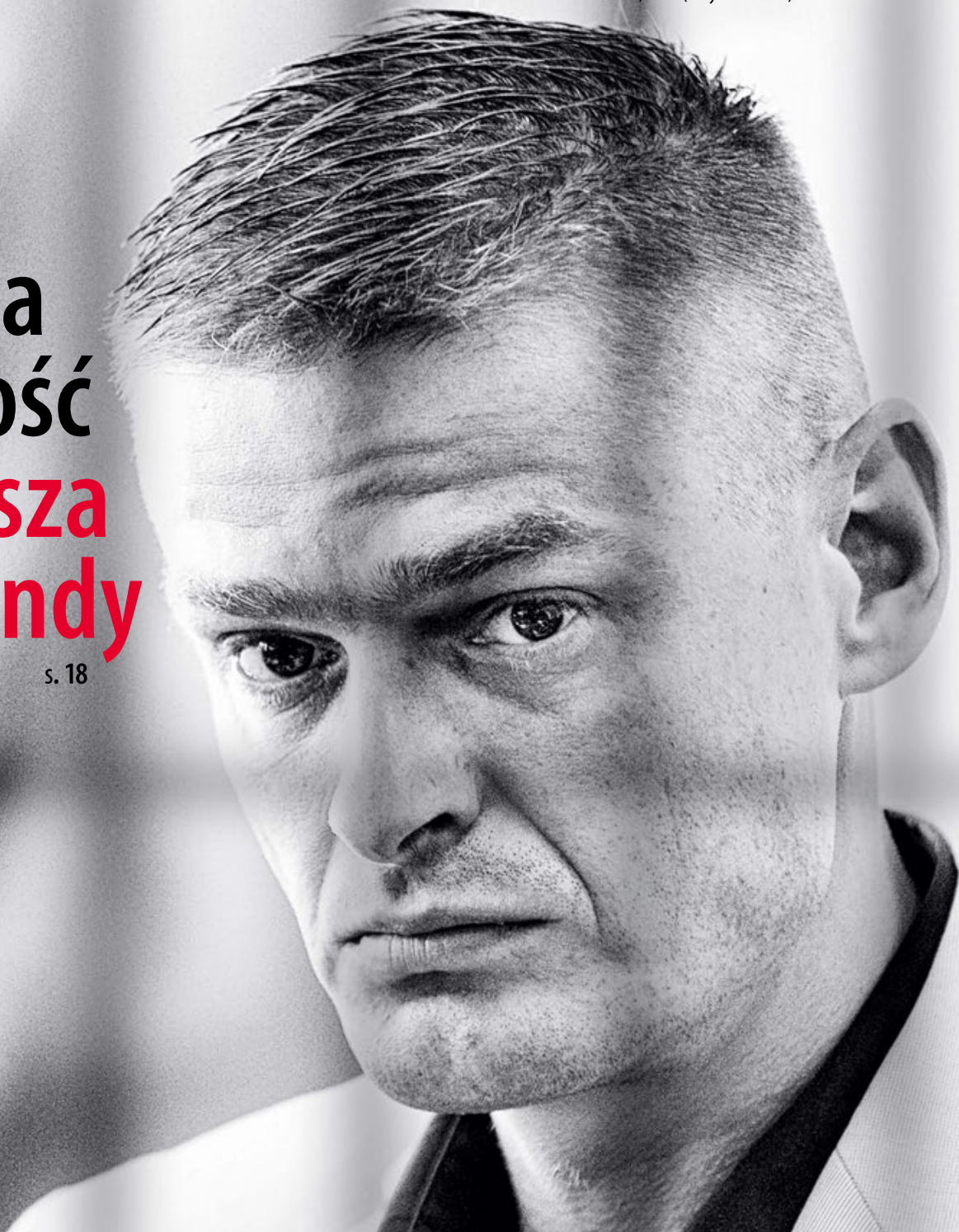
LIDER  
SPRZEDAŻY  
1

TYGODNIK, nr 16 (3410), 12.04–18.04.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

## Trudna wolność Tomasza Komendy

s. 18



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



POLITYKA

# SALON

NR 14

WNĘTRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA



WYDANE SPECJALNE NR 1/2023 CENA 16,99 zł (z tym 8% VAT) HOKA: 381-055

## SZLACHETNE RZEMIOSŁO

**TARGI ANTYKWARYCZNE**  
NA CO POŁOWAĆ  
W EUROPIE

**VINTAGE IS THE NEW BLACK**  
MIESZKANIA, W KTÓRYCH  
ŁĄCZĄ SIĘ EPOKI

**ZIELONE MIASTA**  
OGRODY NA DACHACH  
I DOMY DLA DRZEW

*Do kupienia w dobrych kioskach i na [sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)*

**SALON** *pismo o tym, co nas tworzy*





15

Sny o potędze



22

Sidla złych wieści



92

Zapiski z piekła

## Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin **Niskie stany opozycji**
- 15 Piotr Łukasiewicz **Mocarstwo polskie**
- 18 Katarzyna Kaczorowska  
**Tomasz Komenda:  
zderzenie z wolnością**

## Polityka

- 22 Ronja von Wurmb-Seibel  
o tym, jak media lubią  
straszyć i dlaczego to robią
- 26 Anna Dąbrowska  
**Komu i za co płaci prezes  
– ujawniamy wydatki PiS**
- 29 Norbert Frątczak  
**Wies złorzeczy władzy**



## Społeczeństwo

- 32 Joanna Cieśla **Ukraińscy uczniowie:  
niewidoczni dla polskiego  
systemu edukacji**
- 35 Rozmowa z **Abelardem Gizą** o tym,  
jak politycy zabierają robotę błaznom,  
a żarty zmieniają się w rzeczywistość
- 38 Marcin Kołodziejczyk  
**Bobrowniki: rozmowy  
przy zamkniętej granicy**

## Rynek

- 40 Adam Grzeszak  
**Majówka na bogato:  
dokąd i za ile wyjadą  
Polacy**



- 44 Cezary Kowanda  
**Odzież trudniej sprzedać**

## Świat

- 46 Edwin Bendyk **UKRAINA  
Codzienne życie wojenne**
- 49 Artur Domosławski **NIKARAGUA  
Wypędzona: historia Dory Marii  
Tellez, legendarnej towarzyszkii  
broni Ortegi**
- 52 Filip Gańczak **NIEMCY  
Teczki Stasi i rosyjskie tajemnice**

## Nauka/projektpulsar.pl

- 54 Piotr Panek **Maria Sibylla Merian:  
artystka  
przyrodniczka**
- 57 Rozmowa  
z duńskim urbanistą  
**Janem Gehlem**  
o miastach dla ludzi
- 60 Paweł Walewski  
**Co można  
wyczytać ze śliny**



## Historia

- 62 Piotr Korczyński **Chłopi  
w powstaniu styczniowym:  
pacyfikowani i przez kozaków,  
i przez powstańców**
- 66 Krzysztof Kubiak  
**Falklandy: dzieje konfliktu  
brytyjsko-argentyńskiego**

## Kultura

- 74 Marcin Zwierchowski  
**Kino akcji  
znów fascynuje**
- 78 Bartek Chaciński  
**Koncertowe  
podwyżki**
- 81 Mick Herron  
o tym,  
jak się pisze  
szpiegowską fikcję
- 84 Marcin Piątek  
**Radosław Piesiewicz:  
od kosza do PKOl?**
- 87 MEA PULPA  
**Kuby Wojewódzkiego**



## Na własne oczy

- 92 Joanna Podgórska  
**Powstanie  
w getcie warszawskim  
oczami Stelli Fidelseid**

## Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Przypisy
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz
- 88 Chutnik i Plebanek
- 89 Wicha
- 90 Agata Passent
- 91 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

## Rząd zwiększa wydatki na święta

**Z**e względu na brak gotówki PiS próbuje zaspokoić przedwyborcze oczekiwania Polaków rozdawnictwem innych rzeczy. Najnowsze pomysły to rozdawanie kremówek w pociągach Pendolino i ustanowienie nowego święta państwowego. Posłowie partii rządzącej skierowali właśnie do łaski marszałkowskiej projekt ustawy o Narodowym Dniu Wspomnienia Gehenny Polskich Dzieci Wojny.

Jak znam PiS, wiem, co będzie. Po uchwaleniu nowego święta rząd PiS przeznaczy wielkie fundusze zarówno na wspominanie gehenny, jak i walkę ze skandalicznymi próbami jej przemilczania przez Tuska, który razem ze swoimi niemieckimi mocodawcami próbował zamieść gehennę pod dywan. Akcja wspomnieniowa z udziałem najważniejszych polityków i publicystów Zjednoczonej Prawicy odbywałaby się we wszystkich kanałach TVP w czasie najlepszej oglądalności, zaraz po wieczornych retransmisjach homilii papieża JP II, a przed filmami fabularnymi poświęconymi jego osobie.

Ciężar organizacji obchodów wezmą na siebie powołane do tego fundacje i instytuty, np. pisowska Fundacja Polska Gehenna – Wielki Projekt, która otrzyma 100 mln zł i dwie wille na Mokotowie na zorganizowanie serii

uświadamiających pogadanek profesorów Legutki, Krasnodębskiego i Glińskiego. Z kolei utworzonemu przez środowisko Adama Bielana Narodowemu Instytutowi Gehenna i Demokracja przyznane zostanie 50 mln zł i 4 miejsca w radzie nadzorczej Orlenu na cykl wspomnień pośła Żalka o zbrodniczej roli Niemiec w gehennie.

Kolejne 30 mln planuje przekazać minister kultury i sztuki inicjatywie Zbigniewa Ziobry Hekatomba Productions na występy grup rekonstrukcyjnych, które na placu Piłsudskiego uroczystie odtwarzałyby dramat gehenny w asyście warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza (za asystę kierownictwo MON otrzymałoby 15 mln w formie nagród i premii). Żeby finansowo wyjść na swoje, ziobryści planują także powołanie Fundacji Solidarni z Dziećmi Wojny, która za 50 mln rocznie będzie kultywować pamięć o gehennie tych dzieci w środowisku sędziów, a za kolejne 50 – również wśród prokuratorów.

**N**ie można wykluczyć, że w miarę napływu środków z Unii PiS będzie planował kolejne święta związane z różnymi dramatami i smutnymi wydarzeniami z naszej historii. Niektórzy na początek proponują Święto Przekopu Mierzei Wiślanej i Narodowy Dzień Pamięci o Stutysiącach Tanich Mieszkań.





# Albatros travel

## Safari z Wielką Piątką Afryki, Rovos Rail i Kapsztad

Safari w jednym z najlepszych miejsc na spotkanie Wielkiej Piątki Afryki, wyjątkowa podróż najbardziej luksusowym pociągami świata i cztery dni w Kapsztadzie.

**Program wycieczki:** Dz. 1 Wylot z Warszawy do RPA. Dz. 2 Przyjazd do Johannesburga oraz zwiedzanie Pretorii. Przejazd do Ranger Camp. Dz. 3-5 Ranger Camp. Codzienne safari w rezerwacie Entabeni. Dz. 6 Ranger Camp – Pretoria i początek podróży pociągami Rovos Rail. Dz. 7 Rovos Rail – Kimberley. Wycieczka do kopalni diamentów i zwiedzanie miasta. Dz. 8 Matjiesfontein. Zwiedzanie kolonialnego miasteczka z epoki wiktoriańskiej i przejazd w stronę Kapsztadu. Dz. 9 Przyjazd do Kapsztadu i czas wolny. Dz. 10 Kapsztad – Wycieczka na Półwysep Dobrej Nadziei i pingwiny na plaży. Dz. 11 Kapsztad. Wycieczka do winnic Winelands i Stellenbosch. Pożegnalna kolacja. Dz. 12 Kapsztad. Czas wolny i wylot do Warszawy lub przedłużenie pobytu (do wyboru - Kapsztad, Wodospady Wiktorii, Mozambik lub Mauritius). Dz. 13 Przyjazd do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy 17/09 2023

**23.998,-**



Zeskanuj  
kod QR  
i dowiedz  
się więcej



WYKŁAD  
ONLINE



**Kair i rejs po Nilu**  
20/04/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie  
[www.albatros.pl](http://www.albatros.pl)



## Indie - Klejnot Imperium

**Program wycieczki:** Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. Dz. 2 Przyjazd do New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. Dz. 3 New Delhi – Jaipur. Pałac Miejski (City Palace). Dz. 4 Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. Dz. 5 Ranthambore. Rezerwat Tygrysów. Dz. 6 Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. Dz. 7 Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. Dz. 8 Agra. Fort i Taż Mahal. Dz. 9 Agra – New Delhi. Dzień wolny w New Delhi. Dz. 10 Wylot z New Delhi. Powrót do Warszawy lub przedłużenie pobytu.

10 dni | Wyloty z Warszawy 25/10 2023, 04/02, 10/03 2024

**7.998,-**

## Albania nieznana i Czarnogóra

**Program wycieczki:** Dz. 1 Warszawa – Tirana. Przyjazd do stolicy Albanii. Dz. 2 Tirana – Elbasan – Berat – Saranda. Dz. 3 Saranda – Gjirokastra – Saranda. Twierdza Argjiro, muzeum Ismaila Kadaresa, "Błękitne Oko" i wizyta w winnicy. Dz. 4 Saranda – Ksamil – Vlora. Kąpielisko Ksamil, wizyta u lokalnej rodziny w Himarze i zwiedzanie miasta Vlora. Dz. 5 Vlora – Apollonia – Szkodra. Rzymskie ruiny w Apollonii, i przyjazd do Szkodry. Dz. 6 Szkodra – Budva – Cetinje – Szkodra. Wycieczka do Czarnogóry. Spacer po mieście Budva i wizyta w królewskim mieście Cetinje. Dz. 7 Szkodra – Kruja. Zwiedzanie miasta Szkodra, zamku Kruja i Muzeum Skanderbega. Dz. 8 Kruja – Tirana – Warszawa. Czas wolny i wyjazd na lotnisko.

8 dni | Wylot z Warszawy 27/09 2023 | **4.998,-**

**albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81**

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL13

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

# Samo-obrona



Jerzy Baczyński

**T**rudno mieć żal do prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, że jego pierwsza oficjalna wizyta w Warszawie została wpisana w kampanię wyborczą obozu władzy. Prezydent Ukrainy nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek zadrażnienia w relacji z Polską, bez wątplenia najważniejszym dziś – i w każdym sensie najbliższym – europejskim sojusznikiem. Wielu Polakom, którzy w dziesiątkach polskich miast angażowali się w pomoc dla Ukraińców, musiało być przykro, że prezydent Ukrainy tak jawnie stawia na PiS, niemal ostantacyjnie unika kontaktów z przedstawicielami opozycji, że demonstruje kordialne stosunki z Andrzejem Dudą, którego połowa Polaków uważa za winnego łamania konstytucji. A najgorsze, że ukraiński przywódca powieli pisowską narrację o zamachu smoleńskim; podczas ostatniej wizyty faktycznie zestawiał katastrofę rządowego samolotu z rosyjskimi zbrodniami w Buczynie. Zełenski wie, że w Polsce toczy się ostra kampania wyborcza, że kraj jest głęboko podzielony, także w sprawie smoleńskiej tragedii, ale ma też pewność, że ewentualna zmiana władzy nic nie zmieni, jeśli chodzi o poparcie Polski dla walczącej Ukrainy. A z nowym, proeuropejskim rządem miałyby nawet bardziej po drodze. Więc z perspektywy Zełenskiego gesty wykonywane w stronę obecnej władzy – bardzo wrażliwej na symbole i głodnej mocarstwowych pochlebstw (piszemy o tym w art. „Sny o potęgę” na s. 15) – są pozbawione ryzyka i racjonalne. Myślę, że był też świadom specyficznego kontekstu i przesłania tej niby od dawna planowanej, ale ewidentnie nagłej wizyty.

**M**ieliśmy mnóstwo powodów, aby oczekiwać przyjazdu prezydenta Ukrainy do Warszawy. Ale mimo kurtuazyjnych zachwytów to nie była TA historyczna wizyta, której się spodziewano. Podobno planowano uroczyste podpisanie międzypaństwowego traktatu, ale albo dokument nie został dopięty, albo – jak się mówi „w kręgach” – PiS przesunął ceremonię bliżej wyborów. Powszechnie liczone na to, że prezydent Ukrainy odniesie się do tematu rzezi wołyńskiej, bo właśnie mija 80 lat od tych wydarzeń – najtragiczniejszych, najbardziej bolesnych dla naszej wspólnej pamięci i historii. Okazja była wyjątkowa: dzisiejszy emocjonalny, spontaniczny sojusz Polaków i Ukraińców otwiera przecież drogę do prawdziwego i trwałego pojednania obu narodów, bez ignorowania przeszłości, bez jej fałszowania, ale też ponad nią. Oczywiście można zrozumieć ostrożność prezydenta Ukrainy: wojna to nie jest dobry czas na historyczne rozliczenia z własnym nacjonalizmem. Niemniej jakieś wyraźne słowa, zapowiedź wspólnego przezwyciężania historycznej traumy, mogły paść i prawdopodobnie jeszcze je usłyszymy. To, że nie teraz, raczej potwierdza podejrzenia, że ta jednodniowa „wizyta wdzięczności” była organizowana ad hoc. Kilka podpisanych umów też miało charakter techniczny, nawet publiczne spotkanie nie wypadło okazale. Dlaczego więc prezydent przyjechał, a właściwie wpadł do Polski akurat 5 kwietnia, bez szczególnego pretekstu? Niewątpliwie to była inicjatywa strony polskiej, a na ile znamy obecną „stronę polską”, musiała w tym być jakaś prosta kalkulacja wyborcza. Sam się brzydzę tej

myśli, ale jestem przekonany, że mimo tysiąca wielkich słów chodziło o aferę z ukraińskim zbożem.

**T**ego dnia na czołówkach mediów obok wizyty prezydenckiej pary z Kijowa znalazły się informacje o dymisji ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka, wpływowej postaci obozu władzy. Jarosław Kaczyński tylko w stanie najwyższej politycznej konieczności go dzi się na dymisję zaufanych współpracowników i właściwie nigdy pod presją opozycji. Tym razem jednak zrobiło się groźnie: afery z niekontrolowanym napływem ukraińskiego zboża zbulwersowała i rozwścieczyła rolników (polecam nasz reportaż na s. 29), uderzając bezpośrednio w polityczny bastion PiS, czyli wieś. To dzięki mobilizacji elektoratu wiejskiego – przy pomocy Jana Pawła II, wyższych rent z KRUS, tysięcy nowych lokali wyborczych przy kościołach itp. – PiS planuje wygrać wybory. A tu nagle taki cios, kompromitacja, dowody na bezczynność, niekompetencję nie tylko ministra Kowalczyka, ale i unijnego, wskazanego przez PiS komisarza do spraw rolnictwa Janusza Wojciechowskiego. Woda na młyn PSL i Konfederacji. Co ma z tym wspólnego wizyta prezydenta Ukrainy? Jej przekaz na rynek wewnętrzny był taki: 1. Pomagamy Ukrainie i ponosimy tego ciężary, ale stawka jest najwyższa, a ich wdzięczność i uznanie dla naszej wspaniałości – ogromne. 2. Rozmawiamy z prezydentem Ukrainy na temat rozwiązania problemu zbożowego, ale i znakomitych interesów, jakie będziemy robić w przyszłości. 3. Nie byłoby nieszczęścia Ukrainy, gdyby nie Zachód, który – jak dobitnie mówił premier Morawiecki – nie dość nas słuchał w sprawie Rosji, a dziś nie dość pomaga, za to narzuca szkodliwe regulacje (tu mogło chodzić i o praworządność, i o zwolnienie z cła importu ukraińskiego zboża). Wniosek ten sam co zawsze: co złego, to nie my, to oni, a co dobre, to tylko my.

**P**iS nauczył nas, że ilekroć napotyka jakiś poważny problem, stosuje ten sam zestaw środków, dwa razy P – propaganda plus pieniądze. Tak było w czasie covidu, gdy z wielkim szumem sprowadzano respiratory (raczej ich awatary), miliony niezdatnych maseczek z Chin, wciskaną potem szpitalom odzież ochronną bez atestów itd. Tak jest z zakupami wojskowymi – dokonywanymi poza parlamentarną i ekspercką kontrolą, skąd się da, za dowolną cenę. I z węglem – kupowanym na łapu-capu, za każde pieniądze. To ten węgiel zalegający w portach dodatkowo zablokował możliwość wywozu ukraińskiego i polskiego zboża. Teraz afery zbożowa znów będzie zasypywana pieniędzmi: miliardy pójdą na rekompensaty dla rolników, na dotacje do wywózki zbóż za granicę, na program „silos plus”, czyli budowę prowizorycznych elewatorów itp. Skąd pieniądze? Odpowiedział na to prezes NBP Adam Glapiński w swojej ostatniej homilii – cytując: „jest ogromna przestrzeń do zaciągania długów”. A poza tym zdaniem prezesa NBP wszystko idzie świetnie: „płace realne spadają, ale bez przesady”, pieniądze z KPO „nie mają żadnego znaczenia”, za to nikt nam nie będzie zabraniał używania samochodów spalinowych czy palenia węglem, bo – cytati! – „Europa nie może być skansenem, gdzie jest czyste powietrze”.

**D**la wyborców opozycji te kolejne demonstracje tupetu, manipulacji i dobrego samopoczucia władzy są mocno frustrujące (odsylam do art. „Ołowiane niebo” na s. 12). Widać, że podzielona, spychana na margines życia publicznego opozycja będzie się zmagać nie z partią PiS (która – co przypominamy w art. na s. 26 – formalnie dysponuje ledwie 20 mln zł), ale z całym przejętym przez PiS państwem. Jeśli przy takiej dysproporcji sił jest jakaś szansa na zwycięstwo, to tylko jeśli sami wyborcy opozycji mocniej włączą się w kampanię, choćby poprzez wpłaty pieniężne, pomoc organizacyjną, osobiste uczestnictwo w spotkaniach, akcjach promocyjnych. Stawka tych wyborów jest zbyt duża, aby wszystko oddać w ręce nielicznych działaczy demokratycznych partii i oceniać z boku, jak sobie radzą. Wciąż pewnie ponad połowa Polaków powiedziałaby: Jestem w opozycji. Fantastycznie mobilizowaliśmy się, aby pomagać uchodźcom z Ukrainy, teraz jest czas najwyższy, aby organizować się w samo-obronie. Opozycja to my.



## Promocja Obajtka

**D**aniel Obajtek został powołany na kolejną kadencję prezesa zarządu PKN Orlen. „Dziękuję Premierowi Morawieckiemu, Wicepremierowi Sasinowi oraz Członkom RN za zaufanie i zapewniam, że dalej będę pracować na rzecz bezpieczeństwa energetycznego Polski” – napisał na Twitterze. Zaskakujące, że nie podziękował Jarosławowi Kaczyńskiemu, choć to wyłącznie jemu zawdzięcza swoją karierę.

Jako pierwszy pogratulował mu Jacek Sasin, a wśród innych gratulacji znalazła się jedna, szczególna: „Gratulujemy i jeszcze raz dziękujemy za reklamę tygodnika »NIE«!”. W ten sposób dziennikarze ironicznie wypomnieli Obajtce jego bezprecedensową decyzję o zakazie sprzedaży tygodnika poprzez kontrolowane przez koncern kanały dystrybucji. W ten sposób wielu Polaków przypomniało sobie, że jest taki tytuł prasowy, co nakręciło jego sprzedaż. Cenzorska decyzja jest jedną z wielu, którymi Obajtek daje znać, że jest nie tylko menedżerem, ale też wpływowym politykiem. Dlatego Orlen stał się dziś znaczącym narzędziem w kampanii wyborczej, która – kto wie – może przyniesie Obajtce stanowisko premiera. Dlatego, jak zauważa Robert Tomaszewski z POLITYKI Insight: „Orlen



szykuje się na zbliżające się wybory, budując zespół PR-owców i specjalistów od wizerunku, którzy są ściągani do warszawskiej siedziby Orlenu z rynku i innych spółek skarbu”.

**O**rlen, nie szczędząc kosztów, intensywnie promuje więc nie tylko rząd PiS, ale i swojego prezesa. Dysponuje potężnymi narzędziami – własnym koncernem prasowym (Polska Press), domem mediowym (Sigma Bis) i siecią dystrybucji (Ruch, plus stacje paliw). Mimo to nie rezygnuje z kanałów marketingu bezpośredniego, które zyskał, przejmując PGNiG. Do wszystkich odbiorców gazu trafił pakiet ulotek przekonujących, jak zbawienna dla Polaków jest polityka rządu PiS i energetycznego supermonopolisty powstałego po wchłonięciu Energi, Lotosu i PGNiG – czyli Orlenu. Do tego dołączono osobisty list przewodni Obajtka, w którym

ten tłumaczy, z jakim poświęceniem dba o bezpieczeństwo energetyczne Polaków. „Jednym z wymiernych efektów przeprowadzonych fuzji jest zapewnienie Państwu, którzy czytacie ten list, nie tylko stabilnych dostaw gazu, ale akceptowalnych cen” – zapewnia. Obajtek stara się zdjąć z siebie – i Orlenu – odium tego, który wyciąga z kieszeni Polaków rentę monopolistyczną. Bo kiedy on i jego koncern zarabiają bajorńskie pieniądze, społeczeństwo traci na skutek rosnących cen. Te ceny nie są wysokie, inni mają wyższe – przekonuje prezes. Przy okazji tłumaczy, dlaczego rok po wybuchu wojny w Ukrainie wciąż kupuje rosyjską ropę. Po pierwsze, stanowi ona tylko 10 proc., a po drugie, „nie możemy z niej bez unijnego embarga samowolnie zrezygnować, nie narażając koncernu na kary finansowe”. Co napisawszy, tuż przed Wielkanocą zerwał jednak umowę na dostawę ropy z Rosji. (AG)

## Powrót centrali

**J**arosław Kaczyński nie ukrywa niechęci do idei samorządności i silnego samorządu lokalnego. Za niechęcią idą czyny – od 2015 r. rządząca prawica ogranicza kompetencje samorządów i systematycznie centralizuje zarządzanie państwem. Przykładem: reforma systemu edukacji zwiększająca znacząco władzę kuratorów kosztem uprawnień władz lokalnych, powołanie spółki Wody Polskie, by centralnie zarządzała gospodarką wodną, czy coraz mniejszy udział dochodów własnych gmin w budżecie w zamian za rosnący udział środków dzielonych przez Warszawę, najcięższej według politycznego klucza.

Działania centralizacyjne wytykają rządowi samorządowcy, a eksperci zwracają uwagę na ich niekonstytucyjny charakter – wszak zasada decentralizacji i pomocniczości polegająca na tym, że to wspólnoty lokalne mają decydować o swoim rozwoju, jest podstawą ustroju terytorialnego Polski. Wszystkie te argumenty nie robią na rządzie wrażenia, a jego ministrowie z przekonaniem argumentują, że jeszcze nigdy samorząd tak dobrze w Polsce nie miał.

Jaki naprawdę jest stan polskiej samorządności? Odpowiedzi udzielili eksperci Fundacji im. Stefana Batorego, przygotowując pod kierownictwem prof. Marty Lackowskiej Indeks Samorządności, syntetyczny wskaźnik opracowany na podstawie analizy kilkudziesięciu obszarów aktywności samorządu i jego relacji z rządem. Indeks ogólny jest sumą analizy danych dla trzech sfer: potencjału zadaniowo-finansowego – tu bada się zakres kompetencji samorządu i jego autonomii; siły politycznej – tu mierzy się, w jakim stopniu rząd ustala z samorządem decyzje dotyczące spraw lokalnych; siły ustrojowej – tu z kolei pomiar dotyczy



jakości nadzoru jednostek samorządu przez rząd, co najlepiej pokazuje odsetek uchyleń przez sądy administracyjne tzw. aktów nadzorczych wydawanych przez wojewodów. Indeks powstał w oparciu o najbardziej aktualne, pochodzące z 2021 r., dane. Dla porównania obliczono indeks dla roku 2014. W okresie tym nastąpił spadek aż o 17 pkt, z 73,58 pkt do 56,68. Pogorszeniu uległy wszystkie wskaźniki pośrednie i praktycznie wszystkie wskaźniki podstawowe. Najbardziej ucierpiała siła polityczna samorządu – rząd po prostu nie liczy się z podmiotowością wspólnot lokalnych. Wyniki Indeksu znajdują potwierdzenie w porównaniu międzynarodowym Local Autonomy Index. W 2014 r. polska samorządność plasowała się na wysokich pozycjach zbliżonych do krajów skandynawskich, w 2020 r. spadliśmy do środka stawki, lądując w sąsiedztwie innych państw środkowoeuropejskich.

Wielu samorządowców twierdzi, że rząd celowo niszczy samorząd. Rząd odpiiera, że takie oskarżenia mają charakter polityczny. Indeks Samorządności pokazuje, że sytuacja rzeczywiście bardzo się za rządów PiS pogorszyła, ale może być jeszcze gorzej.

EDWIN BENDYK

## Mój projekt uchwały ws. Jana Pawła II

**Marek Borowski**

Senator, ekonomista, marszałek Sejmu IV kadencji



**P**olska prawica nie może żyć bez wywoływania co pewien czas wzmożenia moralnego – na gruncie patriotycznym albo religijnym. Wszystkie przypadki takiego wzmożenia polegają na wywołaniu zawsze tego samego uczucia, a mianowicie gniewu (oczywiście słusznego). I tak uczestnicy Marszu Niepodległości demonstrują gniew wobec zdrajców Ojczyzny, rady gminne w uchwałach przeciw LGBT starają się wywołać gniewny sprzeciw mieszkańców wobec deprawujących dzieci odmienców, a ostatnio do wywoływania narodowego gniewu posłużył reportaż TVN24, dowodzący, że Karol Wojtyła tuszował pedofilów w Kościele. Były gniewne marsze, stosowną (oczywiście gniewną) uchwałę przyjął Sejm (nie cały), a radni samorządowi, jak Polska długa i szeroka, także chcieliby zaistnieć. Zdania są podzielone i bardzo trudno o porozumienie, dlatego, w przekonaniu, że zgoda buduje, postanowiłem naszym samorządom przedstawić kompromisowy projekt uchwały – do powszechnego zastosowania. Oto on:

„Kardynał Karol Wojtyła 16 października 1978 r. został wybrany na papieża. Był pierwszym po 455 latach biskupem Rzymu pochodzącym spoza Włoch. Do dziś pamiętamy historyczne słowa, które podczas pielgrzymki do Polski wypowiedział w Warszawie: »Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!«. Swymi czynami i słowami demonstrował i budził miłość do Ojczyzny, wspierał czynnie polskie społeczeństwo w dążeniach do odzyskania wolności i w pełni niepodległego bytu państwowego. Nauczanie Jana Pawła II oddziaływało na miliony osób na całym świecie. Prowadził dialog zarówno z przedstawicielami różnych religii chrześcijańskich, jak i – co szczególnie godne podkreślenia – z wyznawcami islamu i judaizmu. Był pierwszym w historii papieżem, który przekroczył drzwi meczetu i synagogi.

Jan Paweł II był zwolennikiem integracji narodów Europy, podkreślał, że Stary Kontynent powinien oddychać obydwojema płucami – wschodnim i zachodnim, a po upadku żelaznej kurtyny wskazywał, że »nie będzie jednoci kontynentu, dopóki nie będzie on wspólnotą ducha«. Podczas wystąpienia w polskim parlamencie powiedział: »Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską«.

Jan Paweł II był wielkim autorytetem dla milionów Polaków. Był rzecznikiem dialogu społecznego, przewycięzania podziałów i budowania jedności wspólnoty państwowej. Podczas kanonizacji królowej Jadwigi Jan Paweł II podkreślał, że »polski czyn powinien łączyć, a nie dzielić«. Jak każdy człowiek, popełniał także błędy i zaniedbania, o których wybaczenie prosił w swoim testamentem, a jako nieustraszonego zwolennik »prawdy, która nas wyzwoli«, uczynił wiele dla naprawy grzechów i win Kościoła, również tych, za które sam czuł się odpowiedzialny.

W ostatnich latach, w związku z ujawnieniem w Kościołach wielu krajów, w tym i w Polsce, licznych przypadków seksualnego wykorzystywania nieletnich, pojawiły się pytania o rolę w tym procederze nie tylko zwykłych księży, ale i ich przełożonych oraz samej Stolicy Apostolskiej. Pytania te są w pełni uprawnione, a dążenie do poznania prawdy nie może być w demokratycznym państwie zabraniane lub cenzurowane. Pytania o przeszłe zachowania były i są zadawane wobec wszystkich wybitnych postaci polskiej historii, co nie przekreśla ich wielkości. Zwracamy się do wszystkich osób i instytucji dysponujących stosownymi materiałami o ich udostępnienie a do osób prowadzących w tym zakresie badania – o ich pełne i rzetelne dokumentowanie i unikanie pochopnych wniosków. Jednocześnie stanowczo sprzeciwiamy się wykorzystywaniu postaci papieża do politycznych rozgrywek – takie postępowanie uwłacza godności Jana Pawła II, wybitnego syna naszej Ojczyzny».

Oto „gotowiec” – tylko brać i uchwalać. Nikomu się pewnie nie spodoba – czyli jest kompromisowy!

## Jak wesprzeć opozycję

**J**esienne wybory nie będą uczciwe – pisał w wielkanocnym numerze POLITYKI prof. Adam Bodnar, zwracając uwagę na ogromną dysproporcję pomiędzy możliwościami finansowymi i propagandowymi rządzących a opozycją. Bo PiS będzie dysponował nie tylko szerokim zapleczem medialnym oraz środkami z funduszu wyborczego, ale także wsparciem uzależnionych od władzy rozlicznych fundacji, instytucji i spółek Skarbu Państwa. Do tego trzeba doliczyć miliony, które rząd zamierza wydać na „kampanie informacyjne”, czyli de facto na promocję obozu Zjednoczonej Prawicy (o tym, kto wpłaca na PiS i na co ta partia wydaje pieniądze, czyt. s. 26). Za Rafałem Zakrzewskim z „Gazety Wyborczej” były

RPO zachęcał więc do wpłat na partie opozycji demokratycznej – bo tylko tak można „zaspywać przepaść i wyrównywać pole gry wyborczej”. Wpłat można dokonywać na poniższe numery kont (z tytułem „Darowizna na cele statutowe”).

- Platforma Obywatelska:  
41 1020 1026 0000 1102 0220 5730
- Polska 2050:  
76 1140 1010 0000 4621 9700 1005
- Nowa Lewica:  
97 1020 1013 0000 0602 0002 5213
- Polskie Stronnictwo Ludowe:  
13 1930 1523 2310 0341 4073 0001

Limit darowizn od jednej osoby fizycznej wynosi: 52 350 zł (wliczając się do niego wszystkie wpłaty dokonane na subkonta partii w 2023 r.) – od 1 lipca wzrośnie do 54 tys. zł.

Choć w tym roku drugie tyle będzie też można wpłacić na fundusz wyborczy. Wpłat na rzecz partii nie mogą dokonywać osoby prawne i spółki osobowe, a także: niemające polskiego obywatelstwa, niemieszkające na terenie Polski i niepełnoletnie. Nie można też dokonywać darowizn gotówką w banku lub na poczcie ani robić przelewów z konta firmowego. Partie na swoich stronach internetowych mają przygotowane specjalne zakładki ułatwiające wpłaty, a zarazem zabezpieczające przed zakwestionowaniem ich przez PKW – bo przepisy są tu restrykcyjne. Darowizny przekraczające łącznie 10 tys. zł partii muszą wykazywać w rejestrze publikowanym na swoich stronach.

Zgromadzone środki partii mogą przełać na fundusz wyborczy albo wykorzystać już teraz, bo – jak słyszymy – prekampania trwa i tania nie jest. (ZPJ)



# Kto zarobił na ukraińskim zbożu?

**Na ukraińskim zbożu, które przez ostatni rok trafiło do Polski, obłowiły się dziesiątki firm. Politycy PiS uważają, że to na nie powinni być wściekli rolnicy. Listy jednak nie ujawniają.**

**H**enryk Kowalczyk poinformował, że taka czarna lista istnieje, gdy komunikował o swojej rezygnacji z funkcji ministra rolnictwa. Były już minister i ciągle aktualny wicepremier wie, jakie to firmy, ale na razie nie powie. Zapewnił, że rozmawia jednak z prawnikami, jak tę informację ujawnić, nie naruszając jednocześnie tajemnicy skarbowej. Krzysztof Sobolewski, sekretarz generalny PiS, także zapewnił o determinacji partii, by „wskazać, kto stał za tym, że tak się podziało ze zbożem”. Podrzucił też trop, że „w tej sprawie jest bardzo zielono”, czyli winnych należy szukać w PSL.

Sobolewski uderzył w stół, w charakterze nożyc odezwał się Waldemar Pawlak, były prezes PSL, a obecnie szef Polskich Młynów należących do Zbigniewa Komorowskiego, niegdyś polityka PSL, który przez lata przejmował upadające młyny i elewatory zbożowe. Pawlak dziwi się beczelnej insynuacji, ponieważ służby przeprowadziły w sprawie importu ukraińskiego zboża dochodzenie, więc Henryk Kowalczyk jako minister rolnictwa miał pełny wgląd w to, kto i ile zboża stamtąd przywiózł. Na swojej stronie internetowej Polskie Młyny zapewniają, że używają tylko zboża krajowego.

Zbigniew Komorowski kontroluje nie tylko Polskie Młyny, ale też całą olbrzymią BZK Group. Jej częścią jest Bioagra, największy w kraju producent etanolu z kukurydzy, a także Bioagra Oil, wytwórca biokomponentów z rzepaku do oleju napędowego. Pod Bioagrą w Nysie protestowali rolnicy, ponieważ ich zdaniem przerabia ona ziarno z Ukrainy. Opolszczyna to teren Janusza Kowalskiego, który z ramienia Solidarnej Polski jest wiceministrem rolnictwa. On także ma więc pełną wiedzę na temat tego, gdzie surowiec kupuje Bioagra. Ale udaje, że nie wie i tweetuje: „Jeżeli opolscy rolnicy mają rację w sprawie Bioagry, to mamy do czynienia z wielką aferą PSL”. Pod tweetem Kowalskiego pojawił się inny, już nie jego autorstwa: „Najwięcej importuje Cedrob, czyli kolega Morawieckiego”.

**S**koordynowana akcja polityków Zjednoczonej Prawicy pachnie chęcią przykrycia kolejnej „wielkiej afery PiS”. Kiedy zaczęły się protesty zdesperowanych rolników, ich uczestnicy jako tego, kto



obławia się na ukraińskim zbożu, wskazywali właśnie Cedrob, największy obecnie w kraju koncern produkujący pasze, drób i mięso. Pytali wręcz, czy sprowadzone przez tę firmę ukraińskie zboże nie jest aby magazynowane w silosach państwowego Elewarru. Elewarr zaprzeczył. Zaprzeczenie nie odnosi się jednak do samego faktu importu ukraińskiego ziarna. Rolnik spod Kluczborka zapewnia, że kiedy do wytwórni pasz przyjeżdżała ukraińska kukurydza, Cedrob wstrzymywał odbiór ziarna od miejscowych dostawców.

Obecna potęga Cedrobu zbudowana została w czasie rządów PiS. Firma ma bliskie związki z tą partią, sponsoruje ważne dla niej imprezy, jak Człowiek Wolności Tygodnika „Sieci” czy Człowiek Roku „Gazety Polskiej”. Paweł Kukiz opisał na Facebooku, jak prezes tej firmy Andrzej Goździkowski próbował przeciwną na stronę PiS posła jego partii Jarosława Sachajkę: „Drobiarz zasugerował stanowisko w Ministerstwie Rolnictwa i zaproponował spotkanie z premierem”. Wielkie wpływy Goździkowskiego w PiS publicznie opisywał też były minister Krzysztof Ardanowski, który go nie znosił. Spotykać się z szefem Cedrobu jednak musiał na wyraźne polecenie najważniejszych osób w rządzie i państwie. Zdaniem Ardanowskiego wycofanie się partii z zakazu uboju rytualnego, ale tylko dla drobiu, którego największym producentem w kraju jest Cedrob, wyłobbował właśnie Goździkowski. W ten sposób uratował dla swojej firmy kilka miliardów złotych. Kiedy po dymisji Kowalczyka niektórzy spekulowali,

że na stanowisko ministra wróci Ardanowski, lepiej zorientowani twierdzili, że udziałowcy Cedrobu do tego nie dopuszczają. Ministrem został Robert Telus, rolnik gospodarujący na 18 ha pod Łodzią, przewodniczący sejmowej komisji rolnictwa, bez własnego zaplecza politycznego.

Importu ukraińskiego zboża nie wypiera się Agrolok w województwie kujawsko-pomorskim, duży producent pasz. Trudno znaleźć firmę, która nie zechce surowca kupić taniej, jeśli nie łamie przy tym prawa. Siedzibę firmy w Osieku rolnicy okopowali przez dobę, ale Paulina Biernatowska w imieniu Agroloka stwierdziła, że ten nie czuje się stroną sporu rolników z ministerstwem. Firma potrzebuje do produkcji 250 tys. ton rzepaku rocznie, nie może sobie pozwolić na przestoje z powodu braku surowca. W Polsce ceny są nie tylko wysokie i zmienne, ale często nie można go kupić. Gdyby nie było ziarna ukraińskiego, przetwórcy zapewne kupiliby słowackie czy rumuńskie, bo jest od naszego tańsze.

Od cen paszy zależy opłacalność hodowli drobiu. Trudno przypuszczać, że Wipasz swoje brojlery z patriotycznych powodów woli karmić droższą paszą. Inni właściciele kurników również. Polska jest dużym eksporterem drobiu, na razie ma ceny konkurencyjne, także dzięki tańszemu paszom z ukraińskiego ziarna. Kiedy mieszkańcy Podlasia protestowali przeciwko budowie przez Wipasz kolejnych kurzych ferm, ten stwierdził: „Ja mogę nie eksportować, ale za co kupimy Patrioty?”. Który rodzaj patriotyzmu jest teraz ważniejszy?

**P**olitycy PiS usiłują złość rolników skierować na firmy Komorowskiego, ale to nie one kontrolują polski rynek zbożowy, a także sporą część przemysłu przetwórczego. Karty rozdają koncerny międzynarodowe: Cargill, ADM, Bunge i Louis Dreyfus. Niektóre z nich zainwestowały w Ukrainie, trudno sobie wyobrazić, że nie kupują tamtejszego zboża, żeby przerabiać je u nas. Dla polskich rolników, którzy przepłacili dwóm państwowym producentom za nawozy, oferowane dziś przez eksporterów ceny są ciągle za niskie. Niewielu chce zboże sprzedać, wolą czekać na obiecane przez rząd rekompensaty. Za granicę zboża wypływa z kraju jednak mniej, niż można by sprzedać. Więc magazyny korkują się jeszcze bardziej.

Mirosław Marciniak, analityk firmy zbożowej InfoGrain, o firmach, które sprowadzają zboże z Ukrainy, wie wszystko. – Gdybym ujawnił czarną listę, okazałoby się, że jest na niej większość polskich młynów, mieszałni pasz oraz mnóstwo małych firm handlowych, zwłaszcza z południowego wschodu Polski. Po prostu: kto mógł i kto wiedział jak, korzystał na beczynności państwa.

JOANNA SOLSKA  
O nastrojach na wsi czytaj na s. 29.

## Niewypał?

Ogłoszony 4 kwietnia akt oskarżenia **Donald Trumpa** nie ucieszył specjalnie jego przeciwników i wzbudził obawy, czy nie pomoże mu w ponownym wyborze do Białego Domu. Ekspertsi prawni zwracają uwagę na jego dziwaczną konstrukcję: przestępstwo byłego prezydenta miało polegać na tym, że wypłaty okupu dla pornogwiazdy Stormy Daniels były kamuflowane jako rutynowe wydatki w jego firmach, ale ponieważ w świetle prawa to tylko wykroczenie, oskarżający Trumpa prokurator Alvin Bragg przypisał im dodatkowy, kryminalny motyw – chęć ukrycia innego przestępstwa: naruszenia prawa o finansowaniu wyborów, kwalifikując wypłaty dla Daniels jako donacje na jego kampanię w wyborach w 2016 r. Bragg nie mógł jednak postawić tego drugiego, kryminalnego zarzutu wprost, ponieważ jest tylko prokuratorem stanowym, a chodzi o federalne prawo wyborcze. Według niektórych prawników fałszerstwa dokumentów biznesowych przedawniły się poza tym jako ewentualne przestępstwo.

Chociaż nie ma wątpliwości, że Trump chciał ukryć swoje seksualne eskapady nie tylko przed żoną, lecz i po to, by nie pogrzebały jego szans na prezydenturę, prawnicy przewidują, że prokuratura trudno będzie wygrać sprawę, przynajmniej przed wyborami w 2024 r., bo adwokaci byłego prezydenta łatwo wykorzystają jej słabości. Następne przesłuchanie wyznaczono na grudzień, ewentualny proces odbyłby się w styczniu, ale nawet w razie wyroku „winny” obrona z pewnością się od niego odwoła i apelacja może się ciągnąć miesiącami. Według konstytucji Trump może się ubiegać o Białą Dom nawet z aresztu albo jako oskarżony z sądu.

Na razie Trump jest oficjalnym kandydatem do nominacji prezydenckiej z ramienia Partii Republikańskiej i jako ofiara rzekomej politycznej dintojry – jak przedstawia oskarżenie prawica – powiększył swą sondażową przewagę nad głównym rywalem Ronem



DeSantisem. Konserwatywni komentatorzy dowcipkują, że cała historia jest perfidnym spiskiem Demokratów, którzy użyli Bragga jako narzędzia, gdyż marzą o tym, żeby to właśnie Trump walczył jako kandydat GOP o Białą Dom, bo tylko jego będzie w stanie pokonać starzejący się Joe Biden. Za byłym prezydentem ciągnie się kłopotliwy bagaż, ok. 30 proc. Amerykanów popiera jego kandydaturę i nie wiadomo, czy nie zostanie oskarżony o rzeczywiście poważne czyny, jak inspirowanie puczu 6 stycznia 2021 r. czy naciski na władzę Georgii, aby sfałszowały wybory w tym stanie. Precedens, dzięki prokuratorowi Braggowi, mamy już za sobą.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

## Niemcy bez atomu

Trzy ostatnie niemieckie elektrownie atomowe przestaną dostarczać prąd do systemu 15 kwietnia. Bloki Isar 2 i Neckarwestheim 2 na południu kraju oraz Emsland na północy jeszcze w zeszłym tygodniu odpowiadały za 6 proc. krajowej produkcji prądu i miały być wyłączone już trzy miesiące temu. Wtedy jednak kanclerz Olaf Scholz przekonał koalicyjnych Zielonych do zwłoki – w obawie o wydolność systemu energetycznego w czasie wojny w Ukrainie. Ale teraz nie ma już odwrotu. Jak powiedziała „zielona” minister środowiska Steffi Lemke, „pozbywamy się technologii wysokiego ryzyka, której do końca nie można kontrolować”.

Decyzję o stopniowej rezygnacji z energii atomowej podjęła kanclerz Angela Merkel w 2011 r. zaraz po katastrofie w japońskiej elektrowni Fukushima. Ale ten proces ugrzązł jeszcze przed rosyjską agresją na Ukrainę, gdy w obliczu zbliżającej się wojny ceny gazu ziemnego, kluczowego w produkcji niemieckiej energii, mocno wzrosły. Kolejny skok cenowy nastąpił w sierpniu 2022 r., gdy Rosja wstrzymała



eksport gazu do Niemiec przez Nord Stream I. Ostatnie dwa lata były więc dla Niemców energetyczną rewolucją. Jeszcze w 2021 r. 55 proc. gazu sprowadzali z Rosji, w sierpniu ub.r. było to już 35 proc. Tak gwałtowna redukcja gazowego źródła energii zmusiła niemiecki rząd do odroczenia wyroku na atomie, widząc w nim – jak również w reaktywowanych elektrowniach węglowych – przejściowe źródło energii, do czasu, gdy filarami systemu energetycznego staną się w końcu źródła odnawialne, na które stawiają współzrządzający Zieloni.

Bezpieczna rozbiórka w sumie 30 elektrowni, które przez sześć dekad zasilają Niemcy w prąd, jeszcze potrwa. Jak to podsumowała minister Steffi Lemke, „trzy pokolenia Niemców korzystały z energii atomowej, a teraz 30 tys. pokoleń będzie musiało żyć z nuklearnymi odpadkami”. Ale sami Niemcy nie są przekonani co do powodzenia tej energetycznej rewolucji. W sondażu dla telewizji RTL większość pytanym nie była pewna, czy źródła odnawialne w przewidywalnej przyszłości staną się filarem systemu energetycznego.



# Więcej NATO w Europie

Czwartego kwietnia Finlandia została 31. członkiem Sojuszu Północno-atlantycznego. Po tym jak Turcja jako ostatnia zaakceptowała poszerzenie, końcowe dokumenty akcesyjne wymieniono w kilka godzin. Na 74. urodziny NATO, po 321 dniach od złożenia wniosku, wschodnia flanką zyskała północny przyczółek rozciągający się od Arktyki do Bałtyku. Granica NATO–Rosja wydłużyła się o ponad 1300 km lasów, jezior i bagien. Choć Finlandia jest większa od Polski, posiada ledwie 5,5 mln mieszkańców, ale Finowie mają bliższy kontakt z wojskiem, obroną i cywilną odpornością w wielu wymiarach. To silne państwo mocnych ludzi. Nie chodzi tylko o powszechny pobór i mobilizację, wciąż będącą podstawą fińskiej armii, tak dużej jak ta polska w planach MON. To przede wszystkim kultywowana od dekad obrona powszechna, angażująca mężczyzn i kobiety, młodzież i dojrzałych obywateli, z miast i olbrzymiego interioru. To wreszcie narodowy charakter Finów, określane jako sisu – postawa pełna uporu, determinacji, nieustępliwości. To również historia sąsiedztwa z rosyjskim imperium w różnych jego postaciach – legendarnej obrony, utraconego terytorium, nieformalnego podporządkowania. Kraj z peryferiów Europy zyskał pewność siebie dzięki międzynarodowej współpracy, edukacji, nowoczesności i biznesowi. W pewnym momencie Helsinki stały się



nawet symbolem porozumienia Wschodu z Zachodem, gdy w równowadze strachu pojawiło się zaufanie.

Gdy jednak kremlowski tyran dokonał zamachu na fundamenty bezpieczeństwa Finów, Szwedów i reszty Europy, skandynawska izolacja przestała być wygodna. Niecałe trzy miesiące po rozpętnaniu przez Rosję wojny oba kraje poprosiły NATO o objęcie gwarancjami kolektywnej obrony i odstraszania nuklearnego. Ponieważ Finlandia i Szwecja od lat miały status partnerów i współdziałały z sojusznikami wojskami, nikt nie pytał, czy są gotowe i nie wymagały reform politycznych. Ze Szwecją jeszcze się nie udało, choć jest nadzieja, że po majowych wyborach Turcja zmieni, a Węgry przestaną się droczyć i lipcowy szczyt w Wilnie zgromadzi już 32 kraje. Tymczasem Finlandia wniesie do NATO armię silną, ale nastawioną na obronę własnego terytorium. Jej lotnictwo, siły morskie i przybrzeżne mogą pomóc mniejszym sąsiadom z południa. Rozległy kraj to dodatkowa przestrzeń i swoboda dla NATO w miejscu dla Rosji krytycznie ważnym.

Bałtyk i Zatoka Fińska zostaną de facto zamknięte sojusznictwem pierścieniem, obwód kaliningradzki będzie trudniej dostępny, nawet bazy Floty Północnej będą na wyciągnięcie ręki, jeśli trzeba – uzbrojonej. Jeśli Putin myślał, że podporządkowując militarnie Białoruś, sprytnie podszedł Zachód, to NATO pokazało, że potrafi zbudować strategiczną przeciwwagę. Linia styczności przeciwnych bloków się wydłużyła. Buforem nie chce być już nikt.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

## Paryż zegna hulajnogi

Narazie tylko te wypożyczone i elektryczne. Ich usunięcia z ulic zażądali mieszkańcy w referendum. Mer Paryża Anne Hidalgo obiecała, że radni uszanują wyniki głosowania, choć miało śladową, niespełna 8-proc. frekwencję. Prawie 90 proc. głosujących nie zgodziło się na przedłużenie umów z trzema operatorami. Do 1 września z miasta zniknie 15 tys. wystawianych przez nich pojazdów. Ich właściciele lamentowali, że w referendum brały udział osoby raczej starsze i nie pozwolono na głosowanie elektroniczne, więc najmłodszy paryżanie – w domyśle: zwolennicy hulajnóg – nie zajęli stanowiska wygodną dla nich drogą.

Ledwie pięć lat temu Paryż, już zarządzany przez Hidalgo, stał w hulajnogowej awangardzie. Z czasem przybierało argumentów przeciw komercyjnemu systemowi wypożyczeń. Operatorzy nie poczuwają się do odpowiedzialności za porzucone pojazdy, lądujące m.in. na dnie Sekwany. Dyskusyjna pozostaje wartość ekologiczna tego środka transportu, bo baterie zanieczyszczają środowisko, a sprzęt z racji kosztów nie bywa naprawiany, zamieniając się w trudną do utylizacji górę

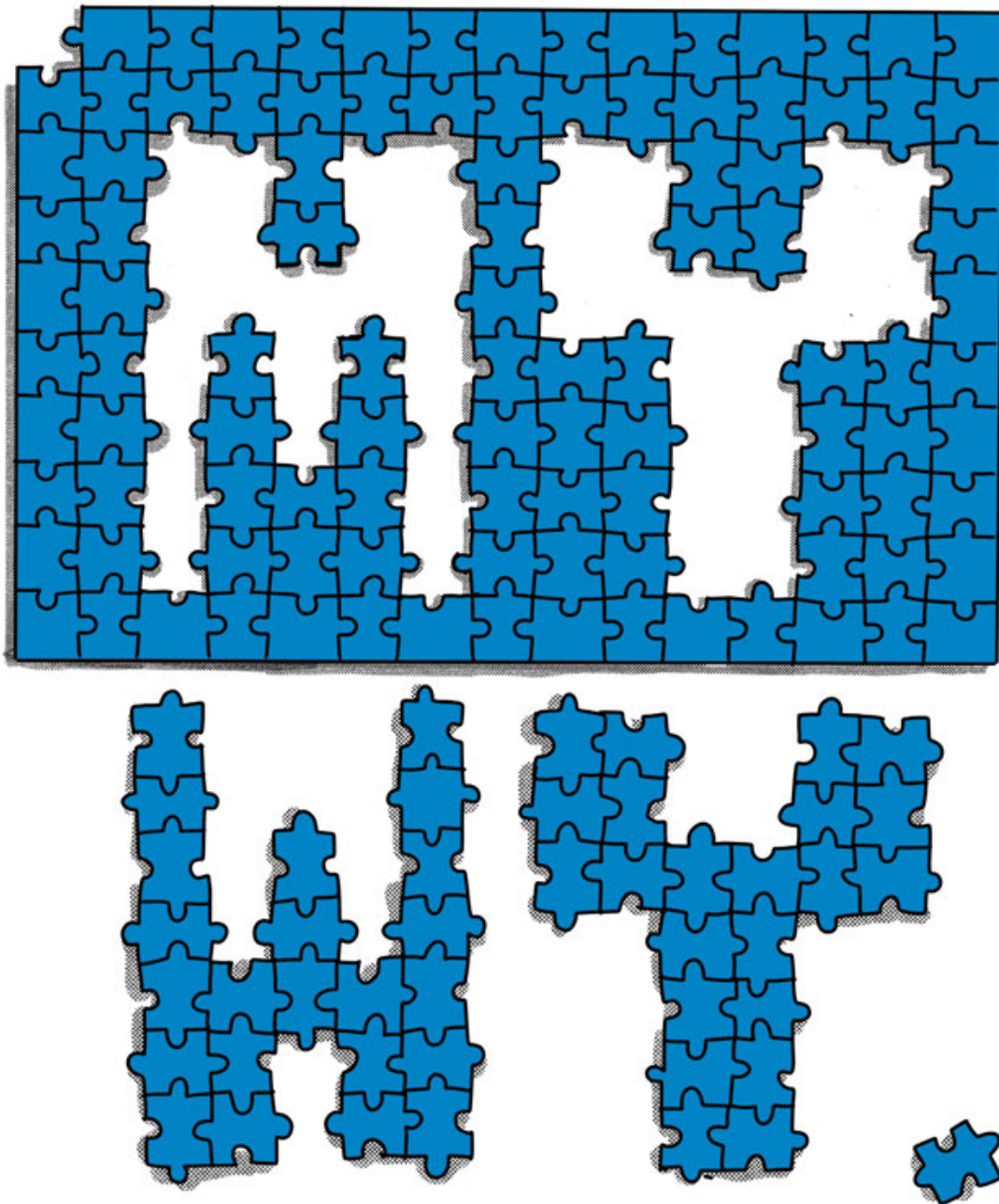


elektrośmieci. W czasie protestów żółtych kamizelek z e-hulajnóg składano barykady. Zdaniem Hidalgo 5 euro za 10 min przejażdżki to zbyt wysoki koszt. A sama jazda, cicha i z dużym przyspieszeniem, skutkuje wypadkami, także śmiertelnymi.

Wysiłkom francuskiej stolicy z ciekawością przygląda się reszta kontynentu. Bo nie tylko o hulajnogi chodzi. Pani mer obiecuje – a przeciwnicy pomysłu mówią o zielono-rowerowej utopii – miasto 15-minutowe, by w kwadrans pieszo lub na rowerze dało

się dotrzeć do wszystkich ważnych dla mieszkańca miejsc. Są efekty. W XXI w. liczba podróży samochodami spadła o ponad 60 proc. W przyszłym roku zacznie też obowiązywać zakaz wjazdu do stolicy dla najbardziej kopających samochodów, od 2030 r. zakaz obejmie wszystkie auta spalinowe. Ratusz obiecuje oddawanie mieszkańcom przestrzeni miasta i przebudowę najszerzych ulic, będących spadkiem po powojennym zachłpieniu motoryzacją.

Rozmowa o mieście bez samochodów – s. 57.



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

# Ołowiane niebo

RAFAŁ KALUKIN

Zagubił się niedawny optymizm,  
przygasły nadzieje na rychłe  
zakończenie ośmioletniej smuty.  
Wszystko zdaje się być jeszcze w rękach  
opozycji, ale konieczny jest jakiś wyraźny  
impuls, który przerwie stan bezwładu.

**D**opiero co wydawało się, że zmiana leży w zasięgu ręki. Że wystarczy opozycji po prostu robić swoje, a bez większych zawirowań dojedzie na pozytywnym trendzie do wyborów i wszystko dobrze się skończy. Jak się okazuje, były to pobożne życzenia. Sondażowe wahnięcia nastrojów pomyliliśmy z przełomem. Nadal jest on oczywiście możliwy, chociaż dziś mamy do czynienia z istotną korektą na korzyść PiS.

Nie tylko sondażową, to zresztą byłoby jeszcze pół biedy. Badania preferencji niczego nie przesądzą ani też nie mają właściwości prognostycznych. Zresztą ekipie Kaczyńskiego ciągle jeszcze sporo brakuje do samodzielnej większości, chociaż powinny martwić zwyczaje Konfederacji. Bardziej niepokojąca wydaje się jednak – mówiąc językiem sportowych komentatorów – ogólna zmiana obrazu gry. Śledzenie życia politycznego z opozycyjnej trybuny znowu frustruje jak oglądanie



meczów naszej piłkarskiej reprezentacji. Po stronie przeciwnika widać rosnące uporządkowanie, organizację, konsekwentną realizację założeń taktycznych. U naszych z kolei narastający chaos, wrażenie niemocy, wzajemne pretensje i reprimendy.

Niby wszystko jeszcze możliwe i wierzymy, że w drużynę wstąpi nowy duch i jeszcze przejmie ona inicjatywę. Problem w tym, że polityka jest jednak bardziej skomplikowana niż mecz piłkarski, który można rozstrzygnąć przypadkowym zrywem. W kampanii wyborczej hart ducha jednak nie wystarczy, trzeba mieć jeszcze mocne tematy, urabiane przez dłuższy czas argumenty, zmobilizowane zaplecze. Z tym wszystkim nie jest, niestety, najlepiej, a czasu pozostało już niewiele.

**Często słyszymy, że to najważniejsze wybory od czasu kontraktowych z czerwca '89.** Ich stawka faktycznie wydaje się porównywalna, podobnie jak plebiscytowy charakter. Ale już ogólne okoliczności mocno się rozmiągają. Tamte wybory same w sobie były przecież symptomem odejścia starej epoki. Należało więc się zmobilizować, aby jak najlepiej rozdać karty przed nadejściem nowej. Teraz nie możemy mieć pewności, że idąc jesienią do urn, uda nam się istotnie wpłynąć na rzeczywistość.

Nie ulega wątpliwości, że utrzymanie większości sejmowej w rękach Kaczyńskiego oznacza dalszą petryfikację autorytarnego modelu rządzenia. Pisowskie partio-państwo dostanie kolejne cztery lata na umacnianie bastionów i niszczenie demokratycznych reguł gry. Ale czy to oznacza, że po trzeciej kadencji PiS już nie będzie ścieżki powrotu do demokracji? Obawa jest realna, chociaż warto pamiętać, że już ją mieliśmy przed wyborami 2019 r., tyle że wtedy moment ostatecznej zapadalności autorytarnego modelu władzy miał nastąpić już po dwóch kadencjach rządów prawicy. Tak się nie stało, gdyż w Polsce w ogóle mało co bywa dokończone i ostateczne. PiS ma jednak skłonność do potykania się o własne nogi, przywództwo Kaczyńskiego siłą rzeczy musi słabnąć, również oczerzenie międzynarodowe zdolne jest mitygować autorytarne zapędy prawicy.

Ale z drugiej strony ewentualne zwycięstwo opozycji też nie gwarantuje szybkiego demokratycznego przełomu. Chyba że byłoby na tyle okazałe, aby nowa większość uzyskała zdolność do przełamania prezydenckiego weta, co pozwoliłoby jej na dzień dobry zrobić porządek z Trybunałem Konstytucyjnym. Na to się jednak dzisiaj nie zanoszą i prędzej już należy się spodziewać większości niewielkiej, chybotałowej, do tego wewnętrznie mało spójnej. Trudno zatem liczyć na forsowną zmianę, bardziej prawdopodobna wydaje się po wyborach ustawiczna szarpanina, przeciąganie liny pomiędzy instytucjami. Niestety, bez widoków na szybką i kompleksową restaurację liberalnego ustroju. Skądinąd zadziwiająco niewiele mówi się o tym na starcie kampanii, tak jakby problem był wciąż odległy. Ale może właśnie dlatego, że pokazanie samej tylko skali wyzwań mogłoby je uczynić w oczach publiczności praktycznie niewykonalnymi, co byłoby już demobilizujące. Tyle że uparte milczenie i skupianie się na politycznej bieżącej też nie jest dobrym wyjściem. Jeżeli te wybory faktycznie mają rangę historyczną, to przecież nie dlatego, że od ich rezultatów będzie zależeć realizacja tego czy innego socjalnego transferu.

Nie pasuje również do patetycznej analogii z 1989 r. ogólny klimat naszej epoki. Wtedy wypełniał nas dziejowy optymizm. Jeszcze wprawdzie nie runęły mury i nie zdążyły się otworzyć granice, ale niemal każdy już wyczuwał powiew nowego, lepszego. Wszystko wydawało się ekscytujące, cały ówczesny pakiet z wolnością polityczną, ekonomiczną, konsumencką. Oczekiwania były oczywiście na wyrost, bo mało kto zdawał sobie sprawę z trudów nadchodzącej transformacji. Zamiast tego kwitło nierealistyczne przekonanie, że za kilka lat będzie u nas „jak na Zachodzie”.

Skądinąd mit Zachodu porządkował wtedy wyobraźnię Polaków niemal bez reszty. Dzisiaj jest on mocno wyblakły i w ogóle brakuje nam pozytywnych punktów odniesienia. Nie wiadomo, do czego dążyć, gdyż przyszłość wydaje się niepewna, przepełniona zagrożeniami przy wyraźnym deficycie szans. Raczej więc stronimy od jej przewidywania. Horyzont naszej wyobraźni najczęściej sięga najwyżej paru miesięcy wprzód, wybiegać dalej nie ma po co.

Niekoniecznie zresztą z powodu zachwianego poczucia bezpieczeństwa w świecie, który wypadł z zawiasów. Wojna za wschodnią granicą toczy się już na tyle długo, że do niej właściwie przywykliśmy. Rosja okazała się jednak słabsza, niż można się było spodziewać. Jej pohukiwania też już spowszedniały. Utwierdził się w przekonaniu, że twardo stoi za nami Ameryka, a sami też intensywnie się przeciwie zbroim, czym rządzący tak bardzo lubią się chwalić i pewnie jeszcze nieraz pochwalą w trakcie kampanii. To mimo wszystko przemawia do polskiej wyobraźni, którą historyczne fatum nieuchronnej klęski przynajmniej na razie opuściło.

Zdecydowanie częściej dręczą nas za to prozaiczne obawy o utrzymanie ekonomicznych podstaw życia, dotychczasowego społecznego statusu. Niebo zrobiło się ołowiane, szczególnie zasnawszy się naszymi lękami, o których nawet z bliskimi niechętnie rozmawiamy. Trudno w tej sytuacji brać za dobrą monetę strzeliste deklaracje polityków i obietnice wielkich programów, strukturalnych remontów. Znów liczy się konkret: jakieś dodatkowe świadczenie, gwarancja utrzymania tych dotychczasowych, parę złotych więcej po rozliczeniu PIT. A w tej konkurencji trzymające kasę PiS pozostaje wciąż bezkonkurencyjne.

I bynajmniej nie jest to socjalny haczyk – jak lubimy się moralnie uwznioślić – na który łapią się wyłącznie podatni na wyborczą korupcję wyborcy Kaczyńskiego. Nam też może się to przydarzyć, chociaż w sposób mniej oczywisty. Wystarczy, że zaczniemy tracić wiarę w pomyślny obrót spraw i osuwając się z myślą, że najbliższe wybory skończą się jak zawsze. Pojawi się wtedy pytanie, czy w ogóle warto angażować się w przegraną sprawę. W końcu polityka dostarczała nam w ostatnich latach tak wielu rozczarowań, że może lepiej na wszelki wypadek uniknąć kolejnego. Sposób jest prosty: emocjonalnie się wyłączyć, zmienić kanał w telewizorze i na koniec abdykować z roli wyborcy.

**Ale chyba najbardziej powinna dziś niepokoić postępująca segmentacja opozycyjnych elektoratów oraz coraz większa rola resentymentu w ich relacjach.** Szczególnie to widać w grupach skrajnych, które afiszują się w mediach społecznościowych. Fani Tuska tak bardzo polubili dokuczanie Hołowni, że często tracą z oczu PiS. Ci od Szymona oczywiście nie pozostają dłużni, chociaż ogólnie wydają się pogubieni i chyba nie wiedzą, co sądzić o awaryjnym sojuszu z ludowcami. Po lewej utrzymuje się tradycyjna czujność wobec „libków”, którzy chowają po szufladach obrazki z JPII, śnią mokre sny o koalicji z Konfederacją itd.

W jakiejś mierze to pokłosie klótni o wspólną listę. Efekt okazał się paradoksalny, bo odgórna presja na jednoczenie się partii skutkuje pogłębiającym się rozbićciem dzielnicowym na dole. Rozniecają ten resentyment niektórzy z partyjnych liderów, również licytujący się na twitterową wyrazistość komentatorzy. Ale to tylko część prawdy. Bezwiednie kiedyś założyliśmy, że opozycja stanowi w miarę spójny podmiot, posiadający szereg wspólnych cech, jakąś wewnętrzną strukturę i hierarchię, kierujący się swoistymi dla siebie celami. Okazało się jednak, że tak nie jest.

Publicystyczna figura tak do końca nigdy się nie zestroiła z emocjami wyborców. Pojęcie opozycji od początku było dosyć niewyraźne, sięgając bardziej formy niż treści. W oczach największej grupy to po prostu synonim PO. Pozostałe partie wydają się z takiej perspektywy stosunkowo mało istotne, robiąc za wypełniacz ►



► szerszego frontu. Czasem traktowane dość życzliwie jako w sumie korzystna alternatywa, innym razem po prostu tolerowane, a ostatnio coraz częściej uważane za piątą kolumnę PiS i agresywnie zwalczane. Z kolei dla zwolenników Polski 2050, PSL i Lewicy uogólniająca kategoria „opozycji” jawi się jako forma zawołanej opresji, co skłania do jej odrzucania i rozwijania separatystycznych więzi. Problem w tym, że identyfikując się z Hołownią, Kosiniakiem bądź z któryś z liderów Lewicy, mimowolnie przede wszystkim podkreślamy odrębność od głównego nurtu, który utożsamia dzisiaj Tusk. I bywa to emocjonalnie nawet bardziej angażujące niż doświadczenie rządów PiS, które skądinąd dawno się opatrzyły i coraz trudniej się nimi na nowo szczerze oburzać.

Każda z tych postaw ma swoje psychologiczne uzasadnienie, każdą można wytłumaczyć i usprawiedliwić. Ale to kosztuje. Któż z nas, uważających się za sympatyków opozycji, naprawdę myśli o niej jako o bycie różnorodnym, spletałym rozmaite perspektywy, konglomeracie uzupełniających się wrażliwości?

### **Ale trudno się dziwić, skoro za patrona opozycji w takim kształcie historycznie należałoby uznać... Jarosława Kaczyńskiego.**

On bowiem określił linię podziału, i to jeszcze za pierwszych rządów PiS. Stając wtedy na czele krucjaty przeciwko „postkomunizmowi”, zapisał do wrogiego sobie obozu wszystkie siły, które nie zamierzały mu się podporządkować. Już wtedy niewiele je łączyło. Ówczesną Platformę dzieliło od SLD właściwie wszystko poza afirmacją Europy: historyczny rodowód, ogólna treść ideowa, społeczne zaplecze. W przypadku PSL dochodziła dużo szczelniejsza niż dziś bariera klasowa. Z kolei postkomunistom i ludowcom zdarzało się wspólnie rządzić, ale za każdym razem była to współpraca kolczasta. Obie formacje miały niewyrównane rachunki jeszcze z czasów PRL.

Dzisiaj to prehistoria, choć część urazów przetrwała. Z czasem zrodziły się nowe napięcia, wynikające z naturalnej ewolucji ludzkich postaw i wrażliwości. Stępienie podziału postkomunistycznego nie zbliżyło przecież do siebie liberałów i dzisiejszych lewicowych progresyistów. Wręcz można odnieść wrażenie, że jeśli kiedyś uda się obalić rządy PiS, obie kohorty już na całego rzucą się sobie do gardeł. A do tego na scenie pojawił się Hołownia, wnosząc czysto pokoleniową emocję, poza klasycznymi podziałami ideowymi, a tym bardziej historycznymi. Problem w tym, że konflikt pokoleń ze swojej natury właściwie nie daje się negocjować.

Chwile realnego uwspólnotowienia na przestrzeni ostatnich ośmiu lat pojawiały się wyłącznie spontanicznie i nigdy nie trwały długo. Najczęściej przy okazji masowych protestów przeciwko zmianom w sądownictwie i zakazowi aborcji. Jego okruciny można też było odnaleźć na wyborczych wiecach Rafała Trzaskowskiego w ostatniej kampanii prezydenckiej, zdolnych rozbudzać emocje ponadpartijną. Problem w tym, że nie bardzo dziś wiadomo, czy wynikało to ze zdolności tego polityka do budowania pozytywnego przekazu, czy też siła tamtej kreacji była funkcją specyficznych okoliczności, szczególnie karnawałowej atmosfery towarzyszącej wyjściu na otwartą przestrzeń z covidowej izolacji.

### **Deficyt zrębów wspólnej tożsamości wpędza nas w pułapkę mentalnego uzależnienia od przeciwnika.**

Rządy PiS są przecież jednym stałym punktem odniesienia. Toteż atmosfera po naszej stronie zależy głównie od nastrojów panujących na prawicy, tyle że jest to zależność odwrotna. Kiedy im idzie dobrze, my wpadamy w depresję. Kiedy zaliczają dłuższą flautę, nam z kolei serca rosną. Tym samym tracimy jednak poczucie sprawczości, wpędzając się w stan wyuczonej bezradności. Po wybuchu wojny w Ukrainie Platforma zainwestowała niemal wszystkie emocje swoich zwolenników w prorocstwo wielkiej zimowej zapaści, która

raz na zawsze pogrąży rządy PiS. Pomijając nawet moralną dwuznaczność logiki „im gorzej, tym lepiej”, owa taktyka okazała się po prostu nieskuteczna. Rządzący wyszli z zimy właściwie nie drażnieni, a nas zatkało i nie wiemy, co dalej robić.

Można oczywiście tłumaczyć Tuska, że po prostu odpowiedział na niegdysiejszą „Polskę w ruinie”. Ale należałoby wtedy zauważyć, że właściwie wszystkie opozycyjne strategie po 2015 r. zainspirowane zostały przez Kaczyńskiego. Próbowano później na wszelkie sposoby kopiować jego drogę do władzy, adaptować model zarządzania partią, uproszczoną komunikację. Platforma najchętniej eksploatuje dzisiaj tematy podyktowane przed laty przez PiS i choćby przez to nadal bezkonkurencyjne. Tusk licytujący się dzisiaj z Kaczyńskim na socjalne postulaty toczy jednak grę na nie swoim boisku, bo jego wizerunek kojarzy się z czymś zupełnie innym. Żeby tego rodzaju zwroty były wiarygodne, potrzeba jednak czasu, przemyślanego planu, pracy formacyjnej. Kaczyński doskonał o tym wiedział, kiedy, będąc w opozycji, inwestował w religię smoleńską, kult żołnierzy wykłębłych, quasi-programową tromtadację („Polska Wielki Projekt”). Po naszej stronie pukano się w głowę, po co brnąć w izolowane nisze. Z czasem okazało się, że konsolidacja twardego elektoratu była jedynie etapem. Chodziło o tożsamościowy fundament, na którym będzie można później stawiać kolejne piętra konstrukcji: powołanie Zjednoczonej Prawicy, ekspozycję nowych twarzy, wreszcie socjalny zwrot.

W swojej opozycyjnej fascynacji *modus operandi* Kaczyńskiego brakuje najważniejszego, czyli właśnie owego tożsamościowego fundamentu, cierpliwej pracy nad kształtowaniem wspólnej całej opozycji świadomości. Nagłe zwroty wizerunkowe Tuska oraz jego presja na wspólną listę to w tej sytuacji zaledwie *ersatz*, mało skuteczna próba wyrąbania sobie drogi na skróty.

### **Na poważną rekonstrukcję świadomości „my, opozycja” niestety nie ma już czasu i chyba jesteśmy skazani na protezy.**

W pierwszej kolejności trzeba oczywiście powygaszać ogniska złych emocji wewnątrz opozycyjnego obozowiska. Zaprzestać ciągłego oskarżania się, insynuowania podłych intencji, eskalowania ideowych różnic. To dzisiaj angażuje wyłącznie wąskie grupki, odstrasza całą środek. W dalszej kolejności przydałoby się przynajmniej zamarkować zdolność do przyszłej współpracy oraz zademonstrować jakiś wspólny rys opozycyjnego frontu. Najlepiej na własnych warunkach, a nie pod presją propagandy PiS, która nieustannie wymusza swoistą poprawność, o czym wolno mówić i w jakim tonie.

Nie mniej istotny wydaje się podział zadań oraz właściwy dobór twarzy tej kampanii. Dziś już nie ma raczej wątpliwości, że to nie powinna być po prostu kampania Tuska, Hołowni, Zandberga itd. Tak daleko idąca personalizacja antagonizuje wewnętrzne relacje i podsyca mechanizm wzajemnej rywalizacji. Najlepiej byłoby więc zmienić sztyk na samej szpicy, wspólnie ją negocjując, a przy okazji nieco spłaszczając. Przydałby się szerszy wachlarz nazwisk, najlepiej wnoszących polor nowości.

Trzeba też wreszcie podjąć próbę mentalnego uniezależnienia się od PiS. Skończyć z zaklinaniem rzeczywistości, że decydująca katastrofa czai się za rogiem, może wyjdzie na jaw straszna afera albo jakaś grupa wyborców dozna w kampanii nagłego olśnienia. Przecież już wiadomo, że tak to nie działa. Czyli trochę mniej o „nich”, za to dużo więcej o „nas”. W tonie nieco bardziej serio: czy poza ośmioma gwiazdkami coś nas jeszcze łączy, jakiej byśmy chcieli Polski po PiS, co warto ocalić z przeszłości, a co należy zaprojektować od nowa. Bo najważniejsze teraz to odzyskać poczucie wpływu na własny los. Bez tego zawsze będziemy rozgrywani przez innych.

RAFAŁ KALUKIN



# Sny o potędze

Zachodnie media i politycy dużo mówią o Polsce jako o nowej sile regionalnej. I polskie władze chyba niestety uwierzyły już, że kierują mocarstwem.

PIOTR ŁUKASIEWICZ



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

N a broszurkę ambasadora RP w Paryżu Juliusza Łukasiewicza, zatytułowaną „Polska jest mocarstwem”, można się natknąć już wyłącznie w antykwariatach. Wydana w 1938 r. opisuje, jak to Polska z Francją i Wielką Brytanią współdzielili odpowiedzialność za kontynentalny system bezpieczeństwa.

Książeczka uchwyciła szczególnie moment historyczny. Polska zajęła właśnie część Zaozla i podpisała kilka porozumień obronnych. Wydawała się jednocześnie groźnym i odpowiedzialnym graczem. Jej bezpieczeństwo było ponoć niezagrożone, gwarantowane przez sojuszników i armię marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Kraj wychodził z kryzysu gospodarczego.

Odkrywana wówczas przez Polaków mocarstwowość nie była jednak dla wszystkich taka oczywista. Szef francuskiego MSZ Louis Barthou mówił w Paryżu z przekąsem do swojego polskiego odpowiednika Józefa Becka: „Polska, skoro nam to powiedziano, jest wielkim mocarstwem... hmm... bardzo wielkim mocarstwem”.

Po wrześniowej klęsce tytuł książki stał się przestrożą. Juliusz Łukasiewicz (bez związków rodzinnych z niżej podpisanym) skończył gorzej niż jego umiłowana ojczyzna – w 1951 r. popełnił w USA samobójstwo, jako pogrążony w depresji uchodźca próbujący bezskutecznie negocjować z Amerykanami uznanie polskiego rządu na uchodźstwie.

## Nowy środek ciężkości

W 2023 r. nikt na Zachodzie z Polski już nie kpi. Media i dyplomaci piszą o nas w zupełnie nowym tonie. „Czy Polska jest supermocarstwem?” przeplata się z „Polska – nowa siła w Europie”. Polska „ma” – albo „będzie miała” – najsilniejszą armię europejską! Portal Politico, „The New York Times” czy „Wall Street Journal” donoszą o planach zakupów czołgów i samolotów, o powiększeniu armii do 300 tys. żołnierzy, o budżecie obronnym przebijającym kolejne pułapy. Polska – państwo frontowe – znów staje wśród potęg.

Jednocześnie pomoc, jakiej Polacy udzielili Ukraińcom uciekającym przed rosyjską agresją, każe ambasadorowi USA w Warszawie Markowi Brzezinskiemu nazywać nasz kraj „mocarstwem humanitarnym”. Z europejskich stolic słychać: „Trzeba było słuchać Polaków!”. Bo przecież prezydent Lech Kaczyński przestrzegał już w 2008 r. w Tbilisi, po napaści Rosji, że „dzisiaj Gruzja, ►

► jutro Ukraina, a później być może mój kraj, Polska”.

Choć więc mocarstwowe opisy mogą być lekko przesadzone, to może coś jest na rzeczy? I rzeczywiście „centrum ciężkości Europy przesunęło się na wschód”?

Polska prawica podkreśla to przesunięcie na mapie, ponieważ – jak twierdzi – przewidywała je od 2015 r. Po inauguracji prezydentury Andrzeja Dudy kształtu nabrała inicjatywa Trójmorza, związku gospodarczego, a z czasem pewnie i politycznego, państw Europy Środkowej rozciągających się między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatyckim. Po-brzmiewają tu echa sanacyjnego Międzymorza – od wschodu znów zagraża nam moskiewska dyktatura, od zachodu jednak mamy nie ofensywny nazizm, ale Unię Europejską.

Nasze Trójmorze zostało tam przyjęte z nieufnością, jako próba budowy „unii wewnątrz Unii”. Waszyngton Donalda Trumpa odebrał ją za to entuzjastycznie, jako odtworzenie podziału na „starą Europę”, niechętną USA już w czasach inwazji na Irak w 2003 r., i „nową Europę” kształtującą się wokół Polski, której władze po 2016 r. Trumpa wielbiły.

W czasach Joe Bidena Trójmorze straciło mocarstwowy sznyt. W zamian stało się obszarem działania amerykańskich lobbystów. Zabiegają oni o jeszcze większą przychylną polskich władz dla amerykańskiego biznesu i bezceremonialnie korzystają ze sponsoringu polskich spółek Skarbu Państwa dla swojej działalności.

## Geografia mocarstwowa

Wszystko to zmieniła wojna w Ukrainie, a do naszej nowej mocarstwowości mają teraz prowadzić wyciągnięte z niej lekcje. Polska Obrona Terytorialna, czerpiąc wzory z ukraińskich wojsk terytorialnych, odzyskała wigor i popularność, wcześniej przywydłe z powodu traktowania jej jako armii podręcznej Antoniego Macierewicza. Ukraińskie Himarsy, artyleria lufowa i drony okazały się skuteczne w niszczeniu Rosjan. MON Mariusza Błaszczaka wyciąga więc wnioski, że trzeba kupować dużo, mimo że drogo: wyrzucił Himars 500 sztuk, artylerii lufowej K9 z Korei ponad 670 itd.

Do 2035 r. Polska planuje wydać z budżetu na zbrojenia ponad 640 mld zł. Plus kilkadziesiąt miliardów z pożyczek pod obligacje. Prawdopodobna suma biliona złotych w ciągu 12 lat oszałamia, choć nie dziwi. W przypadku kilku typów sprzętu Błaszczak najpierw ogłosił zakupy w Ameryce, a dopiero później przystąpił do negocjowania ceny. Jego patron Jarosław Kaczyński skwapliwie go usprawiedliwia, mówiąc

w telewizji rządowej, że bezpieczeństwo nie ma ceny.

Wszystko to polski rząd przeciwstawia niemieckim problemom z odejściem od *Wandel durch Handel* w kierunku *Zeitenwende*. Pierwsze sformułowanie, czyli zmiana przez handel, było świadectwem niemieckiej wiary, że relacje handlowe bardziej się będą Rosji opłacać niż wojna. *Zeitenwende*, czyli militarną zmianę dziejową, kanclerz Olaf Scholz zapowiedział jako radykalne zwiększenie wydatków zbrojeniowych. O pierwszej idei Niemcy do końca zapomnieć nie chcą, a z wcieleniem w życie drugiej wciąż mają problemy.

Z drugiej jednak strony Niemcy są dziś największym europejskim dostawcą sprzętu wojskowego dla Ukrainy, w tym najcenniejszego – przeciwlotniczego i przeciwrakietowego. Ale w oczach rządu w Warszawie to wciąż za mało. Dodatkowo fałszywą nutą w tym naszym przesuwaniu środka ciężkości jest choćby to, że właśnie na prośbę Berlina, a nie Warszawy, Waszyngton zdecydował się na wysłanie do Ukrainy czołgów Abrams. I co symboliczne, Scholz z Biden już w Białym Domu przyjął, a Andrzej Duda wciąż na zaproszenie w tej kadencji czeka.

Entuzjastyczne opisy nowej roli Polski w Europie niestety zbyt często przeplatane są przypomnieniami o naruszeniach praworządności i problemach w relacjach z Unią Europejską. Podziw dla Polski miesza się z żalem, że mogłaby osiągnąć taki stan na trwałe, gdyby tylko wpisała go w unijne reguły.

Na próżno jednak takie wezwania, gdyż PiS z pozycji mocarstwowej i moralnej wyższości prowadzi toksyczną kampanię antyniemiecką i antyeuropejską, na jaką nie pozwalają sobie nawet autokraci z Ankary czy Budapesztu. Argumentuje, że krytyka naruszeń praworządności w Polsce w ogóle nie powinna mieć miejsca, ponieważ tak wiele robimy dla Ukrainy i Europy. Tak jakby wojna autorytaryzmu z demokracją, jaka toczy się w Ukrainie, znosiła potrzebę dbania o praworządność w Polsce.

## Mocarstwo z YouTube

Na razie jednak „Polska... hmm... jest mocarstwem”, żeby jeszcze raz przywołać ministra Barthou i perypetie nieszczonego ambasadora Łukasiewicza. W odświeżonej wersji Polska nie idzie już sama po wielkość, ale wspólnie z Ukrainą. Idealizm pomocy humanitarnej i realizm pomocy wojskowej dla naszych sąsiadów zamieniają się w dalekosiężne fantazje o nowym porządku środkowoeuropejskim. To wizja federacji, wręcz nowego bytu politycznego opartego na „traktacie

polsko-ukraińskim”. A wszystko to owinięte w tzw. ideę jagiellońską.

Przy czym nawet nie pytamy Ukraińców o ich plany na przyszłość. A zdaje się, że „bracia Ukraińcy” najbardziej skorzą się do podpisywania traktatów akcesyjnych z Unią Europejską i NATO. Od 2013 r. walczą przede wszystkim o stanie się częścią Zachodu.

W obiegu internetowym karierę robią za to wizje, w których „strategicznie samotna” Polska, pozbawiona nadziei czy wręcz odrzucająca „niepewną” pomoc NATO, idzie ku wielkości ramię w ramię z Ukrainą. Oczywiście przeciwko Rosji, przynajmniej na początek. Tworzone są wizje wspólnego państwa, które miałyby się zićć już po zgodzie w sprawie trudnej wspólnej historii. Wizja nowej unii przewyższać ma traumę Wołynia.

Zwolennicy traktatu z Ukrainą zdają się jednak zapominać o wiążących Polskę zobowiązaniach traktatowych innego rodzaju – unijnych i natowskich, najważniejszych i najtrwalszych w ostatnich czterech wiekach polskiej historii. Bo jak pogodzić sojusznicy art. 5 traktatu północnoatlantyckiego z udzielaniem sobie ekskluzywnych, pozanatowskich gwarancji przez Polskę i Ukrainę?

Niedawno ten dylemat próbował rozwiązać sam Kaczyński, a to proponując „misję pokojową NATO”, a to wysyłając Niemców z ich Patriotami, by bronili nieba nad Ukrainą – i przy okazji również nad Polską – przed rosyjskimi rakietami. Posuwał się przy tym do insynuacji, że Niemcy artylerzyści mogliby się zawahać przed straceniem rosyjskiej rakiety lecącej w stronę Polski. Kaczyńskiemu odpowiedziało oczywiście milczenie innych państw NATO.

Ale ta mocarstwowość ciągle nam się przelewa. Obecny ambasador RP w Paryżu Jan Emeryk Rościszewski stwierdził niedawno we francuskiej telewizji, że jeśli Ukraina zacznie przegrywać, to „Polska nie będzie miała innego wyjścia niż wejście w konflikt”. Ambasada próbowała potem tłumaczyć jego słowa, ale w jej murach mocarstwowy duch ambasadora Łukasiewicza ewidentnie wciąż straszy.

Na razie Kaczyński porzucił swoje pomysły „misji NATO”. Za to w internecie rozmaici geopolityczni guru głoszą zwulgaryzowaną wersję polskich dziejów, w ramach której jesteśmy zdradzani przez Zachód i musimy bić się sami. Skoro tak się stało podczas drugiej wojny, to i powtórzy się w trakcie trzeciej. Zatem Polska powinna wepchnąć Amerykę do wojny ukraińskiej (sic!), wygrać ją i mieć wreszcie święty historyczny spokój.



Nieoczekiwanie w grę polskim poczuć mocarstwowości włączyły się władze ukraińskie. Prezydent Zełenski, którego przyjaźń z Dudą wydaje się autentyczna, otwarcie na PiS stawia i rozgrywa ważne dla obecnych władz tematy, na przykład Smoleńsk. W marcu 2022 r. pytał o „milczenie tych, którzy wszystko dokładnie wiedzieli, ale oglądali się jeszcze na naszego sąsiada”. Podczas ubiegłotygodniowej wizyty w Warszawie Zełenski zwrócił praktycznie ofiary rosyjskiej zbrodni wojennej w Buczy z ofiarami katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. Dał tym samym międzynarodowy tlen, jakże potrzebny Jarosławowi Kaczyńskiemu, dla podsycającego ognia pod kłamstwem o „zamachu”.

Wizyta miała swoje mocarstwowe, miłe dla PiS, wymiary. Strony polska i ukraińska od pewnego czasu negocjują jakąś formę „traktatu” między państwowego, pojawiły się pomysły na jego podpisanie 5 kwietnia w Warszawie. Przesunięto jego zawarcie na później. Prawdopodobnie strona polska uważa, że traktat będzie lepiej wyglądał przed wyborami w Polsce i po zwycięskiej – na co wszyscy mają nadzieję – ofensywie ukraińskiej przeciwko Rosjanom. Dzień później ukraiński polityk Oleksij Honczarenko skłaniał Polaków w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” do pójścia w kierunku sojuszu wojskowego.

## Ile kosztuje potęga

Na mocarstwową retorykę w Polsce nie ma lekarstwa. Jest efektem mieszaniny zdrowych ambicji, znanych każdemu państwu świata, z niezdrowymi fantazjami, zbudowanymi na przecenieniu własnych możliwości i niezrozumieniu sytuacji sąsiadów. Wszystko podlane sosem Historii, cierpienia i wojennego zwrotu opinii publicznej. Dodajmy do tego też nagły skok ambicji wojskowych, wywołanych seryjnymi kontraktami ministra Błaszczaka.

Przy czym nikt nie zapyta nawet, skąd Polska weźmie na to pieniądze. Albo o to, kto będzie obsługiwał ten tysiąc czołgów Abrams i K2, pięćset Himarsów czy półtora tysiąca wozów bojowych Borsuk? Skąd wziąć 300 tys. żołnierzy, kiedy demografia polska i rynek pracy są nieubłagane? Atrakcyjność zawodu żołnierza ma jednak swoje obiektywne ograniczenia. Ilekolwiek Błaszczak obieca podwyżkę pensji wojskowych, próbując cichcem tworzyć z armii elektorat PiS, nie prześcignie realiów.

Nie o następne dekady jednak chodzi, ale też o bieżącą kampanię wyborczą. To pole bitwy sprzyja rządzącym, zbrojenia podobają się wyborcom. Efekt flagi, czyli grupowanie się elektoratu wokół aktualnej władzy w czasie kryzysu, daje PiS kilka



**Przyjęcie Ukrainy do NATO  
byłoby spełnieniem  
naszych własnych  
snów o mocarstwie.  
Ale takim, na jakie Polskę  
prawdziwie stać – udziale  
w mocarstwie  
transatlantyckim,  
realnie już istniejącym.**

przewag. Czas jest wojenny i nikt przytomny nie zaneguje myślenia o obronie narodowej. A jako że Kaczyński lubi „przełamywać impossibilizm”, za pośrednictwem Błaszczaka zbudował system „specjalnych funduszy obronnych” na kontach Banku Gospodarstwa Krajowego. Nikt już nawet nie pyta, ile na nich znajdzie się procentów PKB na obronność? Trzy procent? Może i pięć? Parlamentarna kontrola wydatków stała się iluzją.

Opozycja, w przypadku jesiennej zwycięstwa, nie ma zresztą zamiaru podważać kierunków zbrojeń ani ich potrzeby. Z prostego powodu: sama w nie wierzy i rozumie zagrożenie dla Polski. Zbrojeń chcą wyborcy. Do zbrojeń wzywają nas sojusznicy, z Ameryką na czele. Waszyngton jest usatysfakcjonowany, że wreszcie objawiło się duże państwo europejskie biorące obronę w swoje ręce, zwłaszcza że w ręce te trafia amerykański sprzęt o najwyższej jakości i cenie. Polityka zbrojeń stała się na dobre i złe polityką bezalternatywną.

Opozycja nie po to jednak idzie do wyborów, by się z władzą zgadzać.

Musi poszukiwać własnego, mądrzejszego niż PiS głosu w sprawach obronnych. Nie wystarczy już przypominać zrujnowania kadr wojskowych przez Macierewicza albo zerwania kontraktu na francuskie śmigłowce Caracale. Na obronną politykę PiS opozycja może zareagować sprytnym unikami i uderzeniem argumentami tam, gdzie obecny rząd jest w obronności odsłonięty.

## Wyborcze ju-jitsu

Choćby wykazywać, że duże i pospieszne wydatki na sprzęt nie przełożą się automatycznie na dużą i sprawną armię. Pytać, czy na przykład ściąganie uzbrojenia z Korei Południowej jest najlepszym rozwiązaniem politycznym, zważywszy choćby na to, że Seul pozostaje w relacjach handlowych z Rosją i nie przystąpił do sankcji.

PiS przez siedem lat zrujnował pozycję euroatlantycką Polski. W sprawach przynależności Ukrainy do struktur euroatlantyckich zajmuje dwuznaczną pozycję, będąc często zakładnikiem historii i swojego częściowo ukraiñosceptycznego elektoratu. Ciekawe swoją drogą, jak wykorzysta 80. rocznicę masakry na Wołyniu w lipcu br. i jak będzie konkurować z Konfederacją o przejęty Wołyniem elektorat? Szczególnie że Konfederacja właśnie zachodzi PiS od prawej, ultranacjonalistycznej strony.

Swoją legitymację międzynarodową PiS oparł na bezwarunkowym związku z Ameryką, niestety wyjętym z kontekstu euroatlantyckiego. W wersji PiS jesteśmy jakimś nowym Izraelem albo Turcją Europy Środkowej, czyli państwem, z którym Ameryka co do zasady musi współpracować, bez brania pod uwagę jakości naszej demokracji.

Czemu więc główne siły opozycyjne akurat tutaj nie mogłyby wykorzystać swoich przewag i doświadczenia we współtworzeniu Unii i NATO? Wyżej na sztandar wciągnąć na przykład członkostwo Ukrainy w NATO, o którym PiS tylko niezdecydowanie napomyka (bo Konfederacja!).

Przyjęcie Ukrainy do Sojuszu byłoby spełnieniem naszych własnych snów o mocarstwie. Ale takim, na jakie Polskę prawdziwie stać – udziale w mocarstwie transatlantyckim, realnie już istniejącym. Niech Ukraina stanie się naszą flanką wschodnią – bardzo tego chce, ponosi za to najwyższą ofiarę. Zamiast fantazjować o mocarstwie polskim, powinniśmy więc stać się jej skutecznym adwokatem, by wspólnie umacniać mocarstwo euroatlantyckie.

Na razie to jednak wygląda, niestety, jak grzebanie w antykwariacie w poszukiwaniu wynurzeń ambasadora Łukasiewicza.

PIOTR ŁUKASIEWICZ



© ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

Tomasz Komenda z byłą już partnerką Anną Walter.

# Bez happy endu

Tomasz Komenda. Pięć lat po wyjściu na wolność, po otrzymaniu blisko 13 mln za niesłuszne skazanie i więzienne przejścia, znów znalazł się w centrum uwagi.

Tym razem powodem nie jest uniewinnienie, lecz rodzinny konflikt i sprawa o alimenty. Czy człowiek, który przeszedł piekło, może wrócić do życia, jakby tego piekła nie było?

KATARZYNA KACZOROWSKA

**T**o jedna z najgłośniejszych pomyłek sądowych w historii Polski. Tomasz Komenda (dziś 46-letni), do dnia aresztowania niekarany chłopak po szkole specjalnej, pracujący w myjni, mieszkający z mamą. Po wyroku 25 lat za gwałt ze szczególnym okrucieństwem – w czasie procesu zmieniono kwalifikację czynu na zabójstwo – trafił do więzienia w Strzelinie.

## Na tropie zbrodni

O śmierci 15-letniej dziewczyny, znalezionej 1 stycznia 1997 r. na jednej z posesji w niewielkiej wsi Miłoszyc pod Wrocławiem, poinformowała jedna z wrocławskich gazet. Kilka dni po tragicznym odkryciu. Bez podawania drastycznych okoliczności śmierci nastolatki. Przez trzy lata policja nie była w stanie ustalić podejrzanych. Do czasu aż do jednej ze stacji telewizyjnych, po emisji programu o bestialsko zgwałconej dziewczynie, zadzwoniła kobieta twierdząca, że rozpoznaje w jednym z portretów pamięciowych pokazanych w reportażu syna sąsiadki. Tym synem był

Tomasz Komenda. Zarzuty „zgwałcenia skutkującego śmiercią pokrzywdzonej” usłyszał 18 kwietnia 2000 r. 2 kwietnia 2001 r. akt oskarżenia trafił do sądu.

Do sprawy zbrodni miłoszyckiej w 2016 r. wrócił funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego Policji Remigiusz Korejwo. W 2020 r. mówił dziennikarzowi „Superwizjera” Grzegorzowi Głuszakowi, że kiedy wprowadzał się do Miłoszyc i chciał znaleźć w internecie jakiejkolwiek informacje na temat tej miejscowości, pojawiały się tylko te o zbrodni sprzed lat. „Każda tragedia, która dotyczy dziecka i do tego w tak okrutny sposób zamordowanego, zgwałconego, we mnie budzi najgorsze emocje” – Korejwo nie krył wzburzenia, jednocześnie dodając, że do sprawy skazania Komendy zaprowadziła go policyjna intuicja. Od tej intuicji był krok do podjęcia działań przez prokuraturę. I ostatecznie do uniewinnienia Tomasza Komendy – w marcu 2018 r. sąd penitencjarny zwolnił go warunkowo z odbywania kary, uznając, że jest niewinny. Po wyjściu na wolność Komenda o latach w więzieniu mówił: „Byłem w piekle”.

Był nie tylko bohaterem dziennikarskich tekstów. Jego historia stała się kanwą obsypanego nagrodami filmu fabularnego w reżyserii Jana Holoubka „25 lat niewinności”. Media





Z bratem Gerardem opuszcza warszawski sąd, maj 2018 r. Obok: matka Tomasza Teresa Klemańska, maj 2019 r. Dziś syn zerwał z nią kontakt.



prześcigały się w artykułach o Tomaszu Komendzie. Jak zmieniła się Polska przez 18 lat, kiedy siedział w więzieniu? Jak zmienił się jego rodzinny Wrocław? Gdzie zaczął pracę? I dlaczego z niej zrezygnował?

Pięć lat po wyjściu Komendy z więzienia, dwa lata po przyznaniu mu blisko 13 mln zł zadośćuczynienia i odszkodowania za 18 lat za kratami (była to najwyższa kwota wypłacona do tej pory w Polsce za niesłuszne skazanie, a w mediach społecznościowych pojawiły się szybko komentarze, że nie wszyscy o Komendę walczyli bezinteresownie i dostali coś z tych milionów), historia chłopaka, który odzyskał życie, znów bulwersuje.

## Poculi kasę

Wszystko wybuchło pod koniec marca przy okazji sprawy o alimenty. Założyła ją rok temu Anna Walter, była już partnerka Tomasza Komendy. Cała Polska widziała ich zaręczyny na premierze filmu Holoubka. Był wrzesień 2020 r. Anna była w szóstym miesiącu ciąży (– *Wylałam z rozpacz na tym filmie, jak widziałam, co robili Tomkowi w więzieniu* – mówi dzisiaj). Syna Filipa urodziła w andrzejki. W lutym 2021 r. sąd zdecydował o przyznaniu Komendzie blisko 13 mln zł (kiedy otrzymał odszkodowanie, następnego dnia poszedł do banku wypłacić milion – specjalnie dla niego zamknięto oddział banku – pieniądze zaniósł mamie). A dwa miesiące później bohater masowej wyobraźni rozstał się z kobietą, o której wcześniej mówił, że jest miłością jego życia. Anna Walter sprawę o alimenty wniosła do sądu po roku. Podczas sprawy Komenda nie chciał ujawnić swojego majątku, nie zgadzał się na alimenty w wysokości 4,5 tys. zł (takie ostatecznie zostały zasądzone), przekonując, że 3 tys. zł wystarczy, bo miliony, jakie wypłacił mu Skarb Państwa, są za jego krzywdę.

Anna Walter: – *Nie chciałam, by o tej sprawie dowiedziały się media. W czerwcu rok temu Tomek powiedział mi, że jest ciężko chory. We wrześniu przedstawił w sądzie wypis ze szpitala*

*onkologicznego, gdzie przechodził radioterapię. Dzisiaj jest w dobrej formie, mówi, że jest wyleczony. Ale kiedy sprawa trafiła do mediów po tym, co powiedział Tomek, musiałam wydać oświadczenie, żeby pokazać, jak było naprawdę.*

Poznali się na portalu randkowym. Kilka razy ze sobą rozmawiali, ale kontakt się urywał. Aż spotkali się przypadkiem w centrum Wrocławia. Tuż przed Wielkanocą. Ona zaprosiła go do siebie na święta. On przyszedł do niej późnym wieczorem. Przegadali całą noc. A po trzech miesiącach zamieszkali razem. Dzisiaj Anna mówi, że dostrzegła w nim to, czego nie widzieli inni. Dobrego, ciepłego człowieka, który szybko złapał kontakt z jej synami z pierwszego związku, z którego uciekła po 15 latach przemocy psychicznej.

– *Ludzie hejtowali mnie od początku. Że jestem z nim dla pieniędzy, że złapałam go na dziecko. Tylko że kiedy poznałam Tomka, to pracowałam. A w ciążę zaszłam po roku bycia z nim w związku. Oboje chcieliśmy naszego dziecka* – mówi Anna Walter, która dzisiaj stara się o mieszkanie socjalne, mieszka z młodszymi synami i rodziny. Najstarszy jest u jej mamy.

– *Wszystko zmieniło się, kiedy Tomek dostał te miliony. Całymi dniami nie było go w domu. Kiedy przychodził, kończyło się kłótnią. Zaczęły się krzyki, wyzwiska. Sąsiedzi zaczęli wzywać policję. Moje dzieci zobaczyły zupełnie innego Tomka niż ten, którego poznały i do którego jedno z nich mówiło „tato”* – opowiada Anna.

Kiedy na ekrany kin wszedł film Jana Holoubka „25 lat niewinności”, jego prawdziwy bohater pracował w myjni samochodowej i ludzie przyjeżdżali tam tylko po to, by zobaczyć słynnego Komendę. Wydawało się, że kolejna praca – w fundacji braci Collins w Warszawie – będzie inna. U dwóch braci z Legnicy, którzy wyemigrowali do Londynu i wrócili do Polski z pieniędzmi i postanowieniem pomocy dzieciakom z trudnych środowisk, bo sami z takiego się wywodzili, Komenda miał się zająć pomocą ludziom takim jak on. Niewinnym i odsiadującym wyroki za przestępstwa, których nie popełnili. ►

► To bracia Collins na swoim facebookowym profilu ogłosili, że Ania i Tomek są szczęśliwymi rodzicami. Zamieścili zdjęcie Komendy z dentystą, który zrobił mu zęby. „Miałem dziś niesamowitą przyjemność rozpocząć metamorfozę zębów Tomka Komendy. Bracia Collins zwrócili się do mnie z prośbą o pomoc i zainicjowali spotkanie. Nie jestem w stanie przywrócić Tomkowi straconych lat, ale postaram się przywrócić mu piękny i zdrowy uśmiech! Wierzę, że nowy uśmiech doda mu pewności siebie (...)” – pisał dentysta, choć promowania się „na Komendzie” nie uzgodnił.

W maju 2021 r., tuż przed galą charytatywną Collins Charity Fight Night, jeden z braci, Rafał, wydał oświadczenie: „Tomasz Komenda nie już naszym współpracownikiem, gdyż jego sytuacja materialna pozwala mu na dzień dzisiejszy cieszyć się życiem, rodziną, każdą wolną chwilą na wolności, tym, co mu pozostało. (...)”.

Collinsowie podkreślili, że „Tomek zawsze może liczyć na ich wsparcie, a my na jego. Jesteśmy cały czas w kontakcie, wszystko jest w porządku i bardzo proszę, żebyśmy uszanowali prywatność Tomka. Tylko na tym nam zależy. Jest to pierwsze i ostatnie oświadczenie z naszej strony. To piękna historia z happy endem i niech tak zostanie”.

Niecały rok po wypłaceniu Tomaszowi Komendzie zadośćuczynienia portale plotkarskie wróciły do jego historii. Tym razem jednak nie pisały o pieniądzach, ale o tym, że jego była narzeczona przerywa milczenie. W tekście okazywało się, że przerywa jednym zdaniem – odmową komentarza i prośbą o spokój.

Sпокою za to nie było w komentarzach. „Szkoda że Anna nie powie prawdy... To że Tomasz zdążył już ją zdradzić i nadużywa %”, „Jak ta Anka była w ciąży, to on pod żabką pił piwo z dwoma koleżankami...”. W obronie Komendy stawiała osoba przedstawiająca się jako Aga: „Jestem z bliskiego otoczenia Tomka (...) nie widuję go codziennie itp. Wiem jednak, że starał się i nie było tak że jak był z p. Anią to pił i się woził. Co to to nie. Rozstali się już kilka miesięcy temu i możliwe, że od tego czasu faktycznie wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, ale on się załamał i tyle wiem. (...) Bracia Collins też go wykorzystali do promocji firmy i dlatego Tomek odszedł. Jeżeli faktycznie teraz wozi się z jakimiś ciemnymi typami po Wrocławiu (osobiście wiem o depresji i kryzysie) to wiedźcie ludzie, że oni też poczuli kasę i będą go wykorzystywać do interesów. On potrzebuje pomocy, rodziny i prawdziwej miłości bezinteresownej” [pisownia oryginalna].

## Totalnie zagubiony

Kilka lat temu Teresa Klemańska, matka Komendy, nie kryła, że jej syn nie jest przygotowany na fortunę, jaka na niego spadła. Teraz, po ogłoszeniu wyroku w sprawie alimentów, opowiedziała dziennikarzowi Onetu, że syn zerwał z nią kontakt, a spotkany raz na ulicy, udawał, że jej nie zna. „Jeżeli może, to niech usunie tatuaż z rękawa z napisem »Kocham cię mamó«, bo jest nieprawdą i fałszywy. To jest kłamstwo. Po co ten napis? Przecież ja już dla niego umarłam. On mnie pochował żywcem” – mówiła. „Jeszcze usłyszymy o Tomku, bo to dopiero początek jego upadku” – dodał Krzysztof Klemański, młodszy, przyrodni brat Tomasza Komendy.

Kilka dni później Teresa Klemańska odbiera telefon i zdenerwowana wykrzykuje: – Nie będę w ogóle z wami rozmawiać. Porozmawiałam z jednym dziennikarzem, autoryzowałaam wszystko, a inni to przerabiają, jak chcą, i kłamią. Mam dosyć tego wystawiania pod blokiem. Dosyć sensacji!

Milczy też telefon Krzysztofa Klemańskiego. Nie odbiera połączeń Tomasz Komenda. Ani jego brat Gerard, który w czasie mediacji prowadzonych na prośbę Anny odmawiał w imieniu Tomasza jakiegokolwiek porozumienia czy ugody. Dzisiaj Teresa Klemańska i jej syn Krzysztof nie kryją, że ich zdaniem to właśnie

Gerard, nazywany w rodzinie Maćkiem, odseparował Tomasza od nich, przekonując wraz ze swoim otoczeniem, że matka nigdy go nie kochała, a wizyty w więzieniu odhaczała.

Adwokat Komendy prof. Zbigniew Ćwiąkański, który doprowadził do uzyskania przez niego odszkodowania i zadośćuczynienia: – *Nie komentuję prywatnego życia mojego byłego klienta.* Jan Holoubek, reżyser obsypanego nagrodami filmu „25 lat niewinności” na kanwie historii Komendy: – *Ale co ja mam powiedzieć? Te wszystkie wypowiedzi i komentarze mu nie pomagają.* Najnowszych doniesień nie komentują też bracia Collins.

Dr Paweł Moczydłowski, socjolog, który w latach 1990–94 kierował Centralnym Zarządem Zakładów Karnych w Ministerstwie Sprawiedliwości: – *Przecież więzienie to instytucja totalna. Wszystko jest na regulamin, na godzinę, na rozkaz. I jak człowiek spędził w nim połowę życia, to kiedy wyjdzie na wolność, jest jak pingwin na ulicach Warszawy. Totalnie zagubiony.*

Dr Jerzy Pobocha, psychiatra, ekspert z zakresu psychiatrii sądowej: – *Po takich przejściach więziennych człowiek ma zespół stresu pourazowego, jak weterani wojenni. Osobie, która nie wie, co to jest więzienie, czym jest 18 lat za kratami, trudno sobie wyobrazić lęki, z jakimi musi się zmierzyć, choćby wtedy, kiedy po prostu idzie ulicą czy usiłuje załatwić proste z pozoru sprawy.*

## Opieka postpenitencjarna, czyli co?

Prof. Monika Płatek, prawniczka specjalizująca się w prawie karnym, mówi wprost, że przygotowanie do wyjścia z więzienia powinno się zaczynać w dniu, w którym człowiek rozpoczyna odbywanie kary. W sposób, który pozwoli mu się włączyć do społeczeństwa, a społeczeństwu nie ponosić kosztów jego uwięzienia.

– *Co tak naprawdę zrobiliśmy, by Tomasz Komenda włączył się do tego społeczeństwa? Daliśmy mu odszkodowanie. I słusznie, bo mu się należało. Ale uznaliśmy, że to wystarczy, bo przecież jest sławny. A można było go potraktować poważnie. Zaprosić do zespołu, który pracowałby nad zmianami w sposobie wykonywania kary. Dać mu nie tylko pieniądze, ale przede wszystkim dać godność, którą odebrano mu w momencie aresztowania. Przywrócić mu znaczenie społeczne. Traktować na serio, a nie jak celebrytę* – mówi prof. Płatek. A dr Moczydłowski dodaje: – *Zrobiliśmy z niego gwiazdę, nie zastanawiając się nad tym, czy udźwignie to gwiazdorstwo, sławę i zainteresowanie. Nikt mu nie wytłumaczył, że ta gwiazda może kiedyś spaść z nieba. I wtedy się rozbije na oczach publiczności. A tu potrzebne by były rozwiązania systemowe, bo Komenda nie jest jedynym człowiekiem, który odzyskał wolność po skazaniu.*

Dr Moczydłowski i prof. Płatek nie kryją, że tzw. opieka postpenitencjarna w Polsce właściwie nie istnieje. To znaczy istnieje, ale prowadzona przez stowarzyszenia dotowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości i nastawiona na zapewnienie byłym więźniom pożywienia i noclegu. O aktywizację zawodową, wsparcie w zdobyciu wykształcenia, odnalezienie w nowej rzeczywistości dbają nieliczne organizacje społeczne. Agnieszka Frank, psycholog i psychoterapeutka, związana z grupą pomocy postpenitencjarnej Lipo z Wrocławia, mówi wprost: – *Każdy, kto wychodzi z zakładu karnego, powinien mieć możliwość skorzystania z finansowanej przez państwo pomocy psychologiczno-psychoterapeutycznej.*

Frank pomocą postpenitencjarną zainteresowała się podczas pracy przy jednym z projektów. – *I do tego projektu trafił były więzień, który po wyjściu na wolność skończył liceum, a teraz studiuje psychologię. A do projektu został skierowany przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej. Sam się zresztą do tego MOPS-u zgłosił. Żeby coś ze swoim życiem zrobić* – opowiada Frank.

A prof. Płatek pyta retorycznie: – *Czy ktoś przez te 18 lat, jakie w więzieniu spędził Tomasz Komenda, pomyślał o tym,*



że kiedy wyjdzie na wolność, dobrze by było, żeby miał jakiś zawód?

– Duńczycy mówią, że głupi to kraj, który pozwala człowiekowi wyjść z więzienia po odbytej karze. Bo wtedy traci się z nim jakiegokolwiek kontakt czy, jak kto woli, kontrolę nad nim. Dlatego tam stawiają na zwolnienia warunkowe, bo one niosą ze sobą określone warunki: pracę, kuratora, który jest i kontrolerem, i wsparciem. Dajemy wolność, ale mądrze i dla społeczeństwa, i dla tego człowieka – tłumaczy dr Moczydłowski, podkreślając, że probacja sądowa opiera się na kontrolowanej wolności, a w ramach pieczy powołane instytucje podejmują odpowiednie działania kontrolne, wychowawczo-resocjalizacyjne, diagnostyczne i profilaktyczne.

– Tomasz Komenda jest wolnym człowiekiem, ale po 18 latach więzienia, z milionami na koncie, pomógłby mu kurator. Ktoś, kto byłby wsparciem, ochronił przed „przyjaciółmi”, którzy na pewno szybko pojawili się wokół niego. Bo zawsze tam, gdzie są ogromne pieniądze, pojawiają się chętni do skorzystania z nich – mówi Paweł Moczydłowski.

### Cena sławy

Ci chętni pojawili się już wtedy, kiedy było wiadomo, że Komenda wyjdzie z więzienia. Mecenas Ćwiakalski nie kryje, że najpierw listy pisały kobiety. W wieku od kilkunastu lat do 50. Każda proponowała, że zajmie się Komendą, jak tylko odzyska on wolność. I dołączała do listu zdjęcie. – A kiedy stało się jasne, że będzie zadośćuczynienie, i to na pewno wysokie, zaczęły przychodzić listy z propozycjami genialnych interesów i inwestycji – mówi były minister sprawiedliwości. Te listy też trafiały do kosza.

– Kiedy Tomek wyszedł z więzienia, wiele osób chciało mu pomóc. Dostał mnóstwo dobra, ale w pewnym momencie zaczęło to też negatywnie wpływać na jego relacje z najbliższymi. I myśle, że zmienili go ludzie dookoła, nie tylko bliscy – mówi Anna Walter. I po chwili dodaje: – Kiedy Tomek chodził do psychologa, było dobrze. Ale przestał. Wtedy wszystko zaczęło się psuć. Jego krzywdy zasługują na współczucie, a on sam na wsparcie, tylko że wiele osób założyło mu niewidzialną aureolę i nie dopuszcza możliwości, że ten człowiek też może popełniać błędy, które wszyscy popełniamy.

Rządząca prawica zastrzyła niedawno przepisy Kodeksu karnego, a zmiany minister Zbigniew Ziobro wyłuszczył, krótko mówiąc, że więzienie to nie sanatorium. Drastycznie ograniczono skazanym kontakt ze światem za murami: telefony, widzenia. Przepaść pomiędzy więzieniem a wolnością jeszcze się pogłębiła, podobnie jak alienacja osadzonych. W komunikacie Ministerstwa Sprawiedliwości tłumaczącym zastrzeżenie przepisów można przeczytać: „Nowe przepisy to m.in. likwidacja przywilejów w korzystaniu przez skazanych”. Za te przywileje uznano choćby prawo do składania skarg. Zmiany weszły w życie 14 marca br.

Dr Moczydłowski: – A teraz wyobraźmy sobie w takim więzieniu Tomasza Komendę. Cofnęliśmy się z więzieniami do sytuacji z początku lat 90., choć nasze reformy, teraz wyrzucone do kosza, były wzorem dla innych.

Co roku na wolność wychodzi kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy kilka, kilkanaście lat przeżyli w izolacji. Nie wszyscy to gwałciciele czy mordercy. Na większość z nich nie czeka rodzina. Nie mają pracy. Nie mają gdzie mieszkać. I nie mają żadnych szans na takie miliony, jakie dostał Komenda, i które też obróciły się przeciwko niemu.

KATARZYNA KACZOROWSKA

REKLAMA



## BLISKA MI OSOBA CIERPI NA DEPRESJĘ Jak ją wesprzeć?

O emocjach, psychice i relacjach czytaj na  
[wysokieobcasy.pl/zyclepiej](https://wysokieobcasy.pl/zyclepiej)





Ronja von Wurmb-Seibel, niemiecka dziennikarka, autorka książki „Co negatywne wiadomości robią z naszym myśleniem i jak możemy się od tego uwolnić”, o tym, jak media lubią straszyć i dlaczego to robią.

## Sidla złych wieści



Marcin Bondarowicz

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ



JACEK ŻAKOWSKI: – **Jak się pani ma?**

RONJA VON WURMB-SEIBEL: – Dziś super. Świeci słońce, a ja od rana nie włączyłam komputera ani telewizora. Mam dzień bez wiadomości. To dobrze robi na głowę.

**Już się boję. Bo jest popołudnie, a wybitna niemiecka dziennikarka nie wie, co się dzieje na świecie.**

Wiem, co się dzieje. Nie wiem tylko, o czym media informowały przez ostatnie kilkanaście godzin. Dzięki temu potrafię cieszyć się słońcem. Miałam z tym coraz większy problem, nim zaczęłam robić sobie głódówki informacyjne. Myślałam już nawet, że coś jest ze mną nie tak, skoro coraz trudniej jest mi się czymkolwiek ucieszyć. Aż w „British Journal of Psychology” przeczytałam badania pokazujące, że wystarczy kilkanaście minut oglądania newsów, żeby złe myśli zdominowały nasze postrzeganie świata.

**Czyli?**

Żebyśmy się zaczęli bać. Nie tylko o przyszłość świata, ale o własne życie. A gdy czujemy już strach, aktywniej wyszukujemy złe informacje, uzależniamy się od nich, pozwalamy, by rządziły naszymi emocjami, tak jakby wszystkie złe zdarzenia, o których słyszymy, dotyczyły nas samych. Ludzie wciąż słysząc o aktach terroryzmu zaczynają przeżywać je tak, jakby dotknęły ich samych. Po zamachach 11 września, w okresie „wojny z terroryzmem”, słynny amerykański psycholog, badacz traum Filip Zimbardo, nazwał to „syndromem stresu przedurazowego” (PTSS).

**Jak słynne PTSD, czyli zespół stresu pourazowego, na który cierpią ranni wracający z wojny, tylko bez doświadczenia urazu.**

Skutek jest podobny: lęk, zagubienie, nietolerancja, uprzedzenia, nieufność, ksenofobia, a wraz z nimi poczucie bezsilności, apatia, emocjonalny paraliż. W XXI w. masowo cierpimy na PTSS, choć nigdy w historii ludziom, średnio biorąc, nie żyło się tak dobrze jak teraz. I obiektywnie nigdy jeszcze nie byliśmy tak bezpieczni. Takie skutki mają nie tylko informacje o aktach terroryzmu. Podobny wpływ mają na nas powtarzane w kółko opowieści o złym stanie gospodarki, środowiska, relacji międzynarodowych, służby zdrowia, rodziny, oświaty, społeczeństwa albo demokracji. Ale najbardziej wyniszczają nas zapowiedzi, że będzie jeszcze gorzej. A ich jest w mediach pełno. I co gorsza, to one najlepiej do nas trafiają i najbardziej wpływają na nasze samopoczucie. Bo mamy ewolucyjną skłonność do uważania za autorytety osoby głoszące złe wieści, a nie te, które przedstawiają zrównoważony obraz.

**Lubimy się bać, więc cenimy tych, którzy nas straszą?**

Ja bać się nie lubię. Tym bardziej, im lepiej wiem, jak bardzo złe informacje nam szkodzą. Nie tylko na nasz nastrój. Na uniwersytecie stanowym Pensylwanii zrobiono badanie, które pokazało, że w okręgach, gdzie dominowały negatywne wpisy na Twitterze, zgony na atak serca były istotnie częstsze niż w tych, gdzie dominowały pozytywne wpisy. Okazało się, że prognozy epidemiologiczne, oparte na analizie zawartości tweetów, trafniej przewidują ryzyko chorób serca niż prognozy standardowe, uwzględniające m.in. zarobki, wykształcenie, palenie papierosów, nadwagę mieszkańców okręgu.

**Może tam, gdzie więcej było negatywnych wpisów, z jakichś powodów gorzej się ludziom żyło?**

To by miało odbicie w zarobkach czy nadwadze. To, czy wiadomości, które przekazujemy, mają pozytywny czy negatywny wydźwięk, zależy raczej od dominujących zwyczajów niż od tego, co się realnie dzieje. Na Cornell University zrobiono badanie, które pokazało, że adresaci wpisów mających negatywną wymowę odpowiadali wpisami również mającymi negatywną wymowę, a otrzymujący głównie wpisy pozytywne sami też zamieszczali głównie pozytywne treści. Społecznie reprodukowujemy to, co konsumujemy.

**Wina nowych mediów?**

Stare nie są dużo lepsze. Natura przekazu medialnego jest taka, że złe wiadomości zwykle dominują, bo przyciągają uwagę i się najlepiej sprzedają. W nowych mediach to się przekłada na lajki i zasięgi, a w starych na widownię i sprzedaż.

**Tak pewnie było zawsze.**

Ale nigdy wcześniej informacje tak nas nie osaczały jak teraz. Proszę włączyć dowolną stację informacyjną albo wejść na dowolny informacyjny portal i zastanowić się, czy nasze życie istotnie jest pełne aż tak negatywnych zdarzeń, jakby to wynikało z ich treści. Negatywnych wiadomości przybywa także dlatego, że coraz szerszy jest horyzont mediów i techniczna możliwość przekazu. Badania pokazują, że wiadomości lokalne są nieporównanie bardziej pozytywne niż informacje ze świata. Odbiorcy mogą je lepiej kontrolować, więc one muszą lepiej oddawać rzeczywistość. Nikt nam nie wmówi, że w każdej okolicznej ulicy są dziury urywające koła samochodów ani że każde wyjście z domu realnie grozi nam śmiercią. A z treści mediów wynika, że wszędzie są wojny lub katastrofy albo przynajmniej kryzysy. Świat tak przedstawiany jest przerażający. Aż dziwne, że jeszcze istnieje. Informacje z Afryki czy Ameryki Łacińskiej są niemal wyłącznie mroczne. Rzadko się dowiemy, że jakiś rząd sprawnie działa, gospodarka rośnie, rozwija się oświata. A to się przecież zdarza. Natomiast każdy zamach stanu trafia na czołówki. Zwłaszcza gdy są tysiące ofiar. Tak jak huragan, susza, załamanie waluty. Rzeczywistość opisywana przez media jest piekłem. Nie tylko ta bardzo odległa. O tym, co się dzieje w stolicach i metropoliach, mieszkańcy prowincji też dowiadują się głównie ze złych wiadomości. I vice versa. O życiu na prowincji mieszkańcy metropolii słyszą głównie rzeczy straszne. O naszych demokratycznych rządach również dowiadujemy się głównie złych rzeczy. To, co rząd robi dobrze, nie jest w przekazie sexy. A wszystko, co w jego pracy jest złe, zostaje nagłośnione. Nic dziwnego, że zaufanie zanika, coraz mniej się lubimy i coraz bardziej się siebie boimy. Tak działają media. Nawet jeśli na ogół podają prawdziwe informacje, to ich suma tworzy fałszywy, deprymujący i obezwładniający nas obraz. A media są teraz wszędzie. Co ma z tym zrobić odbiorca?

**Wiedzieć, myśleć i działać.**

Dobrze jest wiedzieć. Ale trudno jest racjonalnie myśleć, wyciągać sensowne wnioski i aktywnie działać, gdy przygniata nas negatywny obraz rzeczywistości. Na lawiny negatywnych treści reagujemy poczuciem bezsilności i często wycofaniem. Już przeszło połowa ludzi żyjących w demokracjach deklaruje, że ich głos się nie liczy i nie mają wpływu na to, co się dzieje. To jest bardzo nieprzyjemne i niebezpieczne uczucie. Bo sprawia, że coraz więcej osób skłania się ku ucieczce przed informacjami. A jakim cudem demokracja może dobrze działać, jeśli ludzie wolą nie wiedzieć, co się dzieje, więc nie mogą podejmować decyzji opartych na faktach? I – co równie groźne – kiedy nasza wiedza o świecie kształtuje się w taki sposób, ogarnia nas bezradność i stajemy się apatyczni. Problemy nas przygniatają. A to jest zaraźliwe. Kiedy deklarujemy bezradność, zarażamy nią innych. Społecznie tracimy motywację, by zmieniać rzeczywistość. Ze strachu przestajemy być aktywnymi obywatelami i stajemy się samolubnymi, wyalienowanymi społecznie konsumentami. To wyzwanie bardzo szybko narasta. Z najnowszego badania Reuters Institute, prowadzonego w blisko 50 krajach, wynika, że już ponad jedna trzecia pytanym unika mediów informacyjnych. Pięć lat wcześniej była to jedna czwarta.

**Ludzie wolą nie wiedzieć?**

Wolą nie wiedzieć, niż w kółko słuchać fatalnych wiadomości, które tylko psują im nastrój. Równie groźne jest coraz bardziej powszechne pogodzenie ze złem świata. Żeby się uspokoić, ►

► uznajemy, że cały ten koszmar, o którym wiecznie słyszymy, to naturalny, odwieczny stan rzeczy, który trzeba po prostu przyjąć do wiadomości. Mordują się – oni tak mają. Klimat się zmienia – nie poradzimy, nie raz się już zmieniał. Gospodarka się wali – kryzysy są nieuchronne, niech się każdy ratuje, jak może.

#### **Nie powinniśmy o tym informować?**

Chodzi o to, „jak?”, a nie „czy?”.

#### **Czyli?**

Nie można ciągle mówić tylko o katastrofach, problemach, cierpieniach i fatalnych prognozach. Jeżeli chcemy budować demokrację – co wymaga aktywnych obywateli podejmujących świadome decyzje i działania – ludzie tworzący media muszą zmienić sposób, w jaki informują odbiorców i opisują świat. Trzeba na nowo przemyśleć fundamenty naszego zawodu. Na przykład słynne *news factors*, czyli sto lat temu opisane przez Waltera Lippmanna kryteria decydujące o tym, co media uważają za news. Bo negatywność jest jednym z podstawowych kryteriów decydujących o doborze informacji. Im więcej cierpienia, im bliższe nam geograficznie, im bardziej znanych osób, sytuacji albo miejsc dotyczy, tym większa jest szansa, że się o jakimś zdarzeniu lub możliwym zdarzeniu dowiemy. Dramat polega na tym, że im bardziej negatywny jest opis jakiejś sytuacji, tym trudniej jest nam się zmobilizować do jej rozwiązywania. Straszanie przyciąga uwagę, obezwładnia i zachęca do samowykluczenia. A media głównie nas straszą.

#### **Każdy chce wiedzieć, co mu grozi.**

Albo na co ma szansę. Tylko że pozytywne dziennikarstwo jest trudniejsze, więc mniej popularne od negatywnego. To było widać w pandemii. W mediach było bez porównania więcej informacji o nielicznych powikłaniach, jakie powodowały lub mogły powodować szczepionki niż o milionach osób, którym szczepienie pozwoliło uniknąć ciężkiego przebiegu choroby lub śmierci. To napędziło absurdalny i morderczo groźny ruch antyszczepionkowy, który też przyciągał nieproporcjonalną uwagę mediów. Dziennikarstwo pozytywne jest trudne. O czym mówić, gdy wszystko jest OK? Ktoś żyje – co to jest za news? A kiedy ktoś umrze – to jest wydarzenie. Zwiększa gdy chodzi o kogoś znanego.

#### **Tak jest świat zbudowany.**

Odbiorcy tak tego nie postrzegają. Traktują media jak opis rzeczywistości, a dostają tylko zbiór specyficznie dobieranych i opisywanych newsów. Niech pan przejrzy medialne materiały dotyczące uchodźców. Ponad 90 proc. informacji traktuje ich jako anonimową masę, z którą są problemy. Tylko kilka procent pokazuje konkretne osoby, które podejmują ogromny wysiłek, by żyć w lepszym świecie. Ale wtedy zwykle traktowane są jak superbohaterowie – wyjątki. Media uwielbiają superbohaterów walczących z antybohaterami. To dotyczy niemal wszystkich sfer życia. Jeden jest dobry, a drugi jest zły, jedno jest dobre, a drugie jest złe. Medialny przekaz nie lubi szarości. W ten sposób budujemy emocje, a nie opis świata i jego objaśnienie. Zwykle są to złe emocje i fałszywe objaśnienia. Bo świat jest złożony, a nie czarno-biały, ale zło skupia uwagę. Przed wyborami w 2016 r. głównie amerykańskie stacje liberalne dwa razy częściej powoływały się na pełne kłamstw i agresji tweety Donalda Trumpa niż na wpisy Hillary Clinton, która prowadziła pozytywną i uczciwą kampanię.

#### **Trump prowokował krytykę.**

Która, jak się okazało, bardziej go promowała, niż dezawuowała. Głupstwa Trumpa robiły szum, który zagłuszał pozytywne propozycje Clinton.



Mieszka w Bawarii. Jej drugą książkę „Co negatywne wiadomości robią z naszym myśleniem i jak możemy się od tego uwolnić” (Kosel-Verlag, 2022) wydało w Polsce wydawnictwo Muza.

#### **Ronja von**

**Wurmb-Seibel** (ur. 1986)

– wielokrotnie nagradzana niemiecka dziennikarka i reżyserka. Pracowała m.in. w dziale politycznym tygodnika „Die Zeit” oraz jako korespondentka w Kabul.

**Mieliśmy w Polsce próby stworzenia „mediów pozytywnych”, ale skończyły się fiaskiem. Nawet gdy stały za nimi potężne koncerny. To jest słabość tzw. dziennikarstwa pozytywnego.**

Dlatego odpowiedzią jest raczej dziennikarstwo konstruktywne.

#### **Czyli?**

To jest kwestia standardowych pytań, na które odpowiada materiał umieszczany w mediach. Klasyczne pytania to: kto?, co?, gdzie?, kiedy?, dlaczego? W połączeniu z działaniem *news factors* dają one deprymującą, szkodliwą dla odbiorców i demokracji, bombardującą ich mieszankę

złych wiadomości o świecie nieuchronnie schodzącym na psy. Powstaje obraz czarnej beznadziei. Ale obraz świata, z natury pełnego problemów i wyzwań, przestaje być tak bardzo szkodliwy i deprymujący, jeżeli do medialnego standardu dodamy odpowiedź na pytanie: co teraz? Czyli: jakie jest pozytywne wyjście z sytuacji?, co zrobić, by było lepiej?, jak można takim sytuacjom zaradzić w przyszłości?, co możemy zrobić, żeby rozwiązać lub złagodzić problem? Odbiorcy takich konstruktywnych przekazów są nie tylko zainteresowani, poinformowani i zaalarmowani, ale też zmobilizowani, by działać.

#### **To się może sprzedać?**

Oczywiście. Niech pan zwróci uwagę, jaką popularnością cieszą się teksty i książki typu „jak to zrobić”. Ludzie chcą mieć kontrolę nie tylko nad własnym życiem, ale też nad światem, który ich otacza. Cenią i słuchają tych, którzy nie tylko szczerze pokazują problemy, ale też podsuwają praktyczne rozwiązania. Dlatego ułożyłam z emotikonów równanie, które opisuje działanie konstruktywnych przekazów. Od strony odbiorcy wygląda to tak: 🤔+X=😊.

#### **Czyli?**

Problem, który opisujemy, to w języku emotikonów „kupa”. X to rozwiązanie, które proponujemy. Szeroki uśmiech to zadowolony odbiorca, który do nas wraca, jeśli ma poczucie, że dzięki nam nie tylko widzi niezliczone „kupy”, ale też wie, co ma z nimi robić i jak im przeciwdziałać na przyszłość. Konstruktywność się w mediach opłaca. Odbiorcy ją doceniają.

**Chyba że wzywamy ich do wysiłku. Prawdę mówiąc, dostaję już gęsiej skórki, gdy widzę kolejny medialny apel, żebym coś albo kogoś wspierał lub ratował, czemuś się przeciwstawiał, w coś się angażował, z czegoś rezygnował na rzecz większego dobra.**

Ja mam gęsiej skórki powodowaną przez poczucie winy, gdy docierają do mnie kolejne wiadomości o różnych strasznych rzeczach, na które nic nie poradzę, bo nie wiem, jak to zrobić. Między innymi dlatego zaczęłam praktykować medialną głodówkę, że media wpędzały mnie w poczucie winy z powodu mojego względnie dobrego życia w tym „potwornym” świecie. Bo jak można spokojnie iść do kina lub spacerować po zadbanym mieście, albo plotkować, pijąc z przyjaciółmi wino, gdy ma się świadomość, że dzieje się tyle strasznych rzeczy, z którymi nic nie robimy.

**Z większością strasznych rzeczy człowiek nie może wiele zrobić.**

Nie można chcieć zbyt wiele, bo to nas paraliżuje. Nie zatrzymamy, ot tak, zmian klimatu. Ale możemy je stopniowo hamować. Nie zlikwidujemy głodu, ale możemy go ograniczać. Wielkie wyzwania wymagają takiego samego podejścia jak nasze codzienne sprawy. Trzeba je podzielić na mniejsze zadania



i działać stopniowo, w miarę możliwości. Potrzebny jest realistyczny plan. Takie krytyczno-konstruktywne podejście nie tylko poprawia samopoczucie i przyciąga uwagę, ale też przynosi satysfakcję, że panujemy lub pomagamy innym panować nad rzeczywistością.

#### **Która staje się coraz groźniejsza.**

To jest deprymujący mit, w który, niestety, wierzy coraz więcej osób. Jest wiele badań, które pokazują, że ludzie widzą świat dużo gorzej, niż on naprawdę wygląda. I to za sprawą przekazu medialnego. Bo dużo korzystniej oceniamy tę część rzeczywistości, z którą mamy bezpośredni kontakt. Im bardziej zapośredniczona wiedza, tym czarniejszy i mocniej odstający od rzeczywistości jest obraz. Kiedy szwedzka organizacja Gapminder zapytała ludzi w wielu krajach, czy przez ostatnie 100 lat liczba śmiertelnych ofiar klęsk żywiołowych wzrosła, zmalała czy pozostaje podobna, ponad 80 proc. pytanym stwierdziło, że wzrosła lub się nie zmieniła, choć naprawdę spadła o połowę. A gdy zapytano, czy odsetek samobójstw na świecie wzrósł, pozostał niezmienny czy zmalał, 95 proc. pytanym udzieliło odpowiedzi, że wzrósł lub się nie zmienił, gdy w rzeczywistości zmalał o jedną czwartą. Kiedy w innym badaniu zapytano mieszkańców kilkudziesięciu krajów, iloma państwami rządziły już kobiety, ponad 90 proc. wskazało liczbę znacznie niższą niż prawidłowa odpowiedź.

#### **Czarnowidztwo rządzi?**

Powszechnie przeceniamy zdarzenia negatywne i nie doceniamy pozytywnych procesów, które wokół nas zachodzą. Ewolucyjnie jesteśmy tak skonstruowani, że chwilowe porażki działają na nas silniej niż sukcesy budowane latami. Z im dłuższą perspektywą zestawiamy dzisiejsze zmartwienia, tym lepiej tę dysproporcję widać. Sfery publicznej dotyczy to tak samo jak prywatnej. Kiedy zamartwiamy się kryzysami, trudno nam pamiętać, że często dno obecnego kryzysu jest wyżej niż szczyt koniunktury zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Ten mechanizm sprawia, że pod wpływem negatywnych newsów o jakichś chwilowych problemach nie doceniamy naszych zbiorowych osiągnięć. Czasem je wręcz wymazujemy z pamięci. Dysproporcje między naszymi wyobrażeniami o świecie a rzeczywistością bywają szokujące. Gdy zapytano Niemców, jaka część nieletnich dziewcząt zachodzi rocznie w ciążę, odpowiedzieli średnio, że 14 proc. A w rzeczywistości jest to 0,6 proc. Kiedy podczas wykładu w Davos Hans

Rosling zadał zgromadzonym w sali premierom, ministrom, szefom globalnych organizacji serię prostych pytań o ważne sprawy świata, odpowiadali mniej trafnie niż generator liczb losowych. Jeszcze gorzej wypadł test Roslinga podczas spotkania noblistów. Odpowiedzi z reguły odstawały od rzeczywistości in minus.

#### **Pandemia pesymizmu?**

Przez nasze czarnowidztwo popieramy pomysły różnych radykalnych zwrotów. Gdy w naszym wyobrażeniu, wbrew łatwym do zmierzania faktom, wszystko się wokół psuje i degeneruje, poparcie radykalnej zmiany systemowej wydaje się oczywiste. A takie fałszywe wnioski, płynące z fałszywego obrazu rzeczywistości, mogą spowodować prawdziwą katastrofę.

#### **Pani też zaczyna nas straszyć.**

Pokazuję dysfunkcjonalne zjawisko, ale też oferuję odpowiedź, która je ograniczy albo osłabi skutki. Bo poczucie beznadziejności powodowane zalewem negatywnych newsów słabnie, gdy negatywny obraz uzupełnia informacja o tym, jak sobie z tym problemem radzono w przeszłości, jak sobie z nim radzą gdzie indziej, czy istnieją ludzie, z którymi się możemy połączyć, żeby było lepiej. Często wystarczy umieścić negatywny news w kontekście szerszego procesu i wcześniejszych doświadczeń, żeby istotnie osłabić deprymujące wrażenie. Bo długookresowe procesy z reguły są bardziej pozytywne niż doraźne medialne informacje. Z reguły różnicę robi już perspektywa tygodnia. Klasyczne tygodniki dają zwykle bardziej zrównoważony obraz niż prasa codzienna. A miesięczniki i książki ze swojej natury przynoszą już na tyle zrównoważony obraz, że odbiorcom portali i stacji newsowych mogą wręcz wydawać się nudne. Ale to jest zdrowa i bliższa prawdy nuda.

#### **Bo świat jest w gruncie rzeczy nudny?**

Jest fascynujący. Ale to, co ważne, rzadko zdarza się z dnia na dzień. Naprawdę nikomu i niczemu dobremu nie służy, kiedy nieustannie przeglądamy newsy, pozwalając, by targwały nami podgrzewane przez media sprzeczne doniesienia. Wystarczy, że zajrzemy do wiadomości raz dziennie. A lepiej raz na parę dni. Jak się coś bardzo ważnego wydarzy i tak się o tym dowiemy, a na co dzień, zamiast nieustannie trawić złe emocje, będziemy mieli szansę cieszyć się naszym coraz lepszym życiem, starając się, by stopniowo było dla wszystkich trochę lepsze.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI

REKLAMA

## **Wybierz Architektoniczną Realizację Roku 2022 PLEBISCYT**

**Laureata Grand Prix  
Nagrody Architektonicznej POLITYKI  
wybierze jury, jednak chętnie poznamy  
opinię naszych czytelników i internautów  
na temat finałowej piątki.**

**Głosowanie trwa do niedzieli 16 kwietnia 2023 r.**

**Czekamy na Twój głos na  
[polityka.pl/architektura](https://polityka.pl/architektura)**



Sponsor Główny  
Nagrody Architektonicznej  
POLITYKI



Sponsor  
Nagrody Specjalnej  
Magazynu SALON





# Komu płaci PiS

W

ANNA DĄBROWSKA

2022 r. partia Prawo i Sprawiedliwość otrzymała 23 mln 499 tys. zł subwencji z budżetu państwa i miała jeszcze zapas – prawie 10,5 mln zł – z wypłaty z 2021 r. Na koniec roku z tych pieniędzy udało jej się odłożyć ponad 14 mln, które będzie mo-

gła przenieść na fundusz wyborczy. A na co wydawano pozostałe pieniądze? POLITYKA jako pierwsza zapoznała się w Krajowym Biurze Wyborczym (KBW) ze sprawozdaniem finansowym PiS za 2022 r. Partie mają obowiązek złożyć je do końca marca.

W dokumentach partii władzy od wielu lat najbardziej w oczy rzucają się wielkie comiesięczne faktury za ochronę. W minionym roku były jednak rekordowe. Zliczając wszystkie rachunki wystawione przez Grom Group, która od lat jest na usługach

Ochrona prezesa Kaczyńskiego w 2022 r. kosztowała partię prawie 2 mln zł, a jego słynne wyjazdy w teren grubo ponad 3 mln. Inne wydatki też są ciekawe.

partii, wychodzi 2 mln 654 tys. zł. Sama ochrona prezesa Jarosława Kaczyńskiego kosztowała 160 tys. zł miesięcznie (5,3 tys. zł dziennie), a jeszcze rok wcześniej było o 10 tys. mniej na miesiąc. Choć do czerwca 2022 r. prezes jako wicepremier ds. bezpieczeństwa miał ustawową ochronę Służby Ochrony Państwa, to i tak funkcjonariusze nie byli dopuszczani do Kaczyńskiego. Również wtedy osobistą ochronę dawali mu ludzie z Grom Group, firmy założonej przez byłych żołnierzy GROM. Mieli oni nawet swój pokój obok gabinetu, w którym w KPRM urzędował prezes PiS.

Z dokumentów wynika, że prawie 2 mln wydane na samą tylko ochronę prezesa to pieniądze z puli, którą partię otrzymują z budżetu państwa. Za bezpieczeństwo prezesa nie płacą więc sympatycy PiS, przekazując partii darowizny, ani jej członkowie opłacający składki. Kilka lat temu KBW miało wątpliwości co do tego wydatku. Partia tłumaczyła, że to zgodne z ustawą



o partiach politycznych. – *Ludzie z Grom Group to są naprawdę fachowcy, prezes ma doskonałą ochronę. Ja miałem z tymi płatnościami pewien zgrzyt i poprosiłem o opinię jednego z sędziów Sądu Najwyższego. Potwierdził, że prezes wypełnia założenia statutowe partii, jeździ po Polsce, zarządza i mamy prawo opłacać mu ochronę* – mówi Stanisław Kostrzewski, do 2014 r. skarbnik PiS. W wykazie faktur znajdujemy też siedem innych opisanych jako „ochrona”, np. 25–26 czerwca, kiedy prezes w ramach objazdu po kraju odwiedził Inowrocław. Jeden z polityków tłumaczy, że miastem rządzi ojciec senatora Krzysztofa Brejzy z Koalicji Obywatelskiej, który ma tu sporo zwolenników, więc trzeba było wzmocnić środki ochronne.

## Za objazdówkę po Polsce

Dodatkowe 25 tys. wydano też na ochronę czerwcowej konwencji w Markach, w czasie której prezes ogłosił wielką mobilizację przedwyborczą i objazd po kraju. I to wtedy, od czerwca aż do końca roku, posypały się wydatki związane z tymi właśnie wyjazdami – do 3 mln 890 tys. zł. W tym czasie, czyli przez pół roku, firma Media Film Dariusza Gąsiora z Rzeszowa wystawiła partii 53 faktury na 1 mln 523 tys. zł. W kampanii prezydenckiej rachunki od niej opiewały na kwotę 1 mln 900 tys. zł. Firma nie ma strony internetowej, bo Gąsior zapewnia, że w swojej branży tego nie potrzebuje. Zajmuje się produkcją filmów, reklam, wydarzeń, a rachunki dla PiS opisane były jako „obsługa techniczna spotkań”. Co dokładnie robi dla partii?

– *Moja firma przygotowuje spotkania od strony technicznej, tj. oświetlenie, nagłośnienie, scenografię, multimedia, podesty dla mediów, wynajem obiektów, czyli technicznie dbamy o to, aby prezes PiS czy inni politycy mogli spotkać się z mieszkańcami. Dbamy też o profesjonalny przekaz telewizyjny takich spotkań* – mówi Gąsior. Dodaje, że już od wielu lat obsługuje partię, ale nie ma żadnych bliższych znajomości z politykami, tylko tyle co na odprawach w Warszawie czy przy okazji samego już wydarzenia. Nasz rozmówca zorientowany w partyjnych układach twierdzi, że Gąsiora do partii przyprowadził Przemysław Tejkowski, dziś członek rady nadzorczej TVP i prezes Polskiego Radia Rzeszów. – *Obaj są związani z Rzeszowem, a Tejkowski to bardzo dobry znajomy Joachima Brudzińskiego. To dzięki niemu Gąsior dostaje od partii grube zlecenia.*

W 2017 r. „Gazeta Wyborcza” ujawniła, że Dariusz Gąsior (a także kilku innych usługodawców partii) przelał 10 tys. euro na europejską międzynarodówkę Sojusz Konserwatystów i Reformatorów (ACRE), do której należy PiS, oraz jej think tank New Direction (kieruje nią europoseł i szef sztabu wyborczego PiS Tomasz Poręba). Szefowa komisji kontroli budżetowej w PE nazwała to „zaawansowanym modelem ewentualnej korupcji” – zaawansowany, bo zgodny z prawem. Dla ACRE i New Direction darczyńcy są ważni, bo europejskie partie i fundacje dostają unijne pieniądze zgodnie z zasadą: wykładają 15 proc. z własnych środków, dostają 85 proc. z Unii. Czy wpłaty na ND były formą rewanżu za zlecenia z PiS? Trudno oficjalnie stwierdzić. Pewne jest to, że Media Film Dariusza Gąsiora dobrze na współpracy z PiS zarabia, choć – jak można usłyszeć w obozie władzy – przy okazji tej współpracy zarabiają też inni jego podwykonawcy związani z partią.

## Droga konwencja mobilizacyjna

Największa faktura, jaka została opłacona z konta partyjnego PiS w 2022 r., opiewa na 1 mln 347 tys. zł i jest datowana na 6 czerwca – „organizacja konwencji w Markach”. Na informację o tym, kto ją wystawił, dziś trzeba poczekać kilka tygodni, a może nawet miesięcy. Jeszcze dwa lata temu wystarczyło zajrzeć do dołączonego do sprawozdania partii wyciągu z konta

bankowego i wiadomo było, komu dokładnie zostały przebrane pieniądze. Jednak czasy takiej jawności w KBW najwyraźniej już minęły. Szefowa Magdalena Pietrzak, powołana na to stanowisko w 2018 r., zarządziła, że zanim pozwoli przeglądać dziennikarzom partyjne konta, należy zanonimizować dane wrażliwe, jak np. adresy osób, które na tych wyciągach mogą się pojawić. To tysiące stron, więc zaczerpnienie danych może trochę potrwać.

Nawet wskazanie KBW kilku konkretnych numerów faktur z prośbą o sprawdzenie, kto jest stroną umowy, bez dawania dostępu do całego wyciągu z konta, nie pomogło. Udało się jednak ustalić, że w przypadku tej konwencji i dość wysokiej za nią faktury chodzi o spółkę JustPoint. Tak się składa, że partia urządziła imprezę w hali należącej do gminy Marki pod Warszawą. I choć burmistrz do dziś nie chce ujawnić radnym i mieszkańcom, za ile ją wynajął, to udostępnił im umowę na ten wynajem (utajniając kwotę), w której stroną jest właśnie JustPoint. Spółka od dawna przyjmuje zlecenia od PiS.

W ostatniej kampanii prezydenckiej wystawiła jej kilkadziesiąt faktur na łączną sumę 4 mln 632 tys. zł. Ta agencja też znalazła się wśród darczyńców, którzy płacili na polityczne zaplecze frakcji PiS w europarlamencie. Za przygotowanie „koncepcji i strategii działań medialnych, planowanie i projektowanie materiałów multimedialnych, a także nadzór nad produkcją materiałów” JustPoint zainkasował w kampanii Andrzeja Dudy 300 tys. zł. Teraz też pracują dla partii. Nasi informatorzy mówią o układzie, w którym ta spółka funkcjonuje. – *Tak naprawdę to jej podwykonawcami są ludzie związani z Michałem Lorencem, w tym sztabowcy PiS Anna Plakwicz i Piotr Matczuk* [o tej parze pisaliśmy w ostatnim numerze POLITYKI – red.] – mówi osoba zorientowana w rozliczeniach. Lorenc jest synem znanego kompozytora, który obraca się w towarzyskim kręgu prezesa PiS. Agencje powiązane z juniorem dostają wiele zleceń od spółek Skarbu Państwa, jednak ani one, ani on sam nie chce oficjalnie występować w dokumentach finansowych, które partia co roku musi złożyć do KBW.

Właścicielem JustPoint jest Jan Walkiewicz, który zasiada w radzie fundacji Skrzydła Chwały, współorganizatora Ogólnopolskiego Turnieju Husarskiego, sponsorowanego przez PZU, Orlen, PKO i z patronatem MON. Sam jest prezesem Fundacji Rekonstruktorzy.pl, która m.in. zajmuje się rekonstrukcją bitew i edukacją historyczną. Z jej sprawozdania można się dowiedzieć, że w 2021 r. dostała cztery darowizny po 20 tys. zł od Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, MON i Fundacji PGNiG oraz 30 tys. zł od Orlenu. Tych związków z obecną władzą jest więcej, bo JustPoint obsługuje też ministerstwa.

„W dwa miesiące po tysiącach przejechanych kilometrów i setkach spotkań stworzyliśmy koncept wydarzenia, który następnie wyprodukowaliśmy i zrealizowaliśmy na zlecenie Port Gdański we współpracy z Ministerstwem Infrastruktury i Urzędem Morskim w Gdyni” – tak pisali na swoim FB o otwarciu kanału przez Mierzeję Wiślaną jesienią. JustPoint zostało do tego wybrane w trybie zamówienia z wolnej ręki, czyli z wyłączeniem konkurencji, a wynagrodzenie wynosiło 1 mln 389 tys. zł. Z innego postu na FB: „Właśnie dołożyliśmy małą cegiełkę do otwarcia niezwykle oczekiwanego tunelu w Warszawie. Postawiliśmy ekran diodowy oraz zajęliśmy się oświetleniem na konferencji prasowej”.

Jan Walkiewicz na nasze pytania np. o to, czy spółka brała udział w przetargu na obsługę otwarcia przekopu, odpisał: „Jako podmiot komercyjny nie podlegamy regulacjom dotyczącym jawności życia publicznego w tym ustawie o dostępie do informacji publicznej”. Informuje też, że „członkowie Zarządu i pracownicy Spółki JustPoint nie wyrazili zgody na podawanie publicznie ich danych osobowych, w tym imienia i nazwiska. (...) Jakiegokolwiek więc naruszenie tych praw będzie więc ►

► skutkowało, poza wejściem na drogę procesową, odpowiednim zgłoszeniem do prezesa UODO”. Innego zdania na ten temat jest prawnik Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego, który zajmuje się finansowaniem polityki: – *Spółka ta jako podmiot wykonujący zlecenia za publiczne pieniądze nie może się w sposób nieograniczony powoływać na ochronę tajemnicy przedsiębiorstwa. Można i powinno się jak najbardziej pisać o tym, że JustPoint zawiera umowy na organizację wydarzeń podmiotom publicznym. A takie straszenie to próba wywołania efektu mrożącego.*

## Na życzenia, gadżety i badania

Partia sporo inwestuje w to, aby być widoczna w terenie i w sieci. Za wynajmowanie biur w 2022 r., w Warszawie i tych w całej Polsce, zapłaciła 1 mln 150 tys. zł. PiS otworzył ostatnimi czasy kilka regionalnych biur. Najwięcej, bo aż 51 tys. zł miesięcznie, kosztuje ok. 500 m kw. wynajmowanych przy Nowogrodzkiej na siedzibę partyjnej centrali. Budynek należy do prywatnej polskiej spółki hotelarskiej i choć co jakiś czas wracają pomysły przeprowadzki, to wciąż nie znaleziono lepszego miejsca. Prawie 200 tys. zł PiS zainwestował w reklamę na Facebooku. Najwięcej – po 25 tys. zł przez pierwsze dni kwietnia – promując wydarzenia rocznicowe z okazji 12. rocznicy katastrofy smoleńskiej (to wtedy prezes PiS ogłosił: „nie mamy żadnej wątpliwości, że to był zamach”) i na rozpowszechnienie nagrania z bożonarodzeniowymi życzeniami prezesa PiS (a tu wyraził wiarę, „że przyszły rok przyniesie pokój”). Trzeba odnotować, że na tę rocznicę smoleńską, zresztą jak i na inne wydarzenia z głównym udziałem Jarosława Kaczyńskiego, partia zwozi swoich zwolenników, za co zapłaciła w 2022 r. prawie 750 tys. zł.

Z ciekawostek – to kilka tysięcy rocznie PiS wydaje na utrzymanie 57 adresów stron internetowych. Większość z nich nie działa i pewnie są zarezerwowane na wybory, np. programtraskowskie-go.pl; samorzadnapolska.pl. To, że kampania zaczęła się co najmniej pół roku temu, widać też po tym, że partia nie oszczędzała na gadżetach promocyjnych: 1 mln 329 tys. A były to m.in.: torby z logo PiS, chorągiewki, gadżety z logo partyjnym za 257 tys. zł, a także np. przegląd mównicy (wraz z wymianą grafik), z której występuje prezes PiS w czasie objazdu kraju, za 6 tys. zł.

O tym, że partia intensywnie pracuje nad strategią wyborczą, świadczą też wydatki na badania. Ile dokładnie przez cały miniony rok, tego trudno się dowiedzieć, bo to znów informacje zawarte w wyciągach bankowych, na które KBW każe czekać. Jakąś wiedzę na ten temat przynosi jednak publiczny rejestr wpłat i umów. Partie polityczne od 1 lipca 2022 r. muszą na bieżąco na swoich stronach internetowych ujawniać te informacje. Wiadomo więc, że w listopadzie Piotr Agatowski za 135 tys. przeprowadził badanie opinii publicznej. Socjolog od 2015 r. jest we wszystkich sztabach kampanijnych partii, także teraz w wąskim siedmioosobowym sztabie, który zbiera się kilka razy w tygodniu przy Nowogrodzkiej. Informacje w rejestrze mają być zamieszczane bez zwłoki, nie później niż 14 dni od otrzymania wpłaty czy zawarcia umowy. Stąd też wiadomo, że w tym roku Agatowski podpisał już na badania trzy umowy za 414 tys. zł łącznie.

## Od lat na dzieła o. Rydzka

Rejestr przynosi też ciekawą informację o umowie podpisanej z Fundacją Lux Veritatis Tadeusza Rydzka. Kiedyś KBW zapytało, na co konkretnie idą te przelewy. Księgowa partii odpisała, że to „opłaty za przygotowanie i realizację transmisji wydarzeń związanych z obchodami miesięcznicy smoleńskiej w TV Trwam”. Okazuje się, że 4 stycznia tego roku skarbniczka PiS oraz członek komitetu politycznego Henryk Kowalczyk podpisali aneks do umowy zawartej z Fundacją już w 2015 r., a obowiązujący

do końca tego roku. Umowa obejmuje „transmisję na żywo Mszy Świętej” za 36,9 tys. zł miesięcznie. Jak tłumaczył niedawno w POLITYCE były skarbnik PiS Stanisław Kostrzewski, transmisja mszy to z pewnością nie jest żadna działalność statutowa partii, to jest niezgodne z ustawą o finansowaniu partii politycznych. Jak przekonuje jeden z polityków PiS, pieniądze z konta partii to kropla w porównaniu z tym, co Tadeusz Rydzka dostaje na swoje dzieła z budżetu państwa.

Niestety, w tym publicznym rejestrze nie ma śladu po fakturach, które wystawia Media Film za organizację spotkań polityków PiS, ani tych wydatków na gadżety czy promocję w internecie. – *W rejestrze publikowane są tylko umowy, których partia jest stroną. Inne płatności, często na bardzo wysokie kwoty, które są ukryte u kolejnych podwykonawców lub są rozliczane tylko na podstawie faktur, w tym rejestrze nie znajdziemy* – zauważa Katarzyna Batko-Tołuć z Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska. – *W tej sytuacji trudno mówić o jawności i przejrzystości finansów partii, a mamy prawo tego oczekiwać, bo partie dostają publiczne pieniądze z subwencji budżetowej i zgodnie z konstytucją finansowanie partii jest jawne.*

## Przelewy po pewnym spotkaniu

Za to publiczny rejestr wpłat na partię, który porównaliśmy z dokumentami dotyczącymi wpłat na partię złożonymi w KBW, potwierdza informacje, ujawnione już przez POLITYKĘ, o pewnym spotkaniu w Ministerstwie Aktywów Państwowych. Latem w resorcie Jacka Sasina odbyła się rozmowa z szefami niektórych państwowych spółek, w czasie której usłyszeli, że partia oczekuje od nich wpłat na konto. Prezesi mają przelewać maksymalne dozwolone prawem kwoty, a dyrektorzy najlepiej, żeby wpłacali równowartość jednej pensji. Z dokumentów w PKW wynika, że dopiero właśnie po tym spotkaniu w MAP konto z darowiznami zaczęło puchnąć.

W listopadzie POLITYKA ujawniła, że pięć osób z zarządu PZU w ciągu zaledwie tygodnia wpłaciło na konto PiS łącznie 225 tys. 750 zł. Po naszej publikacji na partyjne konto wciąż płyną pieniądze od ludzi zatrudnionych w spółkach Skarbu Państwa (od prezesa Pekao SA, Orlenu, Enei, KGHM, PGE itd.). Tylko w tym roku osoby powiązane ze spółkami Skarbu Państwa przekazały PiS już ponad 420 tys. zł. W 2023 r. sympatyk może przelać partii 15-krotnie minimalnego wynagrodzenia za pracę (to od stycznia 2023 r. wynosi 3490 zł), czyli 52 350 zł, i tyle samo na fundusz wyborczy. Partia może wykorzystać te pieniądze na bieżące wydatki lub przelać na konto, z którego finansuje kampanię.

W 2022 r. PiS zebrał 1 mln 48 tys. zł darowizn, do czego w znacznym stopniu dołożyli się ludzie ze spółek. Ze składek członkowskich partia uezbiarała 2 mln 881 tys. zł. To pokazuje, jak ważnym zasobem finansowym są pieniądze od ludzi nominowanych przez partię do spółek. Dyrektor z jednej ze spółek jest przekonany, że z tymi wpłatami na PiS nie chodzi tylko o zasilanie partyjnej kasy: – *Ta lista wpłat publikowana w internecie to oficjalny i publiczny dowód lojalności wobec PiS.*

Ale to, o czym tu piszemy, to i tak niezbyt wiele w porównaniu z tym, ile do kampanii PiS już teraz dokładają się i jeszcze dosypią spółki przez nich zarządzane. Od miesięcy trwa festiwal wręczania czeków w okręgach wyborczych przez polityków PiS, na których pokrycie dają właśnie spółki, a także kluczyków do wozów strażackich czy karetek. Do tego dochodzi dokładanie miliardów na TVP, która stała się tubą reklamową partii władzy. A przede wszystkim dziesiątki miliardów, jakie już są i będą przeznaczane dla najważniejszych dla PiS grup wyborców. Oficjalny budżet partii to są pieniądze „na wakacje”.

ANNA DĄBROWSKA





Protest rolników w Czernichynie pod Hrubieszowem.

# Ziarna gniewu

Z powodu bezprecedensowo niskich cen zboża polscy rolnicy tracą miliony. Protestują, pomstują na władzę, wymusili ustąpienie ministra. Czy wieś pozostanie wierna partii rządzącej?

NORBERT FRĄTCZAK

**A**dam Żebrowski ze wsi Małochwiej Duży pod Krasnymstawem ma na ogrodzeniu baner: „Ukraińska pszenica, polskie nawozy i ropa wykończą chłopą”. Pod takim hasłem protestują rolnicy z Lubelszczyzny, zrzeszeni w stowarzyszeniu Oszukana Wieś, założonym w lutym przez członków Zamojskiego Towarzystwa Rolniczego niezadowolonych z poczynań rządu (ich znakiem rozpoznawczym są żółte kamizelki). Ci sami, którzy podczas V Europejskiego Forum

Rolniczego w Jasionce obrzucili jajkami byłego już ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka i towarzyszącego mu Janusza Wojciechowskiego, unijnego komisarza do spraw rolnictwa.

Żebrowskiego w Jasionce nie było, protestował za to wcześniej w Chełmie i w Dorohusku. Chełm był jeszcze w styczniu – ponad 500 ciągników blokowało miasto przez dwa dni. Akcję zorganizowała Agrounia, wicepremier Kowalczyk obiecał jej delegacji, że będzie zabiegał o przywrócenie cła na ukraińskie zboża. Najwidoczniej

słabo zabiegał, bo niespełna miesiąc później Żebrowski pojechał z Oszukaną Wsią do Dorohuska, żeby blokować przejście na granicy z Ukrainą. Blokada trwała dwa dni, rolnicy przepuszczali tylko cysterny z paliwem, pomoc humanitarną, towary ADR i samochody wiozące zaopatrzenie wojenne.

Pełnoetatowym rolnikiem Żebrowski został w 2008 r. Wcześniej przez 30 lat był elektrykiem w cukrowni w Krasnymstawie. Koledzy z zakładu mają dziś po 6 tys. zł emerytury, a Żebrowski, którego ►

► wzięło na uprawianie ziemi, 200 ton niesprzedanego zboża i grosza przy duszy. – *Zona prosiła ostatnio: jedź, sprzedaj choć trochę, bo pieniądze się skończyły. Ale nie ustąpiłem, bo jak to tak, oddać owoc mojej pracy za półdarmo* – wyjaśnia.

– *Takie są realia* – mówi reporterowi POLITYKI pracownik firmy skupowej spod Hrubieszowa. I pokazuje cennik. Tona pszenicy za 850 zł, jęczmienia za 800. Gdy po ubiegłorocznych żniwach Kowalczyk zachęcał rolników, żeby przetrzymywali zboże, bo później dostaną za nie więcej, za tonę można było wziąć 1,6 tys. zł.

Adam, rolnik z Feliksowa, kolonii w Lubelskiem (15 ha pszenicy), posłuchał ministra i dziś jest 35 tys. zł w plecy. Żeby jakoś przeżyć tę stratę, wziął 20 tys. zł pożyczki. – *Jeśli cena pszenicy nie pójdzie w górę, nie wiem, jak ją spłać* – tłumaczy. Od ośmiu lat głosował na PiS. Podobnie jak większość ludzi w tej okolicy. W wyborach parlamentarnych z 2019 r. partia Kaczyńskiego zdobyła w województwie lubelskim 58 proc. głosów (więcej dostała tylko na Podkarpaciu – 62 proc.). Koalicja Obywatelska była druga, ale uzyskała poparcie jedynie niewiele ponad 16 proc. wyborców. A PSL, partia z wiejskim rodowodem – niespełna 12 proc.

W sumie w ostatnich wyborach parlamentarnych na PiS zagłosowało 67 proc. rolników. Politycy tej partii wielokrotnie podkreślali, że to dzięki głosom wsi są u władzy. I dopieszczali rolniczy elektorat. Na początku roku partia rządząca w ekspresowym tempie przegłosowała zmianę sposobu waloryzacji emerytur z KRUS. Od marca emerytura podstawowa rolnicza wynosi 1430 zł, czyli 90 proc. minimalnej emerytury zusowskiej. Wcześniej PiS dał rolnikom inny prezent – możliwość pobierania pełnej emerytury z KRUS bez konieczności zbywania ziemi, dzięki czemu mogą otrzymywać emerytury, nie rezygnując z pracy. Do tego dochodzą mniej standardowe propozycje, jak „krowa plus” (dopłaty dla hodowców krów i świń) czy dotacje do nawozów.

Wszystko po to, by zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie na wsiach zrobiła jesienią 2020 r. próba wprowadzenia tzw. piątki dla zwierząt. Ustawa miała ustanowić zakaz hodowli zwierząt futerkowych, ograniczyć ubój rytualny, zakazać wykorzystywania zwierząt w celach rozrywkowych i widowiskowych oraz trzymania ich na łańcuchach lub w ciasnych kojcach, wreszcie zlikwidować tzw. komercyjne schroniska. Słowem: miała zdecydowanie poprawić los zwierząt w Polsce, ale rolnicy odebrali ją jako policzek i zamach na wolność wsi. „Jarosław Kaczyński powinien

publicznie przeprosić za piątkę, jednoznacznie się od niej odciąć i zapewnić, że nigdy do tego nie wrócimy” – mówił POLITYCE Jan Krzysztof Ardanowski, który za sprzeciw wobec piątki musiał oddać fotel ministra rolnictwa.

Od jakiegoś czasu w mediach pojawiały się spekulacje, że minister i wicepremier Henryk Kowalczyk podzieli jego los. Tego domagała się duża część rolników. „Minister nie ochronił cen polskich produktów. Sprawa zboża z Ukrainy to tylko pretekst” – mówił w mediach prezes Agrounii Michał Kołodziejczak. Ale wcześniej Kowalczyk próbował odpiarać zarzuty, tłumacząc, że przerzuca się na niego skutki decyzji, które zapadły na poziomie Unii Europejskiej. „Jaki był sposób inny, jeśli mamy otwarte granice? Faktem jest, że Komisja Europejska oprócz deklaracji słownych o korytarzach solidarnościowych niewiele zrobiła” – bronił się na antenie Programu Pierwszego Polskiego Radia.

Janusz Wojciechowski, unijny komisarz do spraw rolnictwa, oddelegowany do Brukseli przez obecny rząd, sam wcześniej przekonywał, że mimo bezcłowego importu z Ukrainy polscy rolnicy nie będą mieć problemu ze sprzedażą zbóż. Ostatecznie pod naporem krytyki obiecał, że poprze wniosek Polski o przywrócenie ceł na ukraińskie zboże, jeśli taka prośba dotrze do Brukseli.



## Sprzedawaj, bo będziesz płakał

Wielu rolników nie przyjęło tych tłumaczeń. – *Byłem naiwny, sądząc, że PiS zależy na dobru wsi. Jesienią nie popełnił tego samego błędu* – mówi Adam z Feliksowa. Zapytany, na kogo w takim razie zamierza głosować, odpowiada, że na nikogo. – *Tusk też o rolnikach zapomni, gdy tylko mu się uda wrócić do władzy. PSL już miał swoją szansę i też zawiódł. Zostaje jeszcze Konfederacja, ale im chodzi o biznesmenów, a nie chłopów. Tak że zostanie w domu i niech się bawią beze mnie* – wyjaśnia.

Kilka kilometrów dalej gospodarstwo Bończy. Henryk (rolnik na 60 ha) też jest wściekły na PiS za ceny zboża. Żyje głównie z pszenicy, ale i tak jest w nie najlepszej sytuacji, bo swoje plony sprzedał w lutym, gdy zboże chodziło jeszcze po ponad tysiąc złotych. – *Już w grudniu koledzy mówili: Heniu, sprzedawaj, bo będziesz płakał. Ale nie usłuchałem i w sumie jestem 120 tys. w plecy* – tłumaczy.

Do tego dochodzi nawóz, który Henryk kupił jeszcze w ub.r. Wiadomo było, że rząd nie utrzyma zerowej stawki VAT na nawozy i po nowym roku będzie drożej.

– *Byłem przekonany, że zrobiłem dobry interes, a w lutym gaz i inne surowce poleciały w dół, a nawóz mocno stanął* – żali się Henryk, który uważa, że rząd powinien mu zrekompensować stratę, bo w porę nie zareagował obniżkami, gdy ceny nawozów były absurdalnie wysokie. On też nie zamierza głosować na partię Kaczyńskiego, nawet jeżeli się teraz zreflektują i powetują straty rolników. – *Najnormalniej nie mam już zaufania do tych ludzi. Do reszty polityków też zresztą nie* – dodaje.

Nie bez powodu PiS nie martwi się, że któraś z partii opozycyjnych podbierze mu wyborców ze wsi. Dla PiS realnym zagrożeniem jest demobilizacja i rezygnacja z uczestnictwa w wyborach wśród mieszkańców wsi. Partia Kaczyńskiego liczy dziś każdy głos, który pozwoli jej utrzymać się u władzy, a niezadowolone rolników może skutecznie pokrzyżować ten plan.



## Wiejska rewolta

Żeby temu zapobiec, Kowalczyk podpisał 29 marca w nocy porozumienie z rolnikami. Dokument liczy 11 pkt, a najważniejsze to przywrócenie ceł oraz wprowadzenie kaucji na tranzyt i artykuły rolno-spożywcze z Ukrainy do poziomu cen na rynku polskim. Dalej: wprowadzenie „tarczy dla branży rolno-spożywczej” w wysokości co najmniej 10 mld zł oraz zdjęcie z polskiego rynku, do końca czerwca 2023 r., nadmiaru zbóż i rzepaku poprzez eksport oraz wykorzystanie na cele energetyczne. – *Rząd kupił sobie trochę czasu tym porozumieniem z rolnikami, ale jeżeli jego postanowienia nie będą realizowane, stanie się ono zapalnikiem rewolty na wsi* – uważa Artur Balazs, minister rolnictwa w rządzie Jerzego Buzka i minister ds. warunków życia na wsi w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, a także rolnik produkujący na rynek.

I zdaje się, że ma rację. Już niecały tydzień po podpisaniu porozumienia rolnicy doszli do wniosku, że żaden z 11 punktów nie jest realizowany, i wznowili protest. Oszukana Wieś i Zamojskie Towarzystwo Rolnicze ściągnęły do Czerliczyna pod Hrubieszowem ponad pół tysiąca rolników i kilkaset ciągników. Były bałwany z balonów i baner z napisem: „Premierze, ministrze, prawda was wyzwoli”. Oraz manekin polskiego rolnika, rozciągnięty na wysięgniku. Nad jego rękami tabliczki „Unia” i „Rząd”. Pod nogami „Oligarchowie” i „Komornik”. Na środku „PiS”.

„Minister Kowalczyk wszystko, czego chcieliśmy, nam obiecał. (...) Miały być



wzmoczone kontrole na granicy. Dziś minister mówi, że kontrole będą, ale w porcie. Czy ktoś widział choć jeden wagon tego zboża, które do nas wjeżdża, żeby było zawrócone? Nikt tego nie kontroluje, nie sprawdza. I dlaczego nikt nie może tego zatrzymać?” – krzyczał Wiesław Gryn, jeden z liderów Oszukanej Wsi i wiceprezes Zamojskiego Towarzystwa Rolniczego. Dostał brawa.

Ostatecznie konflikt z rolnikami kosztował Kowalczyka stanowisko. W ubiegłym tygodniu podał się do dymisji, informując, że Komisja Europejska opublikowała projekt przedłużenia bezcłowego i bezkontyngentowego importu zbóż z Ukrainy na kolejny rok. „Widać bardzo wyraźnie, że ten podstawowy postulat rolników nie zostanie spełniony” – przyznał. Jego następcą został Robert Telus, poseł PiS od 2007 r., a także przewodniczący sejmowej komisji rolnictwa i rozwoju wsi. – *Ta dymisja nie rozwiązuje polskiego problemu. A może nawet go komplikuje, bo Kowalczyk miał chociaż silną pozycję polityczną, która dawała mu pewne możliwości* – komentuje Artur Balazs.



## Wszystko stanęło na głowie

Rolnicy także nie zadowolili się głową Kowalczyka. „Sprawy polityczne zostawmy politykom. Niech robią tak, żeby było dobrze. Zmiana na stanowisku nie rozwiązuje naszych problemów” – mówili podczas trwającego od 23 marca protestu w Szczecinie, ogłaszając pełną mobilizację. To, co w przypływie szczerości ogłosił opuszczający stanowisko Kowalczyk, rolnicy przeczuwali wcześniej.

Michał Kołodziejczak, który brał udział w porozumieniu, już następnego dnia po jego zawarciu w rozmowie z POLITYKĄ przyznał, że sam plan nie rozwiązuje kryzysu. Jego Agrounia jeszcze przed ubiegłorocznymi żniwami rozsypała w Hrubieszowie worki ze zbożem pod drzwiami biura poselskiego wicepremiera Jacka Sasina na znak protestu przeciwko zapewnianiu polskich magazynów zbożem z Ukrainy, które przekraczało granicę bez cła. Polska miała być dla niego krajem tranzytowym, ale wyszło inaczej i stąd obecna wściekłość rolników.

– *Wściekłe to może być zwierzę, a my jesteśmy ukur...* – precyzuje Marek, rolnik spod Hrubieszowa, który właśnie wiezie do skupu kolejną partię zboża. – *Na każdej takiej przyczepie tracę 5,5 tys. zł. W sumie będzie ze 40 tys. straty* – tłumaczy.

Jego zdaniem w Polsce pod rządami PiS wszystko stanęło na głowie. – *Ceny*

*pszenicy lecą w dół, a chleb w sklepach coraz droższy. Z mlekiem to samo. Paliwo kupiłem w grudniu, a tu w styczniu cud i jednak staniało. Nie wiem, kto na tym zarabia, ale wiem jedno: nigdy już nie zagłosuję na PiS. I tu może pan skończyć ten objazd, bo każdy rolnik powie panu to samo* – sumuje.

Tyle że według statystyk na wsiach w Polsce mieszka dziś ok. 15 mln ludzi, a aktywnych gospodarstw rolnych jest tylko ok. 400 tys. Pozostali mieszkańcy to wciąż silny elektorat rządzącej koalicji, głównie za sprawą socjału. „Drożyzna jest okropna, ale Tusk gorszy” – usłyszeliśmy we wrześniu zeszłego roku, gdy odwiedziliśmy trzy gminy, w których PiS cieszy się niemal powszechnym poparciem, żeby sprawdzić, czy rosnące ceny są w stanie nim zachwiać.

– *My tu rządu nie winimy* – mówiła 84-latką ze Starego Lubotynia na Mazowszu. Podkreślała, że za PiS może i jest drogo, ale przynajmniej dają na dzieci. – *Mam trójkę wnucząt, które przy PiS dobrze odżyły. A i ja dostałam właśnie 14. emeryturę. Byle tylko Tusk nie doszedł do władzy, bo nam to od razu zabierze. My tu za nim nie jesteśmy i nie będziemy. Choć jest strach, bo młodzi podobno go lubią, ale oni nie wiedzą, co ich czeka. Broń Boże, żeby się przekonali.*

Dziś także można usłyszeć podobne głosy. – *Ja tam pola nie uprawiam, więc ceny zboża mnie nie ruszają. Za to za Kaczyńskiego dostaję półtora tysiąca miesięcznie na dzieci. Że już nie wspomnę o wyprawkach do szkoły i innych dodatkach* – mówi Marta ze Skrwilna w woj. kujawsko-pomorskim.

Tablice informacyjne w tej i okolicznych wsiach oblepione są twarzami posłów PiS. Obok często zdjęcia Jana Pawła II. – *PiS to jedyna partia, która broni dziś Kościoła, i dlatego będę na nią głosował* – kwituje Włodzimierz z Borkowa Kościelnego pod Sierpcem.



## Rolnicy na celowniku

Ale na wsiach jest też sporo mieszkańców, którzy twierdzą, że nie wiedzą jeszcze, na kogo zagłosują. Dopytywani przyznają, że wcześniej wspierali PiS, ale teraz się zastanawiają. To mogą być tzw. fałszywi niezdecydowani, czyli dawni wyborcy partii rządzącej, i środek, czyli w praktyce prawoskrętne centrum, które pozostaje przy Kaczyńskim. Pisaliśmy o nich w marcu (POLITYKA 12). Szef Rządowego Centrum Analiz Norbert Maliszewski w niedawnym wywiadzie dla „Dziennika

Gazety Prawnej” wyłożył to w ten sposób: osoby, którym tradycyjnie najbliższe do PiS, z różnych powodów mogą dziś nie deklarować poparcia dla żadnej partii lub nawet wycofywać się w bierność. Właśnie ta grupa wyborców może nas znowu poprzeć, choć teraz znajdują się oni w tzw. poczekalni – naszym głównym zadaniem jest ich z tej poczekalni wyciągnąć”. Jednak łatwo nie będzie.

Artur Balazs: – *Należy mocno podkreślić: tego problemu nie da się rozwiązać bez aktywnego udziału Komisji Europejskiej. A biorąc pod uwagę dzisiejsze relacje rządu z Komisją Europejską, o porozumienie nie będzie łatwo.*

Na razie Komisja Europejska zatwierdziła 29,5 mln euro pomocy z rezerwy kryzysowej dla polskich rolników dotkniętych nadpodażą ukraińskiego zboża (dla Bułgarów przeznaczono 16,75 mln, a dla Rumunów 10,05 mln). Decyzja o sposobie ich podziału należy do władz krajowych. Dodatkowo KE zgodziła się, by rząd w Polsce wypłacił 600 mln zł pomocy publicznej dla producentów pszenicy i kukurydzy. Balazs Ujvari, rzecznik Komisji Europejskiej, przekazał w ubiegłym tygodniu, że ta zastanawia się nad przygotowaniem kolejnego pakietu pomocowego. „Gazeta Wyborcza” ustaliła, że może chodzić o 30 mln euro dla Polski. Ale to nie rozładuje napięcia na wsi. Znowu Artur Balazs: – *Jeżeli do czasu kolejnych żniw magazyny wciąż będą pełne, a ceny zboża w skupach takie jak dziś albo niższe, to PiS powinien się liczyć z utratą sporej części wiejskiego elektoratu. A to może mu uniemożliwić dalsze rządzenie.*

Jeszcze jedna rzecz trapi byłego ministra. Od jakiegoś czasu dochodzą go informacje o przesłuchaniach niewygodnych dla rządu przywódców rolniczych i szukaniu haków na lidera Agrounii Michała Kołodziejczaka. Jako człowiekowi Solidarności, internowanemu w stanie wojennym, Balazsowi kojarzy się to jednoznacznie.

– *Nie przypuszczałem, że takie metody powrócą jeszcze w Polsce. Wcześniej próbowano z Kołodziejczaka zrobić agenta Moskwy, inwigilowano go Pegasusem. Można to porównać do metod, jakie stosowano wobec działaczy Solidarności za czasów komuny. Jeżeli komuś wśród rządzących wydaje się, że skompromitowanie ludzi, którzy usiedli z nimi do zawarcia porozumienia, może być skuteczniejsze politycznie niż jego realizacja, może się to skończyć ostrym konfliktem z rolnikami.* A wtedy nawet autobusy dowożące mieszkańców wsi do urn na niewiele się w wyborach PiS-owi zdadzą.

NORBERT FRĄTCZAK

# Przeoczone klasy

Rok po ucieczce do Polski przed wojną tysiące ukraińskich dzieci pozostają niewidzialne dla polskiego systemu. Spędzają dni przed ekranami, ucząc się online albo wcale. Nikt tego nie sprawdza.

JOANNA CIEŚLA

**N**a ekranie telefonu Olgi co rano wyświetla się twarz nauczycielki i tablica. W czasie zdalnych lekcji, nadawanych ze szkoły w Winnicy, nie widać osób, które uczą się na miejscu, w sali. Ale Olga wie, że to same dziewczyny. Pięciu chłopców z klasy zginęło na wojnie. Nie został ani jeden.

W mniejszych okienkach komunikatora Olga widzi też tych, którzy łączą się online z Niemiec, Kanady, a także z Winnicy, z własnych domów. W szkole nie może być naraz więcej osób, niż zmieści się w schronie. Kamerki uczniów zdalnych muszą być włączone. Kilka razy w tygodniu, gdy specjalna aplikacja daje sygnał o alarmie lotniczym, cała szkoła schodzi do dawnej piwnicy. W nauczaniu online jest wtedy przerwa.

Olga ma 16 lat, uczy się zdalnie czwarty rok, z przerwą na jesień 2021 r. – między pandemią a wojną. Przyjechała do Warszawy w czerwcu 2022 r. z rodzicami, młodszą siostrą i bratem. Oni chodzą do szkoły, ona powinna pracować, ale nie może nic znaleźć. Może przez język. Polski, mówi Olga, jest *ważko* – trudny. Rozmowa idzie ciężko, w mieszanke polskiego, ukraińskiego i angielskiego. Ale gdy Olę zapytać, czy tęskni, odpowiada płynnie: – *Tak, proszę pani. Bardzo.*

## Odpiływ

Spotykamy się w Spoko Cafe, klubokawiarni w Warszawie przy ul. Kredytowej, zorganizowanej za pieniądze Norwegian Refugee Council przez Polską Akcję Humanitarną i streetworkerów z Grupy Pedagogiki i Animacji Społecznej. Młodzi czują się tu u siebie. Nie przychodzą dzieciaki przed 14. rokiem życia ani dorośli po 22., poza animatorami i psychologiem. Można wziąć udział w konsultacjach albo w warsztatach, wypić herbatę, pograć w ping-ponga. Olga, wysoka, długowłosa, starannie umalowana, w Spoko Cafe znalazła nawet chłopaka. Ale poza tym życie towarzyskie prowadzi tylko na Telegramie, godzinami pisze z koleżankami ze szkoły.



Warszawska klubokawiarnia Spoko Cafe. Młodzi Ukraińcy mogą tu spędzić razem

Pod koniec ubiegłego roku szkolnego, w następstwie rosyjskiej napaści na Ukrainę, w Polsce przebywało ponad 350 tys. Ukrainek i Ukraińców w wieku szkolnym. Tak wynika z rejestru tzw. statusu UKR, specjalnego numeru PESEL. W następnych miesiącach powyjeżdżali, jesienią było ich już 314 tys. Z danych Centrum Edukacji Obywatelskiej wynika, że tylko 46 proc. z nich uczyło się w polskich szkołach. Wśród dzieci z podstawówek do placówek chodziło 55 proc. Ale wśród starszych z liceów lub techników korzystał ledwie co czwarty. Według analizy Norwegian Refugee Council, które regularnie odświeża obraz sytuacji na podstawie danych Systemu Informacji Oświatowej, ukraińscy uczniowie powoli, ale systematycznie odpływają z polskich szkół. 6 marca było ich o 8,5 tys. mniej niż w październiku: 144,6 tys. (122,4 tys. w podstawówkach, 13,3 tys. w liceach i niecałe 8 tys. w technikach).

Ponieważ wyjazdy i przyjazdy wciąż trwają, można przyjąć ostrożnie, że poza polskim stacjonarnym systemem oświaty jest ok. 150 tys. dzieci i nastolatków. To 5 tys. pełnych 30-osobowych klas. Dzieci po traumach, zabranych z domu, wystraszonych. Na szerszą skalę żadna instytucja nie śledzi losów tej grupy, nie wie, co się z nimi dzieje.

## Ślepo i głucho

Na mocy decyzji polskiego Ministerstwa Edukacji i Nauki z marca ubiegłego roku ukraińscy uczniowie w Polsce mogą realizować obowiązek szkolny zdalnie, w ich macierzystym systemie oświaty. Rodzice mieli składać w tej sprawie specjalne oświadczenia, ale w Warszawie wpłynęło ich raptem 300, w innych miastach po kilkadziesiąt. Nie ma jak ich egzekwować ani sprawdzić, czy dziecko faktycznie się uczy. – *Uchodźcy często nie realizują obowiązku meldunkowego ani nie podają informacji, gdzie mieszkają* – tłumaczy wiceprezydent Warszawy Renata Kaznowska.

– *W pewnej perspektywie grozi nam, że te dzieci z systemu szkolnego wypadną. Może będą miały edukację podstawową, może żadną* – przestrzega prof. Maciej Duszczyk z Ośrodka





czas i skorzystać z pomocy psychologicznej. Na pierwszym planie: Anastazja.

Badań nad Migracjami UW. – *Niezależnie od tego, czy zostaną w Polsce, czy wrócą do Ukrainy, fundujemy sobie potencjalny problem z kilkudziesięcioma albo kilkuset tysiącami sfrustrowanych osób bez wykształcenia, a więc i bez pracy.*

Nawet jeśli przyjąć optymistyczny scenariusz, że dzieci skrupulatnie uczestniczą w lekcjach, oznacza to, że 150 tys. strau-matyzowanych młodych ludzi w naszym kraju od miesięcy tkwi w systemie nauczania online. Do którego minister Przemysław Czarnek jakiś czas temu wykluczył powrót ze względu na fatalne skutki dla psychiki uczniów. A – przypomnijmy – to tylko jedna z wad zdalnej nauki. – *Także stan fizyczny dzieci w stacjonarnej szkole jest łatwiejszy do monitorowania. Rozbiegają się na wufie – widać, czy nie są bite, czy nie głodują, w razie potrzeby można powiadomić odpowiednie służby. W obecnych warunkach nasze państwo jest na sytuację dzieci uchodźczych funkcjonujących poza polskim systemem edukacji ślepe i głuche* – podkreśla prof. Duszczyk.

Krzysztof Stanowski, dyrektor Centrum Współpracy Międzynarodowej w Lublinie, wieloletni urzędnik i działacz na rzecz edukacji, potwierdza, że przyjęte w Polsce rozwiązania to błąd i ewenement w skali świata. – *Można było się zgodzić na naukę online w systemie ukraińskim tych, którzy są na ostatnich etapach przygotowań do egzaminów, zwłaszcza maturalnego. Poza tym dzieci uchodźcze powinny być przyjmowane do klas ogólnodostępnych na mocy dotychczasowych, sprawdzonych przez lata przepisów, podobnie jak to jest w Wielkiej Brytanii czy Hiszpanii. Oczywiście dzieci przyjechało do nas bardzo dużo, więc byłoby to ogromne organizacyjne wyzwanie. Ale przez kolejne miesiące wojny był czas, aby zastanowić się, jak mu sprostać.*

## Parki i galerie

Dla ukraińskiego resortu edukacji nauka online to projekt postrzegany jako strategiczny dla zachowania narodowej tożsamości i więzi młodych z ojczyzną. Jak wspomniano, z powodów bezpieczeństwa korzysta też z niego wielu uczniów, którzy

zostali w kraju. Kto się zarejestruje, zazwyczaj jest pilnowany przez nauczycieli, by się łączyć. Informacje o „wagarach” szybko trafiają do rodziców, choć zależy to od szkoły. No i technicznie resortowi trudno jest ustalić, czy rejestrują się wszyscy ci, którzy powinni. W Polsce nie brakuje starszych „teoretycznych uczniów”, którzy przyznają, że szukają raczej pracy.

W Warszawie już wiosną ubiegłego roku młodzi z Ukrainy zaczęli zjawiać się przez Telegram w parku Świętokrzyskim i w okolicach galerii handlowych takich jak Złote Tarasy. – *Urząd Miasta poprosił nas o dyżury streetworkerskie* – opowiada Tomasz Szczepański z Grupy Pedagogiki i Animacji Społecznej. – *Część tych chłopaków i dziewczyn dość szybko zaczęła z nami rozmawiać – o problemach ze szkołą i z nauką, niektórzy o tym, że się upijają, że nie mogą liczyć na rodziców. Wśród uchodźczych rodzin nie brak takich, które miały problemy, zanim musiały wyjechać z kraju.* Streetworkerzy z GPAS starali się namawiać do korzystania z punktów do nauki online, stworzonych za pieniądze UNICEF, m.in. w Pałacu Młodzieży czy w Centrum Edukacji i Rozwoju na Woli. Uczniów wspierają tam także ukraińskojęzyczni asystenci. Ale zainteresowanie nie było zbyt duże. Może dlatego, że zwłaszcza młodzi z kolorowymi bransoletkami na rękach, z ośrodków pobytów, gdzie dzień i noc ktoś kręcił im się nad głową, potrzebowali przede wszystkim czasu bez kontroli dorosłych. Stąd wziął się pomysł na Spoko Cafe.

W innych miastach, jak Sopot, Gdańsk, Gdynia czy Kraków, we współpracy z organizacjami pozarządowymi również uruchomiono miejsca pozwalające na korzystanie z komputerów – i z pomocy – dzieciakom, które nie miały warunków do nauki. Ale bez państwowego systemu w skali kraju to wsparcie dla jednostek. Nie wiadomo nawet ilu. Ukraińskimi dziećmi, które nie uczą się w polskich szkołach, MEiN się nie interesuje. A o tych, które w nich są, Przemysław Czarnek najczęściej ma do powiedzenia tyle, że ich obecność nie powinna przeszkadzać polskim uczniom.

Maksym, 13-latek, na zdalne ukraińskie lekcje łączy się, kiedy wypada klasówka, co kilka dni. W pozostałe odrabia zadane prace, gdy wróci z polskiej szkoły we Wrocławiu. Mówi, że nie jest w niej za miło. Ma kilku kolegów, wszyscy Ukraińcy. Maksym z matką i młodszym bratem dotarli do Polski w kwietniu ubiegłego roku. Chłopcy od razu dołączyli do klas w podstawówce obok domu Barbary, Polki, która udostępniła im piętro. We wrześniu wychowawczyni Maksyma zdziwiła się, że chłopak ciągle jest w jej klasie. Maks się zezłościł, bo też wolałby być u siebie, pod Żytomierzem. W październiku przestał chodzić na lekcje. Matka zorientowała się, gdy się wygadał. Ze szkoły nikt nie zadzwonił ani nie napisał.

## Psucie statystyk

Analiza przedstawiona przez prof. Mikołaja Herbsta na marcowym seminarium EUROREG na Wydziale Socjologii UW potwierdza, że ukraińscy uczniowie to pojawiają się, to znikają. 19 proc. szkół, które kształciły ich w kwietniu, w listopadzie już ich nie miało. Z kolei 17 proc. szkół, w których wiosną ukraińskich uczniów nie było, do listopada zaczęło ich uczyć. Uchodźcy częściej trafiaли do szkół w większych i zamożniejszych miastach. Jednocześnie niepokojąco często było to placówki ze słabszymi wynikami. Działacze pracujący z uchodźcami przyznają, że te dzieci bywają postrzegane jako psujące statystyki, odciągające uwagę od pracy z polskimi uczniami. Rodzicom zdarzało się wręcz usłyszeć, że skoro syn czy córka uczy się online, to miejsce w polskiej szkole mu nie przysługuje (co, podkreślmy, nie jest prawdą). ►

► Centrum Edukacji Obywatelskiej zwraca uwagę, że w porównaniu z ubiegłym rokiem szkolnym w polskich placówkach ubyłoby aż 1,5 tys. oddziałów przygotowawczych. Cudzoziemcy mają się w nich uczyć przede wszystkim języka i wyrównywać różnice programowe. Jesienią takich oddziałów w całym kraju było tylko 956. Ale też przybywa kontrowersji, czy to rozwiązanie – zwłaszcza w dłuższej perspektywie – nie prowadzi do zamykania dzieciaków w gettach. Z drugiej strony Amnesty International w raporcie „Jesteśmy tutaj razem. Uczniowie i uczennice z Ukrainy w polskich szkołach” odnotowuje, że nauka uczniów nierozumiejących języka we wspólnych klasach z polskimi dziećmi zdaniem przeciwników tego rozwiązania może nieść głównie stres. Nieocenionym wsparciem dla dzieci z doświadczeniem uchodźczym są ukraińskojęzyczni asystenci międzykulturowi. Jednak w ponad połowie szkół, którym przyglądała się Amnesty, na takim stanowisku nie ma nikogo albo jest jedna osoba, która ma pod opieką nawet kilkudziesięciu dzieci. Przy tym pięcioro na sześcioro nauczycieli i nauczycielek, z którymi AI przeprowadziła wywiady, czuje się pozostawionych samym sobie, bez przeszkolenia do pracy z cudzoziemskimi dziećmi, zmuszonych do przygotowywania materiałów w języku ukraińskim za pomocą tłumacza online, drukowanych za własne pieniądze. Część samorządów przykłada się do wsparcia bardziej, w miarę dostępnych funduszy. Ostatecznie jednak to, czy dziecko z Ukrainy ma szansę na edukację i adaptację, zależy od tego, na kogo trafi. Inaczej mówiąc: od szczęścia.

### Pukajcie, a wejdziecie

Masza, 15-latką, trafiła dobrze za trzecim razem. Przyjechała z mamą i bratem w sierpniu do Warszawy. – *Próbowałam się dostać do liceum, ale powiedzieli nam, że powinnam iść do podstawówki. Ale tam był oddział przygotowawczy, w którym razem uczyły się dzieci z szóstej, siódmej i ósmej klasy. Bez sensu. Mama znalazła inny oddział przygotowawczy. Wszyscy po 15 lat, wszyscy Ukraińcy. Ale nie było żadnych lekcji, po prostu siedzieliśmy i gadali* – opowiada dziewczyna. Mama Maszy poszła więc do kolejnego liceum. – *Powiedzieli, że nie ma miejsc, ale może coś się zwolni. I tak mama była w sekretariacie 10 razy, aż wpuścili ją do dyrektora, który mnie przyjął do normalnej klasy.* Masza jest zadowolona. Choć mówić i pisać po polsku jej trudno, chce zdać maturę w Warszawie. Gorzej trafił Andriej, jej 11-letni brat. – *Dzieci w podstawówce mu dokuczały, chowały rzeczy, szarpały.* Andriej, mówi Masza, zaczął się bać Polaków. Uczy się online po ukraińsku, wychodzi tylko z mamą. Razem z nią będzie wracać do Ukrainy. Masza zostanie sama, w domu przyzakonnym, w którym teraz mieszkają.

Dzieci – zwłaszcza te uczące się w dwóch systemach naraz – zmagają się też z przeciążeniem nauką. I z tym, że materiał takich przedmiotów jak geografia czy historia nijak się ma do tego, czego w Ukrainie uczyły się przez lata. – *Oczywiście, jeśli ktoś chce zostać w Polsce, powinien się uczyć według polskiego programu, zdawać egzaminy. Ale ważne jest, aby nasza polityka opierała się nie na asymilacji, zmuszaniu do porzucania punktu widzenia własnego kraju, ale na ideałach integracji, otwartości również na wartości i tradycje związane z Ukrainą* – podkreśla Zofia Grudzińska, nauczycielka i działaczka, autorka raportu „Jaka powinna być polityka edukacyjna wobec uchodźców z Ukrainy?” dla Fundacji Batorego.

Na fali porywu serca bezpośrednio po wybuchu wojny organizacje pozarządowe we współpracy z przedsiębiorcami otworzyły stacjonarne ukraińskie szkoły w największych polskich miastach. Nauczycielkami zazwyczaj też są uchodźczynie, placówki wydają ukraińskie certyfikaty. Ale to kropla w morzu

potrzeb (pojedyncze szkoły w skali kraju), z upływem kolejnych miesięcy wojny jeszcze bardziej może maleć. Ulgowe warunki najmu powierzchni powoli zmieniają się w standardowe, prąd jest drogi.

Minister Czarnek stanowczo podkreśla, że Polska nie będzie finansować systemu edukacji innego kraju. Szef MEiN jeszcze jesienią wyliczał, że koszty utrzymania ukraińskich dzieci w naszych szkołach wyniosły prawie 1 mld zł i że Unia Europejska nie dołożyła nawet euro. Ale MEiN nie odpowiedział na nasze pytanie, czy do Brukseli wystąpiono o jakiegokolwiek pieniądze na ten cel. Minister Czarnek przy każdej okazji wzywa natomiast do odblokowania środków z Krajowego Planu Odbudowy w zamian za godne przyjęcie uchodźców. Skrętność tych wyliczeń nasuwa przypuszczenie, że faktycznie właśnie o nacisk na Unię w sprawie KPO tu chodzi, a nie o dobro ukraińskich dzieci. – *Skoro jako państwo utworzyliśmy w Banku Gospodarstwa Krajowego specjalny Fundusz Pomocy i z jego środków, poza budżetem państwa, dofinansowujemy szkoły, by przyjąć uciekające przed wojną dzieci, dlaczego nie wesprzeć z tego samego funduszu innych form pomocy tym dzieciom, obok polskiego systemu edukacji?* – zastanawia się Jerzy Wiśniewski, ekspert ds. edukacji, współautor raportu „Gościnna Polska 2022+”. Postulowano w nim, by z jednej strony wesprzeć hybrydowy system ukraiński, a z drugiej by stworzyć nowe możliwości współpracy. – *Chodzi np. o zawieranie umów między polską szkołą a organizacją pozarządową prowadzącą szkołę ukraińską, co pozwalałoby na udostępnianie sal, stołówek, prowadzenie częściowo wspólnych zajęć* – podpowiada ekspert. – *Ułatwiałoby to oswojenie z polskim systemem osobom, które miałyby tu zostać na dłużej, a z drugiej strony pozwalało na zachowanie tożsamości, wartości i języka.*

### Zanim zrobi się nieprzyjemnie

Zdaniem streetworkerów z GPAS, pracujących z uchodźcami przegapianymi przez system edukacji, ich sytuacja stabilizuje się, w sensie i dobrym, i złym. – *Niektórzy znajdują pracę, inni, zwłaszcza z ośrodków pobytowych, przyzwyczajają się do bezradności* – zauważa Tomasz Szczepański. Przewiduję, że w pierwsze ciepłe dni park Świętokrzyski w Warszawie, jak i podobne miejsca w innych miastach, znów zaczną się zaludniać.

W badaniach prezentowanych przez prof. Mikolaja Herbsta na seminarium EUROREG 42 proc. ukraińskich rodziców przepytanych w styczniu powiedziało, że chce, by ich dzieci jak najdłużej uczyły się w polskiej szkole. 28 proc. wolałoby, aby jak najszybciej wróciły do szkoły w Ukrainie. 27 proc. się waha. Jednocześnie prawie dwie trzecie rodziców planowało zostać w Polsce na stałe lub na dłużej.

Prof. Maciej Duszczyk żałuje, że nie uczymy się na błędach krajów bardziej doświadczonych. – *Wiemy o problemach drugiego, trzeciego pokolenia imigrantów, tak z Ukrainy, jak i z Polski, np. w Niemczech lub Francji, którzy trafiali do gorszych szkół, nie odnajdowali się na rynku pracy, popadali w patologie. U nas część dzieci uchodźców jest w słabszych szkołach, część w ryzykownym systemie zdalnym, a część w żadnym, więc ta sytuacja może się skończyć jeszcze gorzej.*

Eksperti przekonują, że system nauczania trzeba przygotować do kształcenia w wielokulturowym środowisku, bo jako kraj już nie przestaniemy nim być. Rok temu minister Czarnek przepowiadał, że w ciągu dwóch tygodni wojna się skończy, a ukraińskie dzieci opuszczą polskie szkoły, by bezpiecznie uczyć się w swoich własnych. Dodawał, że z natury jest optymistą i że tego nastawienia nic nie zmieni.

JOANNA CIEŚLA





# Rozdwojony

Rozmowa z satyrykiem **Abelardem Gizą** o tym, jak politycy zabierają robotę błaznom, a żarty zamieniają się w rzeczywistość.

**Abelard Giza** (rocznik 1980) – skończył politologię, ale wolał aktywność związaną ze sceną kabaretową. Po tym, jak w 2014 r. przestał działać założony przez niego Kabaret Limo, Giza skupił się na stand-upie. Uznawany jest za jednego z czołowych scenicznych komików w Polsce.

**JULIUSZ CWiELUCH:** – Polska to raj, oczywiście dla stand-uperów.

**ABELARD GIZA:** – Raj, jaki raj? Premier tego kraju jest wiecznie uśmiechnięty i tryska optymizmem. A ja jestem komikiem i ciągle się przejmuję, to o co tu chodzi?

**O to, że Polska to taki sam kraj jak każdy inny, tyle że na odwrót.**

To by wiele tłumaczyło. Ja nie śpię czasem po nocach, bo biorę odpowiedzialność za dwójkę małych ludzi. A premier

ma brać odpowiedzialność za 37 mln i nie widziałem, żeby był niewyspany.

**Jestem przekonany, że premier bardzo dba o swoje miliony.**

Rozbawił mnie pan. Ale jednak dalej się martwię, że politycy odbierają nam publiczność. Po co chodzić na stand-up, kiedy ma się taki rząd? Prezydent też jest zagrożeniem, zwłaszcza jak nie podpisuje tych ustaw, na które się umówili, że on ich nie podpisze. Albo te papieskie kremówki rozdawane w pociągach.

**Żarty i żarcie, żyć nie umierać.**

Tylko jak ja mam robić żarty z żartów? Jak ja mam rozśmieszyć ludzi, że minister sprawiedliwości powinien wziąć czasem sprawy we własne ręce, jak się okazuje, że typ biega z kławką za paskiem. Dlatego w ostatnim programie o polityce jest bardzo mało. To już ogólnie mało kogo śmieszy.

**Jak zmienili się Polacy przez te ćwierć wieku, kiedy obserwuje ich pan ze sceny?**



► Dalej chodzimy do „picerni”, ale jak nam dadzą pizzę na cienkim cieście, to już nie robimy burdy, że chcą nas okraść. To tak z grubsza. Jest jeszcze kilka różnic, ale te są już mniej istotne.

#### **Jaja pan sobie ze mnie robi.**

No tak właśnie ludzie reagowali, jak kiedyś dostawali pizzę na cienkim cieście. A tak bardziej serio, to w 2015 r. po żartach z papieża TVP dostało za mnie karę finansową, a mnie odwołali występ w Rabce i Skierniewicach, co oczywiście bardziej mnie zabolalo. Miałem też taki gag, że wpadam na przyjęcie urodzinowe córek i rzucam, że Jan Paweł II wiedział o pedofilii w Kościele. Też już zupełnie nieśmieszne.

#### **Jest tego więcej?**

Są tematy, które powszedniej w takim dobrym tego słowa znaczeniu, np. homoseksualność. Dziś, nie licząc kryptogejów, właściwie już mało kto atakuje kogoś za orientację seksualną. I coraz więcej osób się outuje. Tylko w rządzie nie mogą. W sumie to zabawne, że przychodzisz do władzy i musisz ukrywać, że jesteś gejem. Jesteś gejem, to sobie bądź. A nie jak wcześniej musiałeś kłamać przez 60 lat, że żyjesz z kuzynem albo z kolegą, żeby na czynszu oszczędzić. Jakie to musiało być smutne. Już tak nie trzeba.

#### **W 2014 r. z badań wynikało, że najbardziej cieszą nas żarty ze szwagra.**

Ja nie mam szwagra, to trudno mi to badać. Ciągłe bawi robienie laski. Widać to dalej jest temat.

#### **Motyw robienia laski – jak pan powiedział – w stand-upie pojawia się jak refren w piosenkach. Ale słuchając pana programu, pomyślałem, że jakby tekst wyfletować z przekleństw i seksu oralnego, to nie byłaby lekcja śmiechu, ale normalności. Ja bym z tym jeździł po szkołach.**

Ogólnie wszyscy chcemy mieć łatwe życie, najlepiej takie z filtrami z Instagrama. Tyle że stand-up nie jest od tego. Przynajmniej nie ten, który ja sobie cenię. Mam fajny numer o dawaniu kwiatów. Publiczność dobrze na nim reaguje. I w zasadzie mógłbym na takich gagach poprzestać, ale interesują mnie problemy trochę bardziej istotne niż dawanie kwiatów, np. dawanie organów. Ważny społecznie temat. Każdemu może się kiedyś przydać nowa wątroba.

#### **Zwłaszcza ludziom w show-biznesie.**

Ja się specjalnie na to nie nastawiam, więc swoją oszczędzam. Ale w Polsce jest całe mnóstwo trudnych i ważnych tematów, które leżą odłogiem. A ja nie lubię, jak się coś marnuje. Dlatego sięgam po tematy trudniejsze. Również te, o których Polacy

nie chcą za dużo rozmyślać. Na przykład ludzie nie bardzo mają ochotę słuchać o tym, co się dzieje z klimatem. I ja to rozumie, bo jedziemy na jednym wózku. Sam mam poczucie zerowej sprawczości w tej sprawie, więc zastanawiałem się, jak o tym opowiedzieć, żeby to ich dotykało. I wymyśliłem taki gag, że jakimś rozwiązaniem jest robienie samochodów z rurami wydechowymi do środka. Jedziesz trzy minuty i ostatkiem sił mówisz: „O cholera, a mogłem wybrać rower”.

#### **Tyle że u pana jest na grubo, bo okazuje się, że na tylnym siedzeniu jest jeszcze dziecko.**

W Polsce jest całe mnóstwo trudnych i ważnych tematów, które leżą odłogiem. A ja nie lubię, jak się coś marnuje. Dlatego sięgam po tematy trudniejsze.

Do którego tatuś mówi: „Pawełku, chyba dziś nie dojedziemy do szkoły”. Tłumaczenie gagów to głupi pomysł, więc coś w sam raz dla stand-upera. W tym gagu nie chodzi o to, żeby krzywdzić dzieci, ale pokazać, że pośrednio to właśnie robimy, niszczyć własną planetę.

#### **W stand-upie są w ogóle jakieś świętości?**

W Kościele mają wiele świętości i proszę zobaczyć, jak się to skończyło.

#### **Sam nie wiem, czy coś się tam skończyło. Mają prawie 2 tys. lat rządów dusz i apetyt na kolejne 2 tys.**

Zdaje się, że apetyty księży poszły nie w tę stronę, w którą próbowali skierować nas.

#### **Nas?**

No, ja zostałem ochrzczony, chodziłem na religię, na msze, a nawet pisywałem do kościelnej gazetki. I zaznaczam, że nie byłem molestowany. Ogólnie mógłbym się jakoś odnaleźć w Kościele. Tym bardziej że ideologicznie uważałem, że to jest spoko. Tylko im więcej widziałem i rozumiałem, tym mniej mi się to składało. Kontakt z katolicyzmem i jego przedstawicielami handlowymi na tyle obdarł mnie ze złudzeń, że dziś nie utożsamiam się z żadną religią. Jacek Stramik, mój

przyjaciel i zajadły antyklerykał, skończył liceum katolickie. Księża są mistrzami w produkcji antyklerykałów. Dzieciaki, którym zafundowali religię w szkołach, teraz mają z nich totalną bekę. Nie dość, że im coś nie poszło, to nawet tego nie zauważyli, tak jak próbują nie zauważać swojej winy w pedofilii. Nie wiem, na co liczą, że przeniosą nas wszystkich na inną parafię?

#### **Wykorzystywanie seksualne dzieci to temat do żartów?**

Ja nie żartuję z nikogo, kto był wykorzystywany seksualnie. Uderzam w sprawców. Ofiar nie dotykam, bo i tak już wyrządzono im ogromne zło. Bardzo bym chciał, żeby żarty o pedofilii w Kościele były nieśmieszne, żeby ich w ogóle nie było. Ale kiedy widzę stosunek episkopatu do tego tematu, to wiem, że to idzie na jakiś serial z kilkoma sezonami. Ci nobliwi starcy zachowują się tak, jakby nie zauważyli, co się stało we Francji, Irlandii czy, żeby nie szukać zbyt daleko, w Czechach, gdzie Kościół jest na głębokim aucie.

#### **Pedofilia to nie jest problem jedynie Kościoła.**

W najnowszym programie tłumaczę, dlaczego związek flisaków, sterników i szkutników nie ma z tym problemu, a Kościół ma. Zapraszam wszystkich księży, to im wytłumaczę. Może to nie będzie specjalnie odkrywcze, ale problem jest systemowy i zaczyna się od celibatu, który zaburza seksualność, czyli psychikę, no i odkleja od rzeczywistości. Każda moja życiowa decyzja jest kompromisem pomiędzy potrzebami i oczekiwaniem mojej rodziny a mną. Nie oczekuję, że ktoś będzie święty, bo sam nie jestem. Na scenie obśmiałem już chyba wszystkie swoje wady i słabości. Może gdyby księża również potrafili uderzyć się w pierś, gdyby mieli dzieci, to nie odkleiliby się tak od własnej wiary i od społeczeństwa.

#### **Przecież mają dzieci...**

No tak, ale wbijasz im na chatę, to mówią, że to bratanek. A ja mówię o takich dzieciach, które możesz zabrać do zoo i nie musi to być zoo w innym kraju, żeby cię parafianie nie nakryli.

#### **Sam pan się nabija z zoo, że to nietrafiona idea.**

No, ale gdzieś z tymi dziećmi trzeba chodzić. A tak serio to przecież chodzi o niekłamanie. O taką podstawową przyzwoitość. W Kościele, gdzie wierni mają chodzić i się spowiadać ze wszystkich swoich grzechów, jest totalne zamknięcie na szczerość i otwartą rozmowę o własnych winach.



**A może Kościół ma prawo czuć się zaatakowany pańskimi ryzykownymi żartami w stylu, że gdyby papież zginął w zamachu, to nie byłoby tych wszystkich oskarżeń o tuszowanie pedofilii.**

Po pierwsze – jak pan słusznie zauważył – żartuję. Po drugie, tylko odwracam tę narrację, że to jest drugi zamach na papieża. I przyglądam się jej w żarcie. Prowokuję, bo taka jest natura stand-upu. Na tym to polega, żeby mierzyć się z najtrudniejszymi tematami najłatwiejszą metodą, czyli przyjmować je opakowane w śmiech. Śmiech powoduje, że czujemy się lepiej.

**Nie sądzę, żeby katolicy czuli się lepiej na pana występach.**

Dlatego są biletowane. Każdy przychodzi na własną odpowiedzialność. No i zawsze może wyjść, ale może nie powinienem tego mówić. Nagrywaliśmy kiedyś zajawkę naszego programu do telewizji i też chlapnąłem, żeby ludzie nas oglądali, a jak im się nie spodoba, niech przełączą. No i okazało się, że nie można tego tak puścić, bo specje twierdzili, że część widzów od razu przełączy, bo ich kontakt z telewizorem jest silniejszy niż z mózgiem. Co może jakoś tłumaczy to, co telewizja publiczna robi teraz z ludźmi.

**Mediom też się od pana dostaje.**

**Co ciekawe, TVN24 nie mniej niż TVP.**

Obydwie strony budują przekaz na lękach, tylko innych. TVP straszy Unią, a TVN24, że PiS nas wypisze z Unii. Ludzie są już tak przebudżeni, że jedni popadają w apatię, a drudzy idą w agresję. Tam na dole ciśnienie osiąga już stany skrajne. Wszystko jest: „ostateczne, grozi katastrofą, jeszcze nigdy nie było tak źle”. Od siedmiu lat każdy dzień jest już właściwie tym ostatnim. Kiedy dochodzi do prawdziwych dramatów, okazuje się, że już nie ma słów, bo je wystrzelaliśmy na „przerażające ceny papyryki” i „przysgniatającą zapaść w maśle”. W internecie nie jest lepiej. Większość treści jest od razu sprzedana, a reszta musi się sprzedawać za klikbajty. Nawet jak jest jakiś sensowny nagłówek, to na koniec i tak się okazuje, że ktoś chce mi sprzedać Nissana. W radiu to ja jestem przerywnikiem dla reklam. A z gazetami jak jest, to pan wie najlepiej. I wszędzie te zacięte twarze i szczucie.

**Może ta metoda śmierdzi, ale działa.**

Dla polityków to są tylko słupki. Wychodzi ci z badań, że wiesz musi zagłusować. No to co tam rzucić? No może coś, że jak przegramy, to geje będą adoptować dzieci i je gwałcić. Coś, żeby podbić ten strach. Na tyle kontrowersyjne, żeby było mocne, najlepiej jakiś temat tabu, i jedziemy. Cyfrowe, wyrachowane akcje.

**I ludzie tego nie widzą?**

Myślę, że trochę widzą, ale pamiętają, że przed 2015 r. wszyscy mieli w dupie małe miasteczka i nie chodzi mi o wiersz Bursy, tylko realia, w których jakieś 40 proc. ludzi było poza dyskursem. I to się musiało zemścić. Wjechało 500 plus, a na saloonach dalej mówili, że patologia to zaraz przepije. Ludzie pierwszy raz pojechali nad morze, to tekst, że wydalają po wydmach. Takie podejście zabetonowało poparcie dla PiS. Ja się cieszę, że za czasów PO wybudowali mi autostradę, bo jestem trzy godziny wcześniej w domu. Ale gdzieś za tymi ekranami dźwiękoszczelnymi żyli

Dzisiaj ludzie inaczej się komunikują, więc inaczej muszą się też rozśmieszać. Świat zapiernicza, nie ma czasu na kawały z długimi wstępami i wyrafinowanym dochodzeniem do puenty.

ludzie, którzy byli pomijani, bo jakoś sobie nie poukładali, byli słabsi, mniej zaradni, nie mieli takich mocnych łokci.

**W małych miasteczkach, których – jak ustaliliśmy – nie ma pan tam, gdzie miał je Bursa, ludzie reagują tak samo na żarty jak w większych? Czy po prostu gra pan program A pod Polskę A i B pod Polskę B?**

Nie dzielę ludzi ze względu na geografę. Co do reakcji, to w zasadzie nie ma różnicy. Tylko przy kawałku o Jezusie bywa różnie. Czuję od publiczności, że wchodzę na śliski grunt i lepiej byłoby może tego Jezusa zostawić w spokoju. Na żarty z Jezusa jest mniejsze przyzwolenie. Ludzie sami jeszcze nie wiedzą, czy można się z tego śmiać, czy nie. A jak się śmiać, to co z tym zrobić? Ale ta sama publiczność nie ma już problemu, żeby śmiać się z Kościoła. Testuję teraz na publiczności temat osób starszych. W mediach starszy człowiek najczęściej występuje w kontekście metody na wnuczka. Ciągłe są naciągani, olewani, robieni w balona przez polityków albo księży i właściwie nikomu to nie przeszkadza. No chyba, że idą wybory. Te najbliższe zapowiadają się tak, że nawet stand-uperzy tego nie ogarniają, skoro można wyskoczyć z hasłem

„żadnych Żydów, żadnych gejów, ale za to niskie podatki” i mieć od razu 5 proc. więcej w słupkach. Czasem mam wrażenie, że żarty się skończyły.

**Zostały memy.**

Dzisiaj ludzie inaczej się komunikują, więc inaczej muszą się też rozśmieszać. Świat zapiernicza, nie ma czasu na kawały z długimi wstępami i wyrafinowanym dochodzeniem do puenty. Ma być szybko i prosto. To jest znak czasu, że w aplikacji do audiobooków możesz sobie podkreślić prędkość. Nie dość, że już nie czytasz, bo nie masz czasu, to nawet słuchać musisz z większej prędkości. Ja się memów nie boję, bo z nimi nie konkuruję. Mam swoją publiczność. Oni lubią mnie, a ja ją.

**Widziałem pana w akcji i myślałem, że właśnie rządzi pan kilkoma setkami ludzi.**

Nie mam żadnej władzy. To jest tak, jakby błazen pomyślał, że rządzi państwem, bo siedzi koło tronu. Opowiadam ludziom, jak widzę świat. A widzę go specyficznie, bo ja właściwie jestem mocno rozdwojony. Na scenie lubię być śmieszkiem heszkim. Prywatnie jestem raczej introwertyczny. Lubie być we własnej przestrzeni. Na scenie też przeplatam.

**Zauważyłem, niby zabawnie, a jednak gorzko.**

Bycie Polakiem nie jest specjalnie słodkie. Nosimy w sobie wiele goryczy. Czasem się nią wręcz napawamy. Jesteśmy mieszkańcami całkiem fajnego, a jednocześnie niezbyt doskonałego kraju. I widocznie ta gorycz, nawet przefiltrowana przez żart, jakoś w nas zostaje. Sam lubię ten moment, kiedy słodkie robi się gorzkie, bo to utrwała smak. Powoduje, że coś nie jest tylko żartem, który natychmiast ulatuje, lecz staje się czymś nieco cięższym, może przy okazji również ważniejszym. Najbardziej lubię, kiedy publiczność od ruchowo wybucha śmiechem, bo to przecież jest śmieszne, ale próbuje ten śmiech powstrzymać, bo sama się wstydzi, że się z czegoś takiego śmieje.

**Zrobił pan serial „Kryzys”, a w życiu osobistym jak z tym jest?**

Rok temu miałem kryzys. Zaczęłam sobie sumować zagrożenia i wyszło mi, że bezpieczniej byłoby na aktywnym wulkanie – rząd z kreatywnym księgowym zamiast premiera, covid, wojna. Okazało się, że nawet żart, żeby zainwestować w mieszkanie, chyba że przyjdą ruscy, okazał się nieśmieszny. To był taki moment – nie wiem, co będzie jutro. Ale później sobie pomyślałem, że mam wokół siebie takich wspaniałych ludzi, że właściwie nie mam się co martwić. No to przestałem.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CWIELUCH



Od lewej: Agnieszka Lasota, Aneta Hrybińska, Elżbieta Dąbrowska, Alina Citko, Ewelina Grygatowicz-Szumowska z Porozumienia Polskich Przedsiębiorców Zjednoczony Wschód.

# Tweet wam w życie

Wystarczy jeden rządowy tweet, by tysiącom ludzi natychmiast strach zajrzał w oczy.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

**T**rafieni tweetem rządu spotykają się na zapleczu sklepu spożywczo-przemysłowego w Bobrownikach (województwo podlaskie). W sklepie – kiedyś świetnie prosperującym, otwartym całodobowo – chłód, przygaszone światła, puste półki. Mięso zutylizowane, została chemia i trwalsza żywność. Klientela, też mocno tweetnięta z Warszawy, zniknęła. – *Był płacz i dramaty* – mówi Agnieszka Lasota, współwłaścicielka sklepu. – *Porzucone setki rowerów i samochody, wśród nich tiry z towarami. Nikt nie rozumiał, czemu nasze życie i pracę podporządkowano polityce tak bardzo, aż stały się niemożliwe.*

Był środek zwykłego roboczego dnia – 9 lutego 2023 r., kiedy nagle tweetnęło. Poprzez niefrasobliwe medium szef MSWiA Mariusz Kamiński podawał śmiertelnie poważną wieść z dziedziny polityki krajowej, zagranicznej, społecznej, ekonomicznej i rodzinnej jednocześnie: „z uwagi na ważny interes bezpieczeństwa państwa zdecydowałem o zawieszeniu do odwołania od 10 lutego br. od godz. 12.00 ruchu na polsko-białoruskim przejściu granicznym w Bobrownikach”.

Białoruś natychmiast zamknęła swoją granicę i zapadła cisza politycznego patu.

Na zapleczu sklepu w Bobrownikach siedzą podług branż: agencje celne,

sklepy i duże hurtownie. To firmy z wyrobioną dobrą marką, działające w regionie od ponad 20 lat, stworzone i zarządzane przeważnie przez kobiety. Teraz, po tweetcie rządu, zagrożone upadkiem. Byłby to krach ze skutkiem ogólnopolskim: nie zarabia sklep w Bobrownikach – nie zarobi zaopatrująca go hurtownia z Białegostoku; stoją agencje celne – nie zarobi budżet państwa; nie wjadą Białorusini – podupadną wielkomiejskie sklepy z elektroniką, supermarkety i bazy; pójdą na bruk pracownicy polskich firm – przyniosą biedę do rodzin; zwolnieni pojadą za pracą na zachód – wyludnione Podlasie zostanie „terytorium Komanaczów”, gdzie za całe prawo starcza żołnierz z karabinem, jak to było za czasów zamkniętej zony.

Oto siła jednego tweetnięcia Mariusza Kamińskiego. Kiedy minister wypuści tweeta odwołującego zamknięcie granicy? Jakie warunki muszą być spełnione, żeby to zrobić? Planów rządu, według których swoje plany mogłyby ułożyć przedsiębiorcy z granicy, brak. – *Realizowany jest jakiś, nieznanany nikomu, wyższy cel obozu rządzącego, a ofiarą jego działań jest dorobek naszego życia, przyszłość naszych dzieci, mieszkańców naszego regionu* – mówi Ewelina Grygatowicz-Szumowska, szefowa zatrudniającej dziesiątki osób agencji celnej.

Bobrowniki to teraz wiatr w polu. Kilka zniszczonych bloków przy stacji granicznej, kilka chałup przy bocznej drodze – około setki mieszkańców. Najnowsza historia okolic – ostatnie trzy lata – to po kolei: pandemia koronawirusa, „kryzys uchodźczy” (sformułowanie używane przez rząd i jego służby), zamknięta zona objęta stanem wyjątkowym i zakazem przebywania, budowa muru wzdłuż całej granicy z Białorusią, zamknięcie przejścia w Bobrownikach przez ministra Kamińskiego jednoosobowym tweetem z komórki. Powody niejasne („ważny interes bezpieczeństwa państwa”), jednak niewymagające wyjaśnienia jako tajemnica państwowa. Różnica taka, że za czasów plagi i zony Bobrowniki pracowały, a tweetnięte przez ministra zamarły całkowicie. Dołączyły do niedalekiego przejścia w Kuźnicy – nieczynnego od półtora roku, też z powodu „ważnego interesu”.

Przy opustoszałej drodze w Bobrownikach rdzewieją przykute do barierki pustej drogi dziesiątki rowerów należących do Białorusinów, którzy w Polsce pracowali i codziennie przekraczali granicę w Bobrownikach. Po tej pustce jeżdżą teraz cywilnymi pick-upami terytorialsi i pilnują rzeczywistości takiej, jaka jest – wedle rozkazu. Latają służbowe drony i przyglądają się pustce. O pustkę dbają też strażnicy graniczni w radiowozie i w cywilu. Pustkę tweetniętej granicy inwigilują nawet okoliczne lasy naszpikowane kamerami.

A uchodźcy z terytorium Białorusi wchodzą do Polski, jak wchodzili przed murem i przed tweetem Kamińskiego. Tak samo zresztą, mówią mieszkańcy okolic, jak wchodzili pięć i więcej lat temu, choć wtedy rząd o tym nie mówił.

Rozmowy przygranicznych przedsiębiorców na tyłach sklepu w Bobrownikach mają charakter i narady, i psychologicznej grupy wsparcia. Szybko założyli Porozumienie Polskich Przedsiębiorców Zjednoczony Wschód (46 firm). Pierwszy apel do władzy wysłali jeszcze w dniu tweetu: do ministra Kamińskiego („ta decyzja gwałtowna i zaskakująca oraz niepowiązana z żadną próbą wsparcia nas i naszych pracowników stawia nas w sytuacji dramatycznej”), do wojewody Bohdana Paszkowskiego, do marszałka podlaskiego Artura Kosickiego. Odpowiedzi nie było.

– *Jako przedsiębiorca muszę działać w otoczeniu wręcz nieprzyjawnym* – mówi Piotr Dąbrowski, współwłaściciel, wraz z żoną, hurtowni z Białegostoku,



zaopatrującej sklepy przygraniczne. – *Robię też interesy z Zachodem, ostatnio opowiadałem partnerom z Kopenhagi, co się dzieje u nas na Podlasiu. Byli zadziwieni. Mówili: u nas na drugi dzień pojawiłby się ktoś z samorządu i rządu spytać, jak może pomóc.*

Półtora miesiąca od tweetnięcia ministra hurtownia Dąbrowskich podlicza, że na zamkniętych Bobrownikach straci nawet i 1,5 mln zł. Raty kredytu i podatki naliczane są niezależnie od sytuacji.

– *Można odnieść wrażenie, że władza sama nie wie, co robi* – mówi Aneta Hrybińska, właścicielka agencji celnej. – *Nic nie działa systemowo, to jest chaos. Jak w warunkach chaosu prowadzić firmę, którego działanie musi się opierać na planowaniu?* Hrybińska pracuje na przejściu w Kuźnicy. Przed niespełna rokiem zdecydowała się na skierowanie do sądu sprawy niewypłaconych przez rząd odszkodowań dla jej firmy za zamknięcie tamtej granicy. Sąd spytał powódkę wprost: Dlaczego pani zdaniem to przejście graniczne zostało zamknięte? Aneta Hrybińska odpowiedziała: Z powodów politycznych. Wtedy oburzona prokurator reprezentująca Skarb Państwa podniosła się ze swojego miejsca: To pani nie wie, że jest wojna na Ukrainie?

Gdzie Ukraina, gdzie Białoruś, gdzie Polska, gdzie Unia Europejska – kto odgadnie, o co chodzi rządowi? – pytają przedsiębiorcy na zapleczu sklepu. Pomaga im poseł PO Robert Tyszkiewicz, który już wcześniej angażował się w wywalczenie rekompensat dla branży turystycznej z Podlasia, kiedy ucierpiała w wyniku wprowadzenia przez rząd zony. Poseł przyznaje, że jeśli chodzi o rekompensaty, to z rządu płyną sygnały raczej pozytywne, ale na razie nie ma nic prócz sygnałów. Natomiast minister Kamiński, prócz politycznego tweetowania, wchodzi w osobisto-bohaterskie próby sił z reżimem Łukaszenki.

– *Ja takiego braku profesjonalizmu w kwestiach wschodnich jeszcze nie widziałem* – dodaje Tyszkiewicz. – *Z jednej strony premier mówi, że nie pozwolimy, by nasi rodacy byli zakładnikami sytuacji na granicy, a jednocześnie decyzjami rządowymi sami ich w takiej roli obsadzamy.*

...

Ludzie się zastanawiają, o co władzy może chodzić – na zapleczu spożywczo-przemysłowego w Bobrownikach zdania o powodach zamknięcia granicy są podzielone. Ale jednocześnie wszystkie tropy możliwe – co do tego przedsiębiorcy są zgodni. Tak samo zgadzają się, że powinni zwyczajnie pracować, a nie

zastanawiać się nad pokrętną polityką rządu w Warszawie.

Pierwszy trop: rząd reaguje wyłącznie na sondaże, a te pokazują, że Polacy są za zamknięciem granicy z Białorusią. Drugi trop: rząd uznał, że przedsiębiorcy nie są jego targetem wyborczym, więc nic im się nie należy. Trzeci trop: rząd wymachuje polityczną szablą patriotyzmu, nie licząc się z ludźmi. Czwarty trop: rząd sprowadza ze Wschodu surowce takie jak węgiel i ropa, więc musi propagandowo manifestować swoją niechęć dla Wschodu kosztem małych przedsiębiorców.

Piąty trop w związku z trzecim i czwartym: 8 lutego 2023 r. Sejm przyjął uchwałę potępiającą w sprawie skazania przez białoruski sąd Andrzeja Poczobuta, działacza polskiego na Białorusi i dziennikarza „Gazety Wyborczej”, na osiem lat więzienia. 9 lutego szef MSWiA najpierw zamknął tweetem Bobrowniki (ostatnie czynne przejście drogowe z Białorusią), a później potwierdził to w oficjalnym komunikacie, ale już sugerując, że ma to związek z Poczobutem.

...

Jednak istnieje jeszcze jeden możliwy powód błyskawicznego zamknięcia Bobrownik. 7 lutego w skoordynowanej akcji wielu służb mundurowych, w tym CBS, SG, KAS i Biura Inspekcji Wewnętrznej Ministerstwa Finansów, zatrzymano 15 osób podejrzanych o udział w grupie przestępczej działającej na polsko-białoruskiej granicy. Zarzuty postawiono łącznie 18 osobom, większość z nich to byli oraz obecni funkcjonariusze służb państwowych pracujący na granicy.

Chodzi o świetnie zorganizowany przemysł papierosów bez akcyzy z Białorusi do Polski (przez Bobrowniki i Terespol), na którym Skarb Państwa stracił miał prawie 440 mln zł. Kilku zatrzymanym zarzuca się także łapówkarstwo, paserstwo oraz przekazywanie informacji dotyczących funkcjonowania przejścia granicznego grupie przestępczej. Przy najcięższych zarzutach grozi im kara do 15 lat więzienia.

Przemysłnicy – jak podaje Prokuratura Krajowa – wydawali pieniądze na nieruchomości. Podczas zatrzymań zabezpieczono przy nich samochody, biżuterię i złoto o wartości ponad 10 mln zł. Sprawa jest rozwojowa – dodają zwyczajową formułkę prokuratorzy – niewykluczone są dalsze zatrzymania.

Wiadomość o sukcesie minister Kamiński tweetnął dopiero 16 lutego – dziewięć dni po zatrzymaniu, sześć po zamknięciu granicy. Cała obsada przejścia Bobrowniki liczy ok. 180 funkcjonariuszy – mogłoby

swobodnie funkcjonować, gdyby nie bliżej nieokreślony „ważny interes państwa”.

...

W zupełnej ciszy i pustce tej niegdyś zatłoczonej i pełnej handlowego rejwachu granicy przedsiębiorcy ze Zjednoczonego Wschodu opuszczają zaplecze sklepu. W czasie ich rozmowy przyszedł jeden klient, zrobił zakupy za 3,50 zł. Agnieszka Lasota i Alina Citko, właścicielki sklepu, wspominają złote czasy, kiedy wygłodniały kierowcy tirów wpadali do ich chłodni i rzucali się na paczki kiełbas. Smutno kiwają głowami, właśnie zwolnili 11 pracowników.

Zjednoczony Wschód pisał też do premiera Morawieckiego, do Brukseli, RPO i rzecznika małych i średnich przedsiębiorstw. Byli na spotkaniach z wojewodą (mieli wrażenie, że nie orientuje się w sprawie granicy) i u marszałka (odnieśli wrażenie, że orientuje się świetnie, ale nie może nic dla nich zrobić). Odpowiedział RPO (że rozumie, ale sprawa nie leży w jego kompetencjach). Odpowiedział RMŚP, nawet napisał list do ministra Kamińskiego w MSWiA („w ocenie Rzecznika MŚP ograniczenie wolności działalności gospodarczej przez organy władzy publicznej, nawet jeśli jest ono uzasadnione zaistnieniem ważnych przyczyn, winno być powiązane z zapewnieniem wsparcia najbardziej poszkodowanym (...). Związane z wystąpieniem nadzwyczajnej sytuacji utrudnienia nie powinny obciążać w sposób nieproporcjonalny określonych grup społecznych, np. najmniejszych przedsiębiorców”).

...

27 lutego kancelaria ministra Mariusza Kamińskiego odpowiedziała przedsiębiorcom z Bobrownik (nie wprost, bo konkretnie europosłowi Jurgielowi z PiS), że rekompensaty za ograniczenia w funkcjonowaniu przejść granicznych „pozostają poza zakresem kompetencji ministra MSWiA”.

Albo wcześniej, 23 lutego, na konferencji prasowej minister Kamiński powiedział: „Strona białoruska ma pełną jasność co do tego, że jeżeli Andrzej Poczobut jutro zostanie zwolniony, pojutrze będzie otwarte przejście w Bobrownikach”. Tę wypowiedź ministra przetweetowały rządowe media.

Granicy nie pozostaje nic innego, jak czekać. Na rekompensaty. Albo na kolejne tweety ministra Kamińskiego w ważnych kwestiach decydujących o ludzkim życiu z powodów niewymagających tłumaczeń. ■



# Wertujemy foldery



Popularna wśród Polaków Riwiera Turecka. Na fot. Antalya.

ADAM GRZESZAK

Majówka otwiera letni sezon wakacyjny.  
Choć ceny galopują,  
duża część ofert biur podróży jest  
już wyprzedana albo zarezerwowana.  
W turystycznym biznesie to może być  
najlepszy sezon od lat.

Technika budowy urlopowych mostów nie jest skomplikowana. Wystarczy spojrzeć na kalendarz: jeden dzień urlopu i już mamy most, dzięki któremu możemy cieszyć się pięcioma dniami wypoczynku. Jeśli zainwestujemy trzy dni urlopu, zbudujemy sobie akwedukt, zyskując dziewięć dni wakacji. Dlatego już jesienią ubiegłego roku najbardziej zapobiegliwi zaczęli rezerwować w biurach podróży majówkowe i wakacyjne wyjazdy. Chętnych do spędzenia kilku dni pod palmami albo też w Polsce, pod gruszą, przybywało z tygodnia na tydzień. Dziś majówka jest praktycznie wyprzedana, a i o dobrą miejscówkę w letnim szczycie, którego termin wyznaczają szkolne wakacje, niełatwo.

– Wzrost rezerwacji jest bardzo duży, ale trzeba pamiętać, że w ubiegłym roku o tej porze mieliśmy początek wojny





*majówka zapowiada się na droższą o grubo ponad 40 proc. niż w roku ubiegłym. Średni koszt rezerwacji na osobę wzrósł z 2120 zł do ponad 3 tys. zł. A Hiszpania podróżowała ponaddwukrotnie. Na drugim biegunie jest Cypr, tam ceny są wyższe tylko o 14 proc. Podróżał też krajowy wypoczynek. Majówka w Polsce w ubiegłym roku przeciętnie kosztowała 460 zł, dziś trzeba zapłacić ponad 850 zł – wylicza prezes Damasiewicz.*

## Wakacje na szczytach

Majówka jest specyficznym polskim fenomenem związanym ze zbieganiem weekendu i dwóch świąt państwowych (podobną majówkę, choć nieco późniejszą, mają też Francuzi). Teoretycznie więc ceny wypoczynku, zwłaszcza zagranicznego, nie powinny być tak wyśrubowane. Okazuje się, że jest inaczej. – *Majówka to obok wakacji szkolnych, świąt Bożego Narodzenia czy sylwestra jeden z cenowych szczytów. Wynika to po prostu z mniejszej dostępności samolotów i z faktu, że nie wszystkie hotele pracujące tylko w sezonie letnim są na początku maja już czynne* – wyjaśnia Marcin Wujec, właściciel Biura Podróży Soleno Travel, prezes Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Agentów Turystycznych. Stąd takie problemy ze znalezieniem w ostatniej chwili atrakcyjnego miejsca zagranicznego wypoczynku, zwłaszcza w najchętniej odwiedzanych przez Polaków krajach – Turcji, Grecji, Egipcie.

Większość Polaków zostanie na majówkę w kraju, a duża część spędzi ją we własnym domu, bo niemal połowa społeczeństwa nie planuje jakiegokolwiek wyjazdu w wypoczynkowych. Na zagraniczny wyjazd z biurami podróży decyduje się w ciągu roku ok. 4 mln Polaków. Ostatnio jednak polskim touroperatorom przybyła nowa grupa klientów z Ukrainy, więc może uda się pobić rekord z 2019 r.

Polacy preferujący wypoczynek krajowy najchętniej spędzą tegoroczną majówkę w Karpaczu, Zakopanem, Szklarskiej Porębie, Kudowie-Zdroju albo Szczawnicy. Na to wskazują poszukiwania prowadzone za pomocą platform Noclegi.pl i Nocowanie.pl. Wysooko na liście są też trzy najpopularniejsze nadmorskie miasta: Gdańsk, Sopot i Kołobrzeg. Nie brakowało również planujących wyjazdy typu city break do Krakowa i Warszawy. Ceny średnio o ponad 15 proc. wyższe niż przed rokiem, ale część osób zamierza się jeszcze w ostatniej chwili wesprzeć bonem turystycznym.

## Letni tłok

Wraz z majówką startuje letni sezon wakacyjny, ale zanim osiągnie lipcowo-sierpniowy szczyt, zalicza kilka szczytów pośrednich. – *Mamy czerwcową przy okazji Bożego Ciała, a wcześniej jeszcze końcówkę maja, kiedy odbywają się egzaminy ósmoklasistów. W tym czasie pozostali uczniowie podstawówek mają wolne, co daje ich rodzicom okazję do wyjazdu przed szczytem sezonu, bez obawy, że dziecko straci lekcje w szkole. Jednocześnie można skorzystać z nieco niższych cen* – wyjaśnia Marzena German, ekspertka serwisu Wakacje.pl.

Znalezienie niezłego miejsca w szczycie sezonu, w kraju i za granicą, nie będzie łatwe. Większość miejsc jest już zarezerwowana. Między czerwcem a wrześniem wyjeżdża na wczasy cała Europa i wtedy we wszystkich kurortach robi się tłoczno. I drogo. Według danych Instytutu Badań Rynku Turystycznego TravelDATA, zakup siedmiodniowych wakacji w Maroku na sierpień w porównaniu z ubiegłorocznymi był aż o 1949 zł droższy. Wypoczynek w Grecji na półwyspie Chalkidiki drożał o 1681 zł, a na wyspie Korfu o 1454 zł. – *Największy problem mają dziś rodzice z dziećmi, jeśli nie dokonali rezerwacji z odpowiednim wyprzedzeniem. Hotele oferują głównie pokoje dwuosobowe z dostawkami, więc pokoje rodzinne czteroosobowe i większe w szczycie letniego sezonu są już właściwie niedostępne* – wyjaśnia Marcin Wujec. ▶

*w Ukrainie, co doprowadziło do chwilowej zapaści w rezerwacjach* – mówi Radosław Damasiewicz, prezes Travelplanet.pl, jednej z największych internetowych agencji turystycznych. Stara się nie zapeszyć, bo nigdy nic nie wiadomo. – *Na szczęście dziś turyści nie mają obaw przed wyjazdami* – dodaje.

Branża turystyczna nie kryje radości, bo już zeszły rok był niezły, a ten zapowiada się lepiej. Polacy są wypoczynkowo wyposażeni, a we wszystkich krajach, do których podróżują, zniesiono już ograniczenia covidowe. Nawet inflacja i cenowa galopada nie odstrasza. Przeciwnie, przyspieszyła nawet proces podejmowania decyzji, zwłaszcza że biura podróży umiejętnie budują napięcie. Osobom wcześniej rezerwującym wczasy oferują gwarancje niezmienności ceny (w pakiecie lub za niewielką dopłatą), pozostałych zaś dopingują, z tygodnia na tydzień podnosząc ceny.

I tradycyjnie straszą, żeby za bardzo nie liczyć na lasty, czyli przecenione, sprzedawane w ostatniej chwili oferty last minute. Bo w tym roku będzie ich jak na lekarstwo. – *Tegoroczna*





© MACIEJ DUBEL/SHUTTERSTOCK

Polacy preferujący wypoczynek krajowy chętnie wybiorą się do Zakopanego i w Tatry. Na fot. Hala Gąsienicowa.

► Gwałtownie rosnącymi cenami tegorocznych wakacji zainteresował się nawet UOKiK, gdy wyszło na jaw, że biura podróży kuszą klientów, podając na stronach internetowych ceny niższe od tych, które w rzeczywistości trzeba zapłacić. Na celowniku przede wszystkim znaleźli się dwaj wielcy internetowi multagenci – Wakacje.pl i Travelplanet.pl – pośredniczący w sprzedaży oferty turystycznej dużej części polskich biur podróży. Organizacje branżowe zaprotestowały, tłumacząc, że „cena zmienia się dynamicznie nawet w ciągu jednego dnia, a wpływ na to ma szereg różnych czynników”. Okazuje się, że dzieje się to do tego stopnia dynamicznie, że „te zmiany, chociaż wprowadzone do systemów rezerwacyjnych na bieżąco, nie aktualizują się we wszystkich wyszukiwarkach w czasie rzeczywistym”.

Problem nienadążania systemów internetowych za zmieniającymi się cenami dotyczy szczególnie ofert opartych na tzw. pakietowaniu dynamicznym, czyli na bieżąco komponowanych z usług świadczonych przez różnych podwykonawców, głównie linii lotniczych i hoteli. Tu ceny potrafią się zmieniać z minuty na minutę, w zależności od zapewnienia samolotów i hoteli. W efekcie kupowanie wycieczek zaczyna przypominać inwestowanie na giełdzie.

– Wzrost cen to efekt zbiegu kilku czynników. Po pierwsze, kursu dolara i euro. Od wybuchu wojny w Ukrainie kursy wahają się nieustająco. Dzisiaj dolar kosztuje 4,38 zł, a kilka miesięcy temu dochodził do 5 zł. Żyjemy w wiecznej niepewności, bo nie wiemy, ile będzie kosztował za pół roku, kiedy nasz klient wyjedzie na wakacje. Podobna sytuacja jest z kosztami przelotów. O wszystkim decydują ceny paliwa lotniczego, a te są na nieustannej huśtawce. Także właściciele hoteli podnoszą ceny, kierując się zmieniającą się sytuacją ekonomiczną na lokalnym rynku. W sumie więc wychodzi z tego wzrost cen wycieczek średnio o 40 proc. – wyjaśnia Samir Hamouda, dyrektor generalny biura podróży Sun&Fun.

Nie kryje zadowolenia, bo jego biuro specjalizuje się w sprzedaży wycieczek do Tunezji, a kraj ten po latach niestabilności politycznej, zamachów terrorystycznych, a potem ostrego reżimu covidowego znów wraca do turystycznej pierwszej ligi. – Sytuacja w Tunezji jest stabilna, przybywa nowych atrakcyjnych hoteli na wyspie Dżerba i na lądzie, a ceny wzrosły umiarkowanie, tylko ok. 14 proc. – wlicza dyrektor Hamouda.

Także w innych biurach Tunezja sprzedaje się na pniu, bo należy do tańszej części letniej oferty. Ze względu na korzystny stosunek ceny do jakości wyjątkowo chętnie wybierane są też Albania i Cypr (w sprzedaży jest także turecki Cypr Północny). Ale w dziedzinie wczasów niskokosztowych nic nie pokona Bułgarii. W Słonecznym Brzegu można spędzić wakacje taniej niż w Kołobrzegu. – Najtaniej wypada wrześniowy urlop w Bułgarii. Tydzień z przelotem do hotelu czterogwiazdkowego z wyżywieniem HB (śniadanie i obiadokolacja) można zarezerwować już od ok. 1500 zł. W lipcu lub sierpniu najtańsze oferty w takim standardzie, również w Bułgarii, zaczynają się od ok. 1900 zł – wyjaśnia prezes Damasiewicz.

### Na tureckiej plaży

Od lat Polacy najchętniej wybierają wypoczynek na tureckich plażach. Dlatego biura przeżyły chwilę grozy, gdy na początku marca w Turcji zatrzęsa się ziemia. To była tragedia na niespotykaną skalę, więc przez kilka tygodni w biurach podróży zainteresowanie wypoczynkiem w Turcji zmalało. – Na szczęście lęki szybko minęły. Polacy znają geografie i szybko zrozumieli, że ziemia zatrzęsa się na drugim końcu kraju, kilkaset kilometrów od Riwiery Tureckiej i Egejskiej, gdzie będą wypoczywać. Turcja pozostaje więc numerem jeden, przed Grecją, Tunezją i Egiptem – wyjaśnia Maciej Nykiel, prezes Biura Podróży Nekera. Prezesa cieszy także fakt, że nie widać, by klienci zaciskali pasa. – Wydatki na letni wypoczynek wzrosły powyżej inflacji. Polacy nie zamierzają oszczędzać, chcą wypoczywać w hotelach pięciogwiazdkowych all inclusive. Hotele czterogwiazdkowe sprzedają się gorzej – wyjaśnia prezes Nykiel.

Podobne obserwacje nieszczędnienia na zagraniczny wypoczynek ma Paweł Śliwka, właściciel Biura Podróży Logos Travel, specjalizującego się w niszowych wyprawach na drugi koniec świata – do Australii, Japonii, Korei Południowej, na Galapagos albo Seszele. Tu za wakacje płaci się często kilkadziesiąt tysięcy złotych od osoby, a mimo to chętnych nie brakuje. – Klienci często mówią: stworzyłem firmę, wybudowałem dom, odchowałem dzieci. Teraz chcę zainwestować w siebie. Przeżyć coś ciekawego, poznać świat – mówi Paweł Śliwka.



Biuro Podróży Albatros Travel także wysyła Polaków na dalekie i egzotyczne podróże. Majówkową ofertę dawno wyprzedano, ale są jeszcze miejsca w wycieczkach wiosennych i jesiennych. Wiosna i jesień to w przypadku dalekich wycieczek objazdowych szczyty sezonu. – *Po okresie covidowej smuty Polacy chcą zwiedzać świat. Świetnie sprzedają się nie tylko wyprawy do USA czy dalekiej Azji, ale także te bliższe, skandynawskie kierunki: do Norwegii, na Islandię czy Wyspy Owcze* – wylicza Wioletta Drozdowska-Malicka, szefowa polskiego oddziału biura podróży Albatros Travel. Wąskim gardłem jest konieczność korzystania z regularnych linii lotniczych, a nie lotów czarterowych, jakimi wielcy touroperatorzy wożą masowego turystę do śródziemnomorskich kurortów. – *Mamy problemy z biletami lotniczymi. Brakuje wolnych miejsc w samolotach, linie zmieniają rozkłady lotów, niespodziewanie kasują połączenia. I ciągle podnoszą ceny. Wojna w Ukrainie i embargo nałożone na Rosję sprawiły, że loty z Europy do Azji stały się dłuższe i droższe* – wyjaśnia Wioletta Drozdowska-Malicka.

## Z Radomia bliżej do Afryki

Ale nawet ci operatorzy, którzy korzystają z czarterów, narzekają, że w sezonie nie jest łatwo o samoloty, obsługę i o sloty, czyli udostępnione przez kontrolerów ruchu lotniczego czasowe okienka na starty i lądowania. Branża turystyczna drży, czy aby nie zastrajkują nasi kontrolerzy ruchu lotniczego, tak jak miało to miejsce w zeszłym roku. We Francji strajkują, co też może się odbić na ruchu lotniczym w basenie Morza Śródziemnego. Szef Ryanair już podniósł alarm, żądając, by unijni kontrolerzy Eurocontrol przejęli nadzór nad francuskim niebem.

Biura podróży są skrajnie uzależnione od linii lotniczych, zwłaszcza czarterowych. I od lotnisk, skąd wysyłani są turyści.

– *Klienci Tavelplanet.pl najchętniej wybierają wyloty z warszawskiego lotniska Chopina. Niewiele mniejszą popularnością cieszą się Katowice. Potem jest Poznań, Wrocław, Gdańsk, Kraków* – wylicza Jarosław Kałucki, rzecznik Tavelplanet.pl. Miejsce wylotu i łatwość dotarcia do lotniska jest jednym z argumentów przemawiających za wyborem oferty biura podróży.

Wraz z tegoroczną majówką zainauguruje działalność najsłynniejszy polski port lotniczy Warszawa Radom im. Bohaterów Radomskiego Czerwca 1976. Nowe warszawskie lotnisko, leżące 100 km od stolicy, w teorii ma za zadanie odciążyć Okęcie od czarterowego ruchu turystycznego. Swoich turystów zamierzają z Radomia wysyłać biura Coral Travel, Exim Tours, Greckie Podróże, GTS Poland, Itaka, Nekera i Sun&Fun. Wszystkie jednak deklarują, że lotniska Chopina nie zamierzają porzucić. Jednak rozmowa z przedstawicielami branży turystycznej na temat Radomia natrafia na poważne problemy.

– *To polityczny projekt, nie wrózę mu powodzenia, zwłaszcza że opłaty lotniskowe są tu niewiele niższe niż w Chopinie, a dojazd trudny* – przekonuje jeden z menedżerów. – *Jest trochę chętnych, by stamtąd polecieć* – komentuje inny. – *To mieszkańcy Radomia i okolic, a także Kielc i północnej części województwa świętokrzyskiego. Może gdyby jakaś linia trzymała na tym lotnisku swoje samoloty, mielibyśmy o czym rozmawiać. Ale nawet LOT nie ma na razie takich planów. Z Radomia mają latać czartery do kurortów takich, jak Antalya, Burgas, Dżerba, Monastyr, Palma de Mallorca, Taba, Warna. O turystycznym sukcesie Radomia jest na razie przekonany tylko poseł Marek Suski. Wyjaśnił to nawet: z Radomia jest po prostu bliżej do Afryki.*

ADAM GRZESZAK

REKLAMA



## XII EDYCJA LISTKÓW CSR POLITYKI

**Tylko do 14 kwietnia 2023 r.** czekamy na ankiety wypełnione online od firm, które chcą wziąć udział w kolejnej edycji Listków CSR POLITYKI.

Ankieta jest dostępna na stronie **[www.polityka.pl/csr](http://www.polityka.pl/csr)**

Wyniki zestawienia zostaną ogłoszone w tygodniku POLITYKA **14 czerwca 2023 r.**

Partnerami Listków CSR POLITYKI są:

**Deloitte.**



# Ruch w ciuchach

Wojna, globalny kryzys energetyczny i pandemia sprawiły, że od ponad roku niemal wszystko drożeje.

Także odzież. Czy to zniechęci wreszcie klientów do nałogowego i kompulsywnego kupowania ciuchów?

CEZARY KOWANDA

**L**ista kłopotów niemieckiej sieci salonów odzieżowych Peek&Cloppenburg nie jest szczególnie oryginalna. Wniosek o upadłość zarząd tłumaczy skutkami pandemii, inflacji, wojny w Ukrainie, marnymi nastrojami klientów i nie do końca udanymi inwestycjami w serwis internetowy. Polskie sklepy Peek&Cloppenburg, których sieć ma na razie dziesięć, pracują normalnie, bo zarządzająca nimi siostrzana spółka z siedzibą w Wiedniu jest w lepszej kondycji. W samych Niemczech zarząd spółki Peek&Cloppenburg zdecydował się jednak ogłosić bankructwo. Tam poważne problemy ma też od dawna kilka innych sieci handlowych z Galerią Karstadt Kaufhof na czele.

Przez wiele lat domy towarowe pod markami Karstadt i Kaufhof były centralnymi punktami każdej niemieckiej ulicy handlowej. Od początku pandemii ich liczba w szybkim tempie jednak maleje, bo nawet konserwatywni Niemcy ubrania i buty wolą coraz częściej kupować w sieci niż podczas rodzinnych wypadów do galerii handlowych.

**W Polsce przemysł tekstylny też walczy o przetrwanie.** Na początku tego roku ogłoszono upadłość sieci TXM (Textilmarkt), która próbowała zbudować masowy odzieżowy dyskont. U szczytu popularności pięć lat temu miała prawie 400 sklepów, dziś nie istnieje już ani jeden. O przetrwanie walczą Prima Moda i Top Secret. Szereg zagranicznych marek, jak francuskie Camaieu czy niemieckie Orsay,

wycofało się w ostatnich latach z Polski z powodu narastających kłopotów. Postanowiły się skupić na najważniejszych dla siebie rodzimych rynkach. Nie wszystkim to zresztą pomogło, bo na przykład Camaieu też w końcu zbankrutowało.

Nawet najwięksi gracze nie są bezpieczni. Inwestorzy na warszawskiej giełdzie niepokoją się o obuwniczego potentata CCC, drugiego największego polskiego gracza modowego po LPP. Kłopotem CCC jest bardzo wysokie zadłużenie, sięgające w ramach całej grupy ponad 2 mld zł. To efekt ogromnych inwestycji w poprzednich latach. Dopóki kredyty były tanie, taki ciężar nie stanowił problemu, ale po drastycznym wzroście stóp trzeba przeznaczyć dużo więcej na spłatę odsetek. W efekcie akcje CCC kosztują dziś aż 35 proc. mniej niż rok temu. Kto zainwestował w nie pięć lat temu, ten stracił prawie 90 proc. pieniędzy. Niedawno okazało się, że założyciel CCC, Dariusz Miłek, chce sprzedać swój prywatny samolot. Biznesmen zaprzecza jednak, jakoby w ten sposób zbierał pieniądze, by wesprzeć swoją firmę. Tymczasem inwestorzy czekają na dokapitalizowanie CCC. Nie znaczy to, że wszyscy mają kłopoty.

Przez pandemię najlepiej przeszli ci, którzy już wcześniej sporo zainwestowali w sprzedaż internetową. Nie przejmowali się opiniami, jakoby większość klientów była bardzo silnie przywiązana do kupowania ubrań i butów w tradycyjnych sklepach. Dzisiaj potentatem jest na przykład chiński gigant Shein, który w imponującym tempie podbija kolejne rynki. Nie przeszkadza mu wizerunek

firmy, która fatalnie traktuje pracowników, bo jego atutem są naprawdę niskie ceny. Tymczasem właśnie inflacja to teraz dla całej branży odzieżowej ogromne wyzwanie. Tym większe, że klienci przez lata zdążyli zapomnieć o podwyżkach cen ubrań.

Świadczą o tym chociażby dane naszego Głównego Urzędu Statystycznego. W 2015 r. produkty z kategorii określanej jako odzież i obuwie staniały o prawie 5 proc. Podobnie było w dwóch kolejnych latach. Lata 2018 i 2019 przyniosły znów spadki cen (o 1–3 proc.), a pandemiczny 2020 r. okazał się bardzo udany dla klientów. Sieci odzieżowe pozbywały się w panice nadmiaru zapasów z powodu zamknięcia sklepów przez wiele tygodni. Efekt? Ceny ubrań i butów spadły o ponad 4 proc. Dopiero w 2021 r. pojawiły się podwyżki, chociaż jeszcze umiarkowane, bo wynoszące 3 proc. Zeszły rok to już inflacyjny szok, gdyż odzież i obuwie zdrożały według GUS o prawie 8 proc. Firmy twierdzą, że nie mają wyjścia, skoro gwałtownie rosną ceny energii, więcej trzeba też zapłacić za wynajem sklepów, pensje pracowników czy transport. Jednak dla klientów to zupełnie nowa sytuacja. Według raportu Trends Radar firmy Cushman&Wakefield aż połowa Polaków przyznaje, że ich styl życia stał się skromniejszy. Moda to zazwyczaj jedna z pierwszych ofiar cięć. Zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, jak wiele ubrań zalega w szafach.

**Tanią odzież zawdzięczaliśmy modelowi biznesowemu, określanemu jako „fast fashion” (szybka moda).** – Główni konsumenci to młodzi ludzie. Oni kupują często i dużo. Szukają swojej tożsamości, a ciągłe zmiany w garderobie mają im w tym pomóc. Jakość ma znaczenie drugorzędne, skoro konsument i tak chce nieustannie zmieniać ubrania. Mamy więc do czynienia z ogromną polaryzacją rynku. Zdecydowana większość klientów wybiera najtańsze produkty, a stosunkowo niewielka grupa najzamożniejszych kupuje marki z najwyższej półki, które też mają dobre wyniki. W najgorszej sytuacji są ci, jak właśnie Peek&Cloppenburg, koncentrujący się na wyższej klasie



średniej. Tyle że ona kupuje ubrania dużo rzadziej niż młodzi – wyjaśnia dr Magdalena Płonka, dziekan w Międzynarodowej Szkole Kostiumografii i Projektowania Ubioru.

Globalny system szybkiej mody zapewnił niskie ceny, ale równocześnie doprowadził do gigantycznej nadprodukcji. W 1995 r. na każdego mieszkańca globu przypadało średnio 7,6 kg nowych ubrań, a w 2018 r. było to już prawie 14 kg. Bogaty rynek Unii Europejskiej okazuje się, zwłaszcza dla największych odzieżowych koncernów, prawdziwym rajem. Mieszkaniec Wspólnoty kupuje przeciętnie aż 26 kg ubrań rocznie, a trzy czwarte tej masy pochodzi z importu. Do tego każdy z nas wyrzuca rocznie 11 kg odzieży i obuwia, często zresztą w bardzo dobrym stanie.

Nowoczesny handel internetowy bardzo wiele zmienił w świecie mody. Jednak nie przyczynił się do zatrzymania tego tekstylnego zalewu. Właściwie sytuacja jeszcze się pogorszyła.

– Internet przyspieszył i ułatwił robienie zakupów. Nie trzeba tracić czasu na dojazd do galerii handlowej i szukanie miejsca parkingowego. W domowym zaciszu łatwo wrzucać kolejne produkty do wirtualnego koszyka. A nieustanne porównywanie cen poprawia nastrój klientom, gdy tylko stwierdzą, że trafili na świetną okazję. Mamy do czynienia z niebywałą skuteczną stymulacją konsumenta. Platformom sprzedażowym udało się nawet rozwiązać wątpliwości związane z ryzykiem niepasującego rozmiaru. Standardem stały się darmowe zwroty, które są absurdem z ekologicznego punktu widzenia. Ale tym przecież wciąż mało kto się przejmuje – stwierdza Magdalena Płonka.

**Czy inflacja może skłonić nas do zmiany przyzwyczajeń?** Kupowania mniej, za to wybierania ubrań trwalszych, lepszej jakości? – Na razie niewiele na to wskazuje. Spada odsetek konsumentów deklarujących, że starają się sięgać po produkty wytwarzane z poszanowaniem środowiska.

Z drugiej strony najmocniej rosną obroty sieci szczytujących się najtańszymi ubraniami, jak Pepco – zauważa Zosia Zochniak, pomysłodawczyni i współzałożycielka portalu UbraniaDoOddania.pl.

Na pewno każdy, nawet największy gracz, musi bardzo uważnie liczyć pieniądze. Europejcy potentaci, tacy jak szwedzkie H&M czy niemieckie C&A, ograniczają stopniowo liczbę sklepów stacjonarnych, zamykając najmniej zyskowe placówki. Nawet handel internetowy złapał ostatnio inflacyjną zadyszkę po udanych latach pandemii. Klienci zaczynają ograniczać zakupy, o czym świadczą choćby rozczarowujące wyniki opublikowane niedawno przez Zalando. To jedna z najpopularniejszych platform handlowych na naszym kontynencie, ważna też na polskim rynku.

Wkrótce do cen odzieży trzeba będzie doliczać wydatki na utylizację ubrań. Nad odpowiednimi regulacjami pracuje UE, która podkreśla znaczenie recyklingu odzieży i ponownego wykorzystywania cennych surowców. Niestety, na efekty musimy długo poczekać. – Zgodnie z najnowszą dyrektywą Komisji Europejskiej w 2030 r. każda sztuka odzieży ma mieć tzw. cyfrowy paszport, z którego dowiemy się nie tylko dokładnego składu, ale też ilości zużytej wody i wyemitowanego dwutlenku węgla przy wytworzeniu produktu. Również w 2030 r. czeka nas prawdziwa rewolucja, bo konsument będzie mógł nieodpłatnie zwrócić w sklepie zużyte ubrania czy buty, a producent weźmie odpowiedzialność za ich ekologiczną

utylizację albo zapewnienie im drugiego życia – mówi Zosia Zochniak z UbraniaDoOddania.pl. Podkreśla, że pozytywnym skutkiem rosnących cen może okazać się coraz większe zainteresowanie odzieżą z drugiego obiegu.

**Jest jeszcze jedna recepta na przeżycie przez kryzys.** Rynek modowy uchodzi za bardzo nasycony, więc trzeba się na nim wyróżnić. Jak to zrobić? Najlepiej stworzyć wyjątkowy wizerunek i przekonać klientów, że w zalewie powtarzalności i tandety warto wydać więcej, aby mieć coś szczególnego. Ta sztuka udało się na przykład amerykańskiej marce The North Face. Kiedyś kojarzona głównie z odzieżą sportową dziś sprzedaje produkty noszone na co dzień, zwłaszcza przez młodych.

Pomogła z pewnością konsekwencja w utrzymywaniu cen na dość wysokim poziomie przy jednoczesnej rygorystycznej kontroli jakości. Swoje zrobiły też media społecznościowe, które w przypadku młodego pokolenia są głównym nośnikiem reklamowym. To właśnie marki z bardzo wyrazistym przekazem marketingowym okazują się najbardziej odporne na inflację. Bo kto chce się wyróżnić albo nie być gorszy od rówieśników, ten na cenę ubrań zwraca najmniejszą uwagę. ■

EDWIN BENDYK

# Wiosna Ukrainy

W czasie gdy Zachód debatuje o work-life balance – równowadze między pracą i życiem – Ukraińcy wypracowali sobie war-life balance jako jedyną drogę do zwycięstwa.



**W**najgorszych momentach zakończonej zimy nie działała nawet połowa ukraińskiej infrastruktury elektroenergetycznej, bo Rosjanie z uporem bombardowali jej kluczowe węzły. Przerwy w dostawach prądu i ciepła stały się dla Ukraińców elementem rzeczywistości mogącym decydować o życiu i śmierci.

Ta rzeczywistość zdawała się jednak nie dotyczyć uczestników uroczystości zorganizowanej we Lwowie w połowie grudnia. W rozświetlonym Pałacu Potockich, siedzibie Lwowskiej Galerii Sztuki, zgromadzili się przedstawiciele miejskiej elity kulturalnej. Witali ich Taras Wozniak, dyrektor Galerii i jednocześnie redaktor naczelny legendarnego magazynu kulturalnego „Ji”. Przybyli na doroczną galę wręczenia orderów „Za intelektualną odwagę”. W roku wojny dostali je Włada Ralko i Wołodymyr Budnikow, znakomici artyści sztuk wizualnych. Nie zważając na to, że jeszcze przed chwilą obowiązywał alarm przeciwlotniczy, a większa część miasta była pozbawiona prądu, uczestnicy fetowali laureatów i cieszyli się życiem.

Wozniak w pierwszych słowach podziękował ukraińskim żołnierzom za to, że daleko od frontu daje się żyć. Pracujące teatry, biblioteki, kina i sale koncertowe – to wszystko jest równie ważnym elementem oporu jak działania zbrojne. Pokazuje, że Kreml nie osiągnął celu – nie unieważnił Ukrainy i Ukraińców jako historycznego podmiotu zdolnego do obrony tego, co mu najdroższe. Nie tylko więc życia w wymiarze biologicznym, ale i kultury.

Taras Wozniak, subtelny filozof, przyznał, że rok wcześniej, podczas podobnej uroczystości, zadawał sobie pytanie, po co jest Ukraina i do czego są potrzebni światu Ukraińcy? I nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Dziś, mimo wciąż dramatycznej sytuacji, odpowiedź jest znacznie prostsza – Wozniak twierdzi, że Ukraińcy wykazali się „odwagą godną greckich eposów”, dowodząc tym, że są ludźmi wolnymi, a tylko przed wolnymi otwiera się przyszłość.

Jego patetyczne słowa współbrzmiały z wynikami licznych analiz socjologicznych, jakie powstały w Ukrainie od wybuchu wojny. W najnowszym sondażu Grupy Rating 93 proc. ankieterów patrzy z nadzieją w przyszłość, a 97 proc. nie ma wątpliwości, że zwycięstwo jest tylko kwestią czasu. Co ważniejsze, aż 74 proc. za warunek pokoju uznaje powrót granic z 1991 r., a więc pełne





Kawiarnia w Kijowie.

© GUILLAUME HERBAUT/AGENCE VU/VU IMAGES/EAST NEWS

odzyskanie Donbasu i Krymu. W kwietniu ub.r. na taki cel wskazywała nieco ponad połowa badanych.

To wyniki z próby realizowanej w lutym, kiedy jeszcze nie były znane losy rosyjskiej ofensywy zimowej, która – jak się okazało – utknęła pod Bachmutem. Wiosna przyniosła kolejny powiew nadziei, nie ziściły się grudniowe obawy o katastrofę humanitarną spowodowaną brakiem ciepła i energii. Wznowienie systematycznych dostaw prądu poprawiło nastroje nie tylko zwykłej ludności, ale także biznesu.

Tu najlepszym dowodem jest liczba zakładanych firm – po masowych likwidacjach w marcu i kwietniu ub.r. już w sierpniu nastąpił przełom i więcej nowych firm powstało, niż zostało zawieszonych. Jesienią tempo rozwoju biznesu wyprzedziło wskaźniki z pandemicznego 2020 r. i osiągnęło 71 proc. 2021 r., w dodatku przy znacznie mniejszej liczbie ludności – miliony Ukraińców wyjechały z kraju. W najbliższych miesiącach wszystkie ważne wskaźniki – inflacja, bezrobocie, zarobki – mają się poprawiać.

W nowym numerze ukraińskiego „Forbesa” redaktorzy postanowili przyjrzeć się wojennej gospodarce poprzez konkretne jej segmenty i przedsięwzięcia. Najważniejszą zmianą roku wojny

w gospodarce było ostateczne odcięcie ukraińskich firm od Białorusi i Rosji oraz poszukiwanie nowych rynków zbytu. Liderem jest wciąż sektor rolno-spożywczy, który w 2022 r. wyeksportował towary za 21 mld dol., tylko nieco mniej niż w 2021 r. (24 mld). Znacznie gorzej radzi sobie sektor wydobywczo-hutniczy. Choć mimo utraty choćby kombinatu Azovstal w Mariupolu Ukraina w tym segmencie sprzedała produktów za ponad 9 mld dol. (23 mld w 2021 r.). Do pewnego stopnia te ubytki nadrobiły rekordowe wyniki ukraińskiej informatyki.

„Forbes” opisuje też konkretne firmy, np. lwowski Kormotech. To w tej chwili globalne już przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją i dystrybucją karmy dla zwierząt. W czasie wojny straciło rynek białoruski, czyli 15 proc. obrotu. Stratę tę jednak uzupełnił wzrost sprzedaży w USA i Europie. W efekcie firma w czasie wojny zwiększyła obroty.

Żywołność gospodarki i biznesu widać również w statystykach makroekonomicznych – systematycznie rosną przychody budżetu z podatków. I to właśnie podatki oraz finansowanie poprzez dług publiczny są podstawą stabilności makroekonomicznej Ukrainy. Oczywiście nie byłaby ona możliwa bez pomocy zagranicznej. Należy jednak pamiętać, że większość tej pomocy ma charakter oprocentowanych pożyczek, a Ukraina ciągle systematycznie obsługuje swoje zagraniczne zobowiązania.

## Masowy wolontariat

Ukraińska gospodarka wojenna ma też drugie oblicze, czyli szarą strefę, która może stanowić nawet połowę realnego PKB (w 2021 r. szacowano ją na 31 proc.). Szara strefa oznacza mniejsze wpływy podatkowe do budżetu, jednocześnie jednak podpowiada, że wojenny spadek PKB o 30 proc. wygląda dramatycznie w statystykach, w rzeczywistości jednak jest amortyzowany transakcjami odbywającymi się poza fiskusem.

I nie wszystkie muszą być wyrazem gospodarczej patologii. Jednym z fenomenów w Ukrainie czasu wojny jest masowy wolontariat i społeczne zaangażowanie w pomoc siłom zbrojnym, uchodźcom, osobom potrzebującym, zwierzętom – zaangażowanie takie w pełnym wymiarze czasu deklaruje 5 proc., jako dodatkowe zajęcie 35 proc.

Znowu za abstrakcyjnymi statystykami kryją się zarówno działania pojedynczych ludzi, jak i wielkie systemowe wręcz przedsięwzięcia, których ikoną stał się Serhij Prytuła i jego fundacja. Prytuła od początku wojny wykorzystuje status celebryty, by mobilizować rodaków do wspierania armii – z ich składek kupuje drony, kupił dostęp do satelity rozpoznawczego ICEYE i otworzył tajny warsztat, w którym inżynierowie ochotnicy remontują i „ukrainizują” czołgi pozostawione w polu przez Rosjan.

Inną miarą społecznego zaangażowania są wpłaty na Siły Zbrojne Ukrainy – Narodowy Bank Ukrainy uruchomił specjalny rachunek, na który w ciągu roku trwania wojny wpłynęło ponad 23 mld hrywien, co według dzisiejszego kursu przekłada się na ponad 600 mln dol.

Błędne byłoby jednak wrażenie, że Ukraina to państwo żyjące z internetowego crowdfundingu i pomocy zagranicznej. Ta ostatnia to mniej niż trzecia część broni i amunicji wykorzystywanej na froncie. Resztę zapewnia ponad 400 firm ukraińskiego sektora obronnego, który zwiększył w czasie wojny moce produkcyjne nawet ośmiokrotnie. Wozy bojowe, czołgi, haubice samobieżne, systemy rakietowe, drony, amunicja – to wszystko produkowane jest w Ukrainie lub w ramach umów podpisanych z krajami sojuszniczymi.

Rosyjski krążownik „Moskwa” zatonął ugodzony ukraińskimi rakietami Neptun, a podczas odbijania Wyspy Wężowej chrzest bojowy przeszła haubica samobieżna Bohdana. ►

► Ba, ukraińska zbrojeniówka nie marnuje okazji i mimo wojny promowała swoją ofertę na wielkich targach zbrojeniowych „Index-23” w lutym br. w Abu Zabi. Frontowe osiągnięcia są tu najlepszą reklamą.

## W Aptece Mikolascha tłum

Masakra w Buczy, oblężenie Mariupola, krwawe walki na wyniszczenie pod Bachmutem przypominają najbardziej ponure wydarzenia pierwszej czy drugiej wojny światowej. Jednocześnie jest to jednak wojna, którą prowadzi społeczeństwa konsumpcyjne. Inaczej niż podczas tamtych wojen drogą do zwycięstwa nie jest ograniczenie cywilnej aktywności gospodarczej i konsumpcji, by wszystkie zasoby ludzi i pracy rzucić do obsługi frontu. Powodzenie na froncie zależy tyleż od siły armii, co żywotności gospodarki i jej zdolności do generowania podatków.

Z tego względu nawet we Lwowie podczas wspomnianej uroczystości mimo braku prądu i stałego zagrożenia nalotami pracowała nie tylko lwowska fabryka czołgów, ale także sklepy i kawiarnie. W najlepszej z nich – Aptece Mikolascha – tłum, podobnie jak w innych miejscach. Energię dostarczały generatory pyrkotające przed każdą niemal witryną. Wśród biesiadujących pełno żołnierskich mundurów, przy kasach informacje o zbiorach na wojsko. W czasie gdy Unia Europejska wprowadza dyrektywę o *work-life balance* (równowadze między pracą a życiem), Ukraińcy wypracowali pojęcie *war-life balance*.

Kluczem do tej wojennej normalizacji stało się pojęcie pracy. Jurko Stecyk, zaginiony w walce żołnierz, a w życiu cywilnym muzyk, artysta i harcerz, pisał na początku agresji: „Wojna to nie koniec życia, to nie bohaterstwo, to długa i ciężka praca”. I tłumaczył dalej konieczność afirmacji życia. Znana snajperka Olena Biłozerska w wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy” mówiła w kwietniu ub.r. o swojej działalności jak o „pracy do wykonania”, opisując przy tym złożoną etykę swojej pracy, zabraniającą strzelania do cywili czy żołnierzy ratujących rannych.

Pojęcie pracy łączy tych, co na froncie militarnym, z tymi, co na froncie kolejowym, energetycznym, a także na froncie usług, by wspomnieć dostawców jedzenia krążących po Lwowie czy Kijowie na rowerach z plecakami „Volt”, podobnie jak w innych miastach europejskich. Księgarnie sieci „Je” tak jak przed wojną pracują siedem dni w tygodniu, od 9 do 21. Istotna nowość – w razie braku prądu trzeba płacić gotówką. Ale jest za co, bo oferta wydawnicza imponuje.

W tle trwa wielka przemiana ukraińskiego społeczeństwa, którą próbują wyjaśnić i zrozumieć tamtejsi socjologowie. Mimo wojny prowadzą regularne badania, np. w rocznicę rosyjskiej agresji ukazał się 400-stronicowy tom „Ukraińskie społeczeństwo w warunkach wojny 2022”, przygotowany przez Instytut Socjologii Ukraińskiej Akademii Nauk. Do obiegu trafił też raport „Polityczno-ideologiczne orientacje obywateli Ukrainy w warunkach rosyjskiej agresji”, dzieło Centrum Razumkowa. Wnioski z nich jest następujący – wojenne kalkulacje Putina okazały się błędne, nie były jednak pozbawione podstaw. Tuż przed agresją większość Ukraińców patrzyła w przyszłość z poczuciem beznadziei, notowania Wołodymyra Zełenskigo spadały z ponad 70 proc. w 2019 r. do 31 proc., podobnie jak wskaźniki zaufania do instytucji państwa. Ba, nawet tak mityczne wydarzenia, jak Majdan i Rewolucja Godności, dzieliły, a nie łączyły Ukraińców.

Na pytanie: „Gdyby takie wydarzenia, jak w 2013–14 odbywały się dziś, czybyś poparł Majdan?”, w sierpniu 2015 r. pozytywnie odpowiedziało 40 proc. badanych, w marcu 2018 r. 32 proc. W grudniu 2021 r. 38 proc. mówiącej po rosyjsku części społeczeństwa ukraińskiego (a więc wtedy blisko połowa) uważało, że wojna w Donbasie była zainicjowana w 2014 r. przez oligarchów

i ukraiński rząd, a 36 proc. twierdziło, że ma charakter wojny domowej. Wśród mieszkańców Charkowa, Mariupola, Chersonia poglądy antyeuropejskie przeważały nad proeuropejskimi.

To jednak mieszkańcy tego samego Charkowa i charkowszczyzny dali odpór najazdowi, a Chersoń mimo okupacji do końca nie uznał rosyjskiej władzy. Bunt tamtejszych nauczycieli uniemożliwił uruchomienie systemu szkolnego, znaczna część gospodarki działała w drugim obiegu, w którym obowiązywała hrywna, a nie rubel. Liczni ochotnicy współpracowali z ukraińskimi służbami specjalnymi, pomagając przygotować akty sabotażu i zamachy na kolaborantów. Symbolem oporu chersonian stał się Jurij Kerpatenko, dyrygent miejskiej orkiestry symfonicznej, który odmówił zagrania dla wojsk rosyjskich, za co zapłacił życiem.

Nestor ukraińskiej socjologii Jewhen Hołowacha, przyglądając się społecznej przemianie, mówi, że w ciągu roku wydarzyło się więcej niż w ciągu 30 lat niepodległości. Przyspieszył proces społecznej i narodowej konsolidacji. Dziś 71 proc. Ukraińców deklaruje, że ukraiński jest ich pierwszym językiem, 23 proc. wskazuje na rosyjski, ale 88 proc. nie ma wątpliwości, że językiem ojczystym jest ukraiński, niezależnie od tego, jak się mówi w domu.

Ukraińcy zobaczyli siebie jako naród polityczny, zdolny do podmiotowości i tworzenia historii. Ostatecznie odrzucili postimperialny kompleks, odkryli w sobie odwagę oraz sprawczość. I jak mówi Wozniak, tym samym otworzyli sobie drogę do przyszłości.

## Manifest pokoju

Na pytanie, jak odpowiedzieliby w referendum o przynależności do Unii Europejskiej, 85 proc. pytanym Ukraińców zadeklarowało „tak”, w przypadku NATO za wstąpieniem do Sojuszu zagłosowałoby 82 proc. Jak jednak dojść do tych celów?

Odpowiedzi szukali zgromadzeni we Lwowie intelektualiści i eksperci, których zaprosił historyk Jarosław Hrycak. Zebrali się tego samego grudniowego dnia, kiedy w Pałacu Potockich odbywała się gala orderu „Intelektualnej odwagi”. Chowając się ze względu na alarm przeciwnotniczy w piwnicy Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego, dyskutowali o tym, jak zapewnić trwałą pokój po nieuchronnym ich zdaniem ukraińskim zwycięstwie. Pokój nie tylko dla Ukrainy, lecz dla świata.

Efektom ich pracy, w której pytali o radę polskich kolegów, jest „Manifest trwałego pokoju”, prezentowany m.in. podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium w lutym br. Ów „Manifest” jest wyrazem siły społeczeństwa obywatelskiego, które od samego początku agresji nie tylko angażuje się w działania wolontariackie, ale także debatuje o przyszłej Ukrainie.

Hołowacha tłumaczył podczas jednej z debat „Ukraina mówi”, zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego, że ta obywatelska siła jest jednocześnie wielkim zasobem i wyzwaniem dla Zełenskigo. Tak, jest on niekwestionowanym liderem, cieszącym się zaufaniem 91 proc. społeczeństwa. Ale nie jest wodzem ani dyktatorem. I jeśli rozminie się ze społecznymi emocjami i oczekiwaniami, podejmując np. negocjacje pokojowe zakładające ustępstwa, naród wypowie posłuszeństwo.

Socjolożka Natalija Otreszko przekonuje, że źródłem siły Ukraińców w starciu z rosyjską tyranią jest przywiązanie do liberalnych wartości: indywidualizmu, osobistej wolności i uznania życia jako najwyższej wartości. Wartości te, przeżywane i praktykowane społecznie w sytuacji wojny, wraz z odkryciem znaczenia państwa i wspólnoty prowadzą do powstania oryginalnego modelu społeczno-politycznego, odnowionej wersji demokracji liberalnej, który nazwać by można nowoliberalizmem. I to wolna Ukraina jest jego prekursorką.

EDWIN BENDYK

Autor jest prezesem zarządu Fundacji im. Stefana Batorego i dziennikarzem POLITYKI.



ARTUR DOMOSŁAWSKI

# Niepokorna Dora

Najgorszą torturą była izolacja. Mężczyzn trzymano w niej maksymalnie dwa miesiące. Dorę Marię Tellez, swą dawną towarzyszkę walki, dyktator Nikaragui więził 20 miesięcy.



Dora Maria Tellez z protestującymi podczas strajku głodowego w Managui.

**Z**erwała się przerażona. Rozejrzała się – i wtedy przyszła ulga. Była w hotelu w Waszyngtonie. Ściany miały okna. Za oknem wschodziło słońce. Poprzedniego wieczoru strażnicy więzienni kazali jej zdjąć uniform i przebrać się w ubrania, w których została aresztowana. Wsadzili do autobusu razem z innymi i adios!

Daniel Ortega, dyktator Nikaragui, tak bardzo nie mógł znieść swoich przeciwników, nawet pozamykanych w więzieniach, że postanowił 224 z nich deportować. A żeby nie mogli zbyt prędko wrócić, fasadowy parlament pozbawił ich obywatelstwa.

O 6.30 Boeing należący do linii Omni Air International z wypędzonymi na pokładzie wystartował w stronę Waszyngtonu.

Szalona radość, że koszmar dobiegł końca. I gorycz – w kraju zostali rodzice, dzieci, przyjaciele.

Jedną z deportowanych była Dora Maria Tellez, legendarna Komendantka Numer Dwa z czasów rewolucji sandinistowskiej, dawna towarzyszka broni Ortegi. Na fotografii zrobionej już w Waszyngtonie widać wychudzoną, 67-letnią kobietę z siwą czupryną. Całą uwagę kradnie jej uśmiech.

Gdy przez lata krytykowała go za to, że krok po kroku ustanawia w Nikaragui dyktaturę – taką jak ta, z którą kiedyś wspólnie walczyli – Ortega nie śmiał jej tknąć. Była legendą.

Latem 2021 r. wzbierała kolejna fala protestów – zbliżały się wybory prezydenckie – i Ortega rozpętał kampanię nienawiści przeciw „zdrajcom ojczyzny za obce pieniądze”. Rozkazał aresztować działaczy,

dziennikarzy, krytycznych ludzi biznesu i niechętnych reżimowi księży. A przede wszystkim – rywali w wyborach. Ortega rządzi po dyktatorsku, ale stwarza pozory, że jest inaczej, i organizuje lipne wybory.

Tellez nie dała się zastraszyć i wypaliła, że Ortega „dąży do wyeliminowania wszelkich kandydatów opozycji”, a masowe represje oznaczają, że „dyktatura znajduje się w stanie agonii”.

Żeby ją aresztować, Ortega odegrał prawdziwy spektakl. Dom Tellez na obrzeżach Managui siły specjalne oblegały przez kilka godzin. Liczba policjantów, jakich wysłano, by ją zatrzymać, przywozili na myśl akcje przeciw osławionym *narcotraficantes*, jak Pablo Escobar. Trochę grozy, ale więcej groteski.

Potem Ortega nazwał Tellez publicznie „zdrajczynią”, która „służy interesom ►

► USA". Za „spiskowanie” i „wyrządzenie szkód integralności narodowej” prokuratura zażądała 15 lat więzienia. Skazano ją na osiem, a proces trwał ledwie kilka godzin i odbył się nie w sądzie, lecz w owianym grozą więzieniu El Chipote.

W listopadzie 2021 r. Ortega zorganizował wyborczą farsę, a następnie ogłosił, że tylko on jest w stanie utrzymać pokój w kraju. Swoich wrogów nazwał puczystami i terrorystami, którzy chcą wojny domowej.

**Wojna domowa w Nikaragui toczyła się, owszem – w latach 70. i 80. Stojący rolnictwem kraj należał do kilkunastu oligarchicznych rodzin,** którym przewodził Anastasio Somoza, czwarty z rzędu potomek rodzinnego klanu. Początki rebelii sięgały lat 30. XX w., kiedy chłopski lider Augusto Sandino wzniesił bunt przeciw oligarchii i amerykańskiej okupacji. Amerykanie wycofali się, Sandino zginął, a jego walka inspirowała kolejne pokolenia buntowników – w tym pokolenie Ortegi i Tellez. Klan Somozów i jego wspólnicy nadal wyzyskiwali masy chłopów, przywłaszczali publiczne pieniądze, a nieposłusznych więzili i zabijali.

Somoza czuł się bezpiecznie nawet w obliczu rosnącej w siłę w latach 70. partyzantki – Sandinistowskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego (FSLN). Wierzył, że ma bezwarunkowe poparcie Białego Domu, którego kolejni lokatorzy zarzekali się, że nie pozwolą na „drugą Kubę”, tj. sojusznika ZSRR, w sąsiedztwie.

W 1976 r. pewna studentka medycyny z miasta Leon po trzech latach nauki zdecydowała się porzucić uczelnię i przystąpić do partyzantów. Wywnała późniejszemu nobliście Gabrielowi Garcíi Márquezowi, że zrezygnowała z nauki z powodu frustracji. „To było smutne: leczyłam niedożywione dzieci z poświęceniem, a trzy miesiące później wracałam do szpitala jeszcze bardziej niedożywione”. To była Dora Maria Tellez, nazwana później Komendantką Numer Dwa.

22 sierpnia 1978 r. Tellez współdowodziła najbardziej spektakularną akcją sandinistów przeciw dyktaturze: zajęciem Pałacu Narodowego, w którym mieściła się siedziba (lipnego) parlamentu. 24 bojowników i jedna bojownicza – ona – przebrani za gwardzistów Somozy opanowali budynek w trakcie sesji parlamentu i wzięli zakładników. Celem była wymiana ich za uwięzionych sandinistów, następnie – odczytanie odezwy partyzantów do ludu w radiu i telewizji oraz wysoki okup (sandiniści nie mieli środków na dalsze prowadzenie walki).

Po dwóch dniach negocjacji bojownicy osiągnęli prawie wszystko, czego żądali. Zdołali uwolnić i wywieźć samolotami do Wenezueli i Panamy 60 zwolnionych z więzień towarzyszy (20 innych, których zwolnienia się domagali, już nie żyło – reżim ukrywał ich śmierć). Radio i telewizja nadały ich odezwę. Nie zdołali wymusić na Somozie okupu 10 mln dol., a jedynie pół miliona. Lecz nawet to było dla nich fortuną.

Osiągnęli ponadto coś jeszcze: dali społeczeństwu nadzieję, że pokonanie dyktatury jest możliwe. I już rok później Ortega wspólnie z Tellez świętowali zwycięstwo. Jej postać uwiecznił w reportażu García Márquez. „Numer Dwa, jedyna kobieta w dowództwie, 22-letnia, bardzo piękna, nieśmiała i skupiona dziewczyna, o inteligencji i zdrowym rozsądku, które przysługują się jej we wszystkim, co w życiu wielkie”.

**Do samolotu, który kilka tygodni temu wywiózł Tellez i innych więźniów do USA, nie wszedł biskup Rolando Alvarez,** główny kościelny krytyk dyktatury. Wcześniej odsiadywał karę w domu – inaczej niż pięciu podległych mu księży, których reżim skazał na 10 lat prawdziwego więzienia. Gdy Alvarez odmówił wyjazdu, Ortega wpadł w furję. Urządził błyskawiczny proces, w którym skazano biskupa na 26 lat więzienia – za „zdradę ojczyzny” i „szerzenie fałszywych informacji”.

Za kulisami toczyły się negocjacje między reżimem i Watykanem, jednak uwięzienie Alvareza jest aż nazbyt dobitnym dowodem, że poniosły fiasko. Papież Franciszek publicznie potępił „brutalną dyktaturę” Ortegi i porównał ją do „komunistycznej lub hitlerowskiej”.

Relacje Ortegi z Kościołem katolickim jako żywo przypominają te, jakie miał z Kościołem Anastasio Somoza. Tego ostatniego popierała kościelna konserwa, ale zbuntowani księża stanowili filar rewolucji sandinistów. Ortega ułożył się w ostatnich latach z Kościołem, dając mu w prezencie jedną z najbardziej restrykcyjnych ustaw antyaborcyjnych na świecie. Jednak i teraz, tak jak za Somozy, część księży stanęła po stronie zbuntowanych.

Jednym z nich był towarzysz Ortegi z czasów rewolucji ks. Ernesto Cardenal. „Ortega i jego żona [Rosario Murillo – przyp. red.] mają władzę absolutną i niczym nieograniczoną – powiedział po krwawym stłumieniu protestów w 2018 r. – Nie ma o czym z nimi dyskutować. Powinni odejść”.

Ks. Cardenal był też towarzyszem walki Tellez. Gdy lata po zwycięskiej rewolucji, na spotkaniu w Uniwersytecie Harvarda,

spytano go, co sandiniści zrobili dla praw kobiet, odpowiedział, że była to rewolucja, którą mężczyźni i kobiety przeprowadzili wspólnie. Jako przykład wskazał Tellez, której 160-osobowe komando wyzwoliło jej rodzinne miasto Leon.

**To był pierwszy skrawek kraju wolny od tyranii Somozy i tymczasowa stolica.** Przez pierwsze tygodnie Komendantka Numer Dwa uosabiała rewolucyjne państwo. Organizowała rolnicze komuny, które dostarczały na wpół głodującym ludziom minimum wyżywienia. Ale przede wszystkim zawładnęła sercami ludzi.

Gdy w lipcu 1979 r. sandiniści definitywnie obalili dyktaturę, Tellez została ministrami zdrowia i najbardziej wpływową kobietą rewolucji. Opieka zdrowotna dla każdego – prócz reformy rolnej i alfabetyzacji – miała być solą reform.

Gdy w 1984 r. delegatki organizacji Jesteśmy Siostrami z USA odwiedziły Nikaragwę, Tellez zrobiła na nich piorunujące wrażenie. Jedna z nich powiedziała potem, że „wszystkie podkochiwały się” w Tellez – bo rewolucjonistka, bo lekarka, bo budownicza nowego ładu. „Była mądra, seksowna, silna, zabawna i niesamowicie ludzka” – wspominała ją aktywistka i historyczka Marcia Gallo. Przywództwo Tellez „ujawniało potencjał rewolucji do radzenia sobie z kapitalizmem i seksizmem”.

Ale Tellez miała do rozegrania batalię nie tylko o obecność kobiet w ogóle, ale też o uznanie praw lesbijek. Batalię o siebie, współtowarzyski – i o istotną część wolności osobistej. Kilkadziesiąt lesbijek i gejów z obozu sandinistów spotykało się w prywatnych domach. Krytkowali brak wolności seksualnej w ZSRR i na Kubie – wierząc, że sandiniści będą pierwszymi, którzy wyzwolą także osoby nieheteronormatywne.

Ta sprawa wywoływała potężne napięcia wewnątrz partyzanckiego ruchu przesiąkniętego macyzmem. Jej przypuszczalny romans z Ligią Elizondo, wiceministrami planowania (i żoną szefa banku centralnego), wywołał skandal na szczytach władzy. W grudniu 1986 r. na zgromadzeniu sandinistów Ortega grzmiał: „Karać lesbijek nie będziemy! Ale wiedźcie, że Narodowy Dyrektoriat (sandinistów) nie będzie powoływał lesbijek na stanowiska publiczne!”.

Pozycja polityczna Tellez sprawiała, że była nie do ruszenia. Ale reszta sandinistów i sandinistek LGBT – owszem. Kilka miesięcy później bezpieka zatrzymała i przesłuchiwała wiele z tych osób. Groziła im wydaleniem z ruchu, jeśli nie



zaprzestaną działalności. Szykanowani trzymali te groźby w tajemnicy – nie chcieli szkodzić międzynarodowemu poparciu dla rewolucji, z którą się utożsamiali. A był to czas, w którym sandiniści odpierali ataki *contras*, kontrrewolucyjnej guerilli finansowanej przez CIA. Potrzebowali jedności i mobilizacji, nie podziałów.

Gdy jednak Tellez dowiedziała się o przesłuchaniach towarzyszek LGBT, użyła swej władzy, by dopiec wykonawcom szykan. A przede wszystkim przygarnęła zastraszonego do swojego ministerstwa, gdzie stali się widoczną grupą, prowadzącą kampanię profilaktyki przeciw AIDS. Polityką faktów dokonanych Tellez zmuszała innych liderów obozu władzy do uznania, że osoby LGBT mogą współtworzyć rewolucję na równych prawach.

**Gdy została skazana w 2021 r., Ortega „wyróżnił” ją jako lesbijkę, osadzając w męskim bloku więzienia El Chipote.** W izolatce, ciemnościach, w celi bez okien. Rok i osiem miesięcy. Posłanie na cienkim materacu na betonowej podłodze. Bez przykrycia, bez ręcznika. Największa tortura – samotność. Zaraz po niej – brak poczucia czasu. Walczyła z rozpaczą za pomocą ćwiczeń gimnastycznych i chodzenia w kółko po celi. Przez pierwsze trzy miesiące nie dano jej prawa do odwiedzin. Po 468 dniach podjęła strajk głodowy. Zażądała przeniesienia z izolatki i dostępu do lektur.

„Wiedziałam, że muszę wytrzymać; że to jedyny sposób, by wygrać z Ortega – powiedziała po wyjściu na wolność. – Zwycięstwem było, że nie zwariowałam, że nie defekowałam w celi, że się nie powiesiłam”.

Ciosem była śmierć – w tym samym bloku więziennym – dawnego towarzysza walki Hugo Torresa, z którym w 1978 r. Tellez wzięła zakładników w parlamencie Somozy. Dawny komendant sandinistów, a ostatnio przeciwnik Ortegi, tuż przed uwięzieniem nagrał wideo. Mówi w nim, że ma 73 lata i nie przypuszczał, że w tym wieku znowu będzie walczył z tyranią – gorszą niż za Somozy. Przypomniawszy, że w 1974 r. ryzykował życie, by wyciągnąć z więzienia Somozy towarzysza walki. Ten towarzysz nazywał się Daniel Ortega.

**Tellez z Torresem i Sergiem Ramirezem (wiceprezydentem Ortegi z lat 80.) założyli przed laty Sandinistowski Ruch Odnowy.** Było to po przegranych wyborach w 1990 r. – bo rewolucjoniści w Nikaragui, inaczej niż na Kubie, utrzymali demokratyczne wybory. A gdy je przegrali, oddali władzę. Wewnątrz ruchu

rozgorzała wtedy walka o jego przyszłość. Ortega stawiał na model wodzowski. Tellez i jej przyjaciele – na demokratyczny.

Szokiem dla wielu sandinistów było pospieszne uwłaszczenie na moment przed oddaniem władzy. Ludzie Ortegi przejmowali budynki, firmy, gospodarstwa rolne. Moralnie było to trudne do przyjęcia, bo sandiniści nieśli przesłanie rodem z „chrześcijaństwa ubogich”: wszystko dla ludzi, nic dla siebie.



Tellez z Danielem Ortega, jeszcze jako towarzysze broni i komendanci rewolucji sandinistów, 1979 r.

Tellez powiedziała potem, że w czasach partyzanckich wzięcie dla siebie garści ryżu więcej niż inni traktowano jako występki. Uwłaszczenie w stylu Ortegi zniszczyło rewolucyjną czystość i reputację ruchu. Ale – jak mówi – „rewolucje nie są wieczne, nasza skończyła się w 1990 r.; jej spuścizna pozostała w sercach ludzi i ich świadomości jako obywateli”.

O tej spuściznie zapomniawszy Ortega. Po trzech przegranych elekcjach i 16 latach abstynencji od rządzenia wrócił do władzy w 2006 r. i krok po kroku budował dyktaturę przypominającą tę Somozy, którego sandiniści obalili ponad 40 lat temu.

**Po 20 miesiącach przymusowej przerwy Tellez wraca dziś do lektur. Czeka ją na nią książki Youvala Harario i Erica Hobsbawma.** Literatura pomaga jej odpowiadać na pytania o dawnego towarzysza – dzisiejszego tyrana. Mówi, że Ortega jest jak minister policji z czasów Napoleona – Joseph Fouché, którego przenikliwie sportretował Stefan Zweig. Człowiek władzy bez skrupułów.

Eksperti ds. praw człowieka ONZ mają mniej literackie skojarzenia – sugerują,

że Ortega i jego żona Murillo dopuszczają się zbrodni przeciw ludzkości. Tłumienie protestów jak w 2018 r., kiedy padło 355 zabitych; bezprawne egzekucje, więzienie oponentów, tortury, systemowe prześladowania na tle politycznym wyczerpują definicję takiej zbrodni.

W ostatniej dekadzie z Nikaragui wyjechało kilkaset tysięcy ludzi – z powodu represji i biedy. Jedni migrują do USA – to trudniejsze ze względu na ograniczenia

wizowe. Inni – do sąsiedniej Kostaryki, która też wprowadza ograniczenia.

Ortega traci sojuszników. Zostali mu Nicolas Maduro z Wenezueli i Miguel Diaz-Canel z Kuby. Potępił go przywódca nowej lewicowej fali w regionie – prezydent Kolumbii i Chile Gustavo Petro i Gabriel Boric. Zaoferowali wypędzonym więźniom obywatelstwo: dawna muza sandinistów poetka Gioconda Belli przyjęła chilijskie; Sergio Ramirez – kolumbijskie. Obywatelstwo wypędzonym przez Ortegę więźniom oferują też Hiszpania i Argentyna.

Tellez zachowuje status apatrydki (bezpaństwowca). Jej przyjęcie przez USA nie było oczywiste. Gdy w 2005 r. Uniwersytet Harvarda zaprosił ją w charakterze *visiting professor*, Departament Stanu odmówił jej wizy – figurowała na liście terrorystów.

Co dalej? Na razie próbuje odzyskać rytm doby. Wschody słońca, których pozabawił ją Ortega. Widok nieba. Musi podreperować zdrowie. Nie planuje zagrać w Stanach miejsca. Chciałaby wrócić do kraju. Nie Ortega będzie decydował, kim jest ani gdzie ma mieszkać. To jeszcze nie koniec, walka trwa.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



# Puzzle Stasi

O teczkach tajnych służb NRD znów jest głośno.  
Z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę sięgają po nie ci, którzy chcą lepiej poznać  
Władimira Putina. I jego niemieckich przyjaciół.

FILIP GAŃCZAK

**H**inrich Kuessner pamięta ten dzień. Był 4 grudnia 1989 r., prawie miesiąc po upadku muru berlińskiego. W kilkudziesięciotysięcznym Greifswaldzie przy granicy z Polską rozeszła się wieść, że komunistyczna bezpieka pali swoje akta. Kuessner, wówczas działacz opozycji, błyskawicznie zdecydował wraz z kolegami, że trzeba działać. Udało im się zmobilizować mieszkańców i pod siedzibą bezpieki zebrał się kilkusetosobowy tłum.

Tajna policja polityczna, która przez cztery dekady trzęsła Niemiecką Republiką Demokratyczną, nawet nie próbowała stawiać oporu. Ludzie weszli do budynku, znaleźli tam dużo wódek, później także broni. I 70 worków akt przygotowanych do wywózki. Część dokumentów była ręcznie porwana.

Podobne sceny rozgrywały się w innych miastach NRD. Zbuntowani obywatele zajmowali siedziby znienawidzonego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego

(Stasi), które dopiero co przefarbować się na Urząd Bezpieczeństwa Narodowego i z nowym szyldem chciało przetrwać demokratyczną rewolucję, niszcząc dowody wcześniejszej działalności.

Spółeczny opór ocalił ponad 111 km akt – dziś to bezcenny materiał dla naukowców i dziennikarzy badających dzieje komunistycznej dyktatury między Odrą a Łabą. Ten zasób może się jeszcze powiększyć o 4–6 km, na tyle bowiem jest szacowana zawartość 16 tys. worków z dokumentami, które bezpieka zdążyła porwać na strzępy, ale nie całkowicie zniszczyć.

## Rekonstruktorzy

W Archiwum Federalnym w Berlinie-Lichtenbergu trwa dziś benedyktyńska praca. 43-letni Andreas Loder stoi na czele 10-osobowego zespołu, który zajmuje się ręczną rekonstrukcją porwanych akt. Strzępki papieru trzeba dopasowywać jak puzzle. I tak strona po stronie. A stron – jak obliczają archiwiści – może być nawet 55 mln.

Ręczna rekonstrukcja ruszyła krótko po zjednoczeniu Niemiec. Odzyskane

materiały dały wgląd w inwigilację znanych dysydentów, takich jak Jürgen Fuchs, Robert Havemann czy pisarz Stefan Heym. Pokazały też, jak w NRD znalazła schronienie terrorystka Silke Maier-Witt, poszerzyły wiedzę o masowym dopingu we wschodnioniemieckim sporcie i nie-ludzkim reżimie granicznym.

To jednak wciąż tylko niewielka część tego, co czeka na rekonstrukcję. Do dziś udało się odczytać zawartość ok. 600 worków. „Przy obecnym tempie poskładanie tego zajmie kilkaset lat” – irytuje się dr Christian Booss, historyk i dziennikarz specjalizujący się w dziejach NRD. To zła wiadomość nie tylko dla badaczy, lecz także tych ofiar komunistycznego reżimu, które wciąż liczą na odszkodowania.

Przełom miała przynieść technologia – w 2007 r. ruszyła wirtualna rekonstrukcja akt. Specjalny program komputerowy miał znacząco przyspieszyć łączenie podartych skrawków papieru. Ten projekt kosztował już 6,5 mln euro, ale nie spełnił oczekiwań. W ciągu kilku lat udało się komputerowo zrekonstruować



zawartość zaledwie 23 worków. Wąskim gardłem okazały się skanery.

Dziś Archiwum Federalne szuka nowej firmy, która znów podejmie się komputerowej rekonstrukcji porwanych akt. Tymczasem kontynuowana jest rekonstrukcja ręczna. Nadzieje są duże, bo ponad 30 lat po upadku muru berlińskiego wróciło zainteresowanie spuścizną NRD-owskiej bezpieki. Choć z innych powodów niż wcześniej.

## Przepustka Putina

Po zjednoczeniu Niemiec wielu uważało, że rozliczenia z komunistyczną dyktaturą będą zadaniem na jedno pokolenie. Pomóc miał w tym Urząd Federalnego Pełnomocnika ds. Akt Stasi (BStU), od nazwiska pierwszego kierownika nazywany Urzędem Gaucka. Już 2 stycznia 1992 r. – dużo wcześniej niż Polacy – pierwsi zwykli Niemcy mogli zajrzeć w materiały, jakie na ich temat wytworzyła komunistyczna policja polityczna.

Wczesnym rankiem tego dnia przed ówczesną siedzibą Urzędu ustawiła się długa kolejka. „Każdy chciał być pierwszy. Działy się niewyobrażalne sceny” – zapamiętał Joachim Gauck. Gdy zabrakło formularzy z wnioskiem o wgląd do akt, z ich drukowaniem pospieszyła prasa.

Pytania o tożsamość tajnych współpracowników Stasi zdominowały debatę o NRD w pierwszych latach po zjednoczeniu. Był czas, że niemal w każdym tygodniu prasa podawała kolejne nazwiska. W ten sposób, gdy w Polsce w połowie pierwszej dekady XXI w. Instytut Pamięci Narodowej otworzył archiwa dla dziennikarzy i nasilił się u nas spór o lustrację, Niemcy też dyskusję mieli już w dużej mierze za sobą.

Likwidacja Urzędu Gaucka w czerwcu 2021 r. nie oznaczała jednak ani zamknięcia archiwów, ani zmniejszenia zainteresowania ich zawartością. Do Archiwum Federalnego, które przejęło spuściznę Stasi, tylko w ubiegłym roku wpłynęło ponad tysiąc naukowych lub dziennikarskich wniosków o udostępnienie akt.

Zmieniła się jednak tematyka, która interesuje badaczy i media. Klasyczna lustracja zesłała na dalszy plan, akta Stasi okazują się za to przydatne w innych tematach – od zbrodni III Rzeszy po współczesną politykę międzynarodową, w tym zwłaszcza relacje Berlin–Moskwa. – *Rzeczywiście, tendencja jest taka, że więcej wniosków dotyczy Związku Radzieckiego, KGB i Putina* – przyznaje Elmar Kramer, rzecznik Archiwum Federalnego.

W 1985 r. Władimir Putin, wówczas 33-letni major, rozpoczął służbę

w rezydenturze KGB we wschodnioniemieckim Dreźnie. I kilka lat temu sporą sensację wzbudziło przypadkowe znalezisko archiwalne w dreźniejskiej filii Urzędu Gaucka: przepustka Putina wystawiona przez Stasi. Do końca 1989 r. dokument był regularnie przedłużany. Przyszły prezydent Rosji miał dzięki temu swobodny dostęp do siedziby zarządu okręgowego energetycznej bezpieki.

Dreźniejskie lata Putina gruntownie przeświecił Aleksiej Nawalny, najbardziej dziś znany krytyk i więzień Kremla. Krótco po tym, jak w 2020 r. przeżył próbę otrucia, odwiedził siedzibę Urzędu Gaucka w Dreźnie. W głośnym filmie „Pałac Putina” (2021 r.) widać Nawalnego, jak w masseczce i gumowych rękawiczkach przegłąda stare fotografie i pożółkłe dokumenty.

W sytuacji, gdy Rosja ściśle reglamentuje dostęp do sowieckich archiwów, z pomocą przychodzą materiały wytworzone przez Stasi. Dają wgląd w to, czym w NRD zajmował się kagiebiista Putin. Właśnie z niemieckiego akt wynika teza Nawalnego: przyszły prezydent nie był żadnym wybitnym szpiegiem, ale to w Dreźnie nawiązał znajomości, które procentowały w jego późniejszej karierze.

Na zdjęciu zrobionym przez Stasi w 1987 r., na „balu braterstwa broni” wydanym z okazji rocznicy rewolucji październikowej, obok Putina stoi Siergiej Czerniechow, dziś szef potężnego koncernu zbrojeniowego Rostech. Na innej fotografii z tamtego okresu pojawia się Nikołaj Tokarijew, obecny prezes Transneftu, spółki kontrolującej największą sieć rurociągów ropy naftowej na świecie. W dreźniejskiej rezydenturze KGB biurka Czerniechowa i Tokariewa stały obok siebie, a numery legitymacji Stasi Putina i Tokariewa różniły się tylko ostatnią cyfrą.

## Gazociąg przyjaźni

Wschodnioniemiecka bezpieka była „sługą dwóch panów”: NRD-owskiej partii komunistycznej i sowieckiej KGB – dowodzą autorzy wydanej w ubiegłym roku książki „Der grosse Bruder” (Wielki brat) pod redakcją Douglasa Selvage’a i Georga Herbstritta. Według „Frankfurter Allgemeine Zeitung” ta publikacja ma „nie tylko historyczną wartość”, bo wiele obecnych działań rosyjskich służb opiera się na sowieckich wzorcach.

Duże poruszenie za Odrą wywołało zabójstwo w sierpniu 2019 r. – w berlińskim parku Tiergarten – Zelimchana Changoszwilego, byłego dowódcy czeceńskich powstańców. Dwa lata później niemiecki sąd państwa rosyjskiego.

Niemal w tym samym czasie wyrok dwóch lat więzienia w zawieszeniu usłyszał Jens F. Niemeier miał z własnej inicjatywy przekazać rosyjskiemu wywiadowi plany Bundestagu, które pozyskał jako pracownik firmy zewnętrznej. Jeszcze przed procesem tygodnik „Welt am Sonntag” ujawnił, że w latach 80. Jens F. był tajnym współpracownikiem Stasi.

Jens F. nie odnalazł się w nowej rzeczywistości – sugeruje „Welt am Sonntag”. Niektórzy ludzie dawnych służb przeciwnie – stali się orędownikami zbliżenia niemiecko-rosyjskiego i osobiście na nim skorzystali.

Matthias Warnig, rocznik 1955, to był major Stasi. Zanim został referentem w Ministerstwie Gospodarki NRD, pracował we wschodnioniemieckiej misji handlowej w Düsseldorfie. Była to tylko przykrywa – jako oficer o pseudonimie „Arthur” pozyskiwał wrażliwe informacje o gospodarce RFN. „Wall Street Journal” twierdzi, powołując się na świadków, że już wtedy Warnig znał Putina.

Z czasem stał się „niemieckim oligarchą Putina” – jak niekiedy nazywają go media. Wszedł do rad nadzorczych rosyjskich banków i koncernów energetycznych. Był też dyrektorem zarządzającym w spółkach budujących oba gazociągi Nord Stream. Jego bezpieczniacka przeszłość od lat nie stanowi tajemnicy. Ponownie głośno zrobiło się o niej w ubiegłym roku, gdy Warnig – jako jedyny Niemiec – trafił na listę osób objętych amerykańskimi sankcjami.

Związki ze Stasi miał też Steffen Ebert, do stycznia 2022 r. menedżer ds. komunikacji w Nord Stream 2 AG. Sprawę ujawnił w czerwcu minionego roku dziennik „Bild”. Zwerbowany przez wschodnioniemiecką bezpiekę w 1984 r. Ebert przyjął pseudonim „Stier” (Byk). Ze współpracy wycofał się po trzech latach „z powodów sumienia”. W rozmowie z „Bildem” wyraził żal, że przekazywał Stasi informacje o innych ludziach. Jednocześnie przedstawił się jako ofiara systemu.

Dlaczego Niemcy tak chętnie robili interesy z Nord Stream? – zastanawia się duński dziennikarz Jens Høvsgaard, autor książki „Gier, Gas und Geld” (Chciwość, gaz i pieniądze). Po inwazji Rosji na Ukrainę wielu niemieckich publicystów też otwarcie stawia to pytanie. I sięga do akt Stasi, by lepiej poznać władzę Kremla i jego niemieckich przyjaciół.

W „Pałacu Putina” Nawalny mówi: „System zbudowany na kłamstwie i represjach upadł, ale pozostawił po sobie bardzo ważne dziedzictwo – archiwa”. Papier przetrwał, nawet ten porwany na kawałki. ■

# Maria od kwiatów i motyli

**Sibylla Merian** była prekursorką entomologii, ekologii, biologii rozwoju. A wyniki badań naukowych przedstawiała z talentem artystki. Jej albumy zachwycają do dziś.

PIOTR PANEK



Bohaterowie dzieła Marii Sibylli Merian „Metamorphosis Insectorum Surinamensium” z 1705 r.





wiat, na który 2 kwietnia 1647 r. we Frankfurcie nad Menem przychodziła Maria Sibylla Merian, gwałtownie zmieniał kształt. Do końca zbliżały się dwie wojny: osiemdziesięcioletnia, o niepodległość północnych Niderlandów, które w Polsce nazywamy Holandią, i trzydziestoletnia – o kształt cesarstwa, które w Polsce nazywamy niemieckim. Gwałtownie też zmieniał się stan wiedzy na temat świata. Sibylla miała swój niebagatelny wkład w jej kształtowanie.

## Kwiaty: dobry pretekst

Matthäus, ojciec Marii Sibylli, parał się rytownictwem, zwłaszcza w miedzi. Tym samym zajął się później jego syn o tym samym imieniu. Panowie Merian przeszli do historii z przydomkami Starszy i Młodszy. Starszy miał coś poza umiejętnościami: po teściu Johannie Theodorze de Bry przejął niderlandzkie koneksje oraz oficynę wydawniczą – jedną z ówczesnie najważniejszych. Jej publikacje znajdują się wśród najcenniejszych okazów polskiej Biblioteki Narodowej. Należą do nich prace wielkopolskiego przyrodnika Jana Jonstona. Jest też opracowana przez Matthäusa Starszego kolekcja planów niemieckich miast, do której załapał się nawet Toruń. Merianowie wydawali też serię relacji z zamorskich wypraw, a rodzina miała dostęp do ksiąg prezentujących najnowszą i najbardziej zaawansowaną wiedzę.

Ojciec zmarł, gdy Sibylla miała trzy lata. Matka Johanna wyszła za kolejnego artystę – Jacoba Marrela. Bracia Matthäus Młodszy i Caspar byli już dorośli i kontynuowali dzieło ojca, a ojczym zajął się wychowaniem przybranej córki. W młodości studiował malarstwo w Utrechcie, później wyspecjalizował się w martwej naturze – w tym w obrazach tulipanów. We Frankfurcie otworzył szkołę malarską, w której uczył tego motywu.

Realizm wymagał zbierania modeli i przyglądania się strukturze kwiatów. Maria Sibylla asystowała ojczymowi, a on zauważył u niej zmysł obserwacji i talent. Matka zapewne uważała, że zamiast malować, córka powinna zająć się czymś bardziej wówczas przypisanym kobietom. Motywy kwiatowe jako wzór do wyszywania okazały się niezłym pretekstem.

Młoda Maria Sibylla obserwowała jednak nie tylko kwiaty, ale też związane z nimi owady. W tym okresie do protestanckich części Niemiec przybywali hugenoci, przynosząc z Francji tajniki produkcji jedwabiu, łącznie z hodowlą jedwabników. Jako trzynastolatka poznała cykl rozwojowy tego owada, co okazało się wydarzeniem kształtującym całą jej przyszłą karierę, zdecydowanie odbiegającą od wzorcowej protestanckiej niemieckiej pani domu.

W XVII w. entomologia w zasadzie nie istniała. Z jednej strony wiadano, że jedwabniki rozmnażają się jajorodnie, że mają fazy gąsienicy, poczwarki i imaga. Z drugiej zakładano, że gąsienice, jak wszystkie stworzenia, które uważano za robaki (dziś nazwalibyśmy je bezkręgowcami), legną się z błota i gnijącej materii. Młodej Merian nie podobał się ten dysonans i zaczęła obserwować więcej gąsienic i dorosłych motyli. Obserwować i rysować. A rysunki wypełniać akwarelami.

## Małżeństwo: krótka historia

W tamtych czasach zamążpójście z reguły kończyło samodzielną karierę. Maria Sibylla wyszła jednak za malarza i kontynuowała to, co robiła przy ojczymie. Było to o tyle łatwiejsze, że jej mąż Johann Andreas Graff był uczniem Marrela i długo znał swoją przyszłą żonę. Wiedział dobrze, na co się decyduje. Poza tym najwyraźniej talentu miał mniej niż Sibylla, a to pewnie

ułatwiło decyzję o podejmowaniu przez nią zajęć zarobkowych. Udziałała lekcji malarstwa dziewczętom oraz uczyła haftu i sprzedawała szablony.

W 1670 r. Graffowie, z dwuletnią córką Johanną Heleną, przenieśli się do Norymbergi, rodzinnego miasta Johanna Andreasa. Mieszkał tam też Joachim von Sandrart, malarz, który do historii przeszedł przede wszystkim jako autor „Die Teutsche Academie”, leksykonu niemieckich (łącznie z niderlandzkimi) artystów. W jednym z wydań zawarł notkę o Graffie. A właściwie niezapelnienie o nim – większość treści poświęcił jego żonie.

W kolejnym wydaniu „Akademii” Merian (jako Maria Sibylla Grafina) miała już swoją własną notkę, w której nie została przedstawiona jako żona, córka i pasierbica. Von Sandrart zachwycił się jej kunsztem w przedstawianiu kwiatów oraz gąsienic, much, komarów i innych „robaków”. Zauważył także, że farbowane przez nią tkaniny zachowują identyczny wzór po obu stronach, a także, co wówczas było rzadkością – nie tracą barw po kilku praniach. Merian nie tylko bowiem obserwowała przyrodę, ale też potrafiła ją wykorzystywać: nauczyła się ekstrahować roślinne barwniki o niebywalej trwałości.

Von Sandrart był świadkiem wydania jej pierwszego trzypięciowego albumu – „Blumenbuch” („Księga kwiatów”). Wydawał go jej mąż w latach 1675–80 (bardziej znana jest reedycja „Neues Blumenbuch”). Tablice zawierały – zgodnie z nazwą – miedzioryty kwiatów, ale towarzyszyły im wizerunki wspomnianych owadów oraz pajaków. Samo rysowanie tych motywów nie było czymś wyjątkowym, ale Merian nie tylko rejestrowała to, co zauważyła w naturze. Sama hodowała motyle i notowała ich rozwój i przemiany. Żeby to się udało, musiała dobrać odpowiednie rośliny żywicielskie. Związek jedwabnika z morwą był znany, ale interakcje innych gatunków jeszcze nie. I tak Sibylla – będąc już prekursorką entomologii i biologii rozwoju – dała także podstawy ekologii.

Efektom jej badań była kolejna książka – tym razem już nie album, a publikacja naukowa „Der Raupen wunderbare Verwandlung und sonderbare Blumennahrung” („Cudowna przemiana i niezwykły pokarm roślinny gąsienic”). Oczywiście publikacja była bogato ilustrowana, a Merian połączyła role autorki tekstu, rysowniczkę i malarki. (To ostatnie jest zresztą szczególnie interesujące, bo do XX w. standardem ilustracji przyrodniczej był czarno-biały rysunek). Zgodnie z tytułem ilustracje przedstawiały umieszczone na roślinach żywicielskich motyle w różnych stadiach rozwoju. Oba elementy były równie ważne i przedstawione z taką samą rzetelnością.

W trakcie pracy nad książką o rozwoju i ekologii motyli urodziła drugą córkę, Dorotheę Marię. Tymczasem małżeństwo, które na zewnątrz mogło wydawać się idealne, zaczęło się psuć. Rodzina Graffów wróciła do Frankfurtu. W 1581 r., na wieść o śmierci ojczyma, Merian, postanowiła zaopiekować się matką. I zamiast przyjąć ją do własnego domu, wprowadziła się z córkami do niej.

## Gabinety osobliwości: nowe otwarcie

W Europie ludzie po przejściach nieraz trafiali do klasztoru. Protestanci pozbowali się tej możliwości, ale lukę tę szybko zapełniły różnego typu komuny. W Niderlandach były to m.in. kolonie labadystów. Kiedy Graffowie mieszkali jeszcze w Norymberdze, główną siedzibą tej denominacji (grupy, która oddzieliła się od macierzystej organizacji religijnej) stał się zamek Walta we Fryzji. Wspólnotę prowadziła Anna Maria van Schurman. Była ona malarką, rytowniczką, poetką i poliglotką. Jako pierwszej kobiecie w Holandii pozwolono jej na edukację akademicką, choć wykładów musiała słuchać zza zasłony. Wśród licznych ►

► dyscyplin, które studiowała, znalazła się teologia, co później poskutkowało jej konfliktem z Holenderskim Kościołem Reformowanym i zbliżeniem z Jeanem de Labadie. Nowy ruch religijny założyli razem, ale to od jego nazwiska przyjął on nazwę.

Von Schurman wspierała dążenia kobiet do równouprawnienia, więc musiała słyszeć o Marii Sibylli Merian. Zapewne było też odwrotnie. Pewnie niewiele brakowało, by się spotkały, bo w 1677 r. do zamku Walta wprowadził się owdowiały Caspar Merian. Niestety, rok później von Schurman zmarła. Ostatecznie wraz z matką i córkami Sibylla poszła w 1685 r. w ślady brata. Johann Andreas Graff również przybywał kilka razy do Walty, ale nie zdecydował się na konwersję, co przesądziło o losach małżeństwa. Rozwód z powodu różnic wyznaniowych przypieczętowano dopiero w 1692 r., ale Graff przez kilka poprzednich lat mieszkał już samotnie w Norymberdze.

Zamek Walta należał do sióstr Cornelisa van Aerssena, gubernatora Surinamu. Aerssen pozostał kalwinistą, ale sympatyzował z labadystami, zachęcając ich do osiedlania się w Gujanie. Złoty wiek Niderlandów nie dotyczył tylko sztuki. W tym czasie Holandia wyrastała na potęgę morską i kolonialną. Krach tulipomanii już odszedł w niepamięć. Rosły nowe fortuny, przez labadystów postrzegane raczej niezbyt pozytywnie, ale towarzyszyła im moda na gabinety osobliwości sprowadzanych z Indii Wschodnich i Zachodnich. Ze względu na protekcję Aerssena labadyści mieli więcej do czynienia z tymi drugimi. Gabinety osobliwości gromadziły wszystko, co egzotyczne – wytwory sztuki, ale przede wszystkim obiekty przyrody ożywionej i nieożywionej. Były zapowiedzią muzeów kolonialnych. Przebywając w komunie, Merian miała mało okazji do malowania, choć pretekst przedstawiania doskonałości Bożego stworzenia pozwalał jej na tę czynność. Może zresztą to wcale nie był tylko pretekst – właśnie rodziła się nowa, protestancka odsłona teologii naturalnej, której ukoronowaniem była metafora Boga jako zegarmistrza, a roślin i zwierząt jako wspnianych maszyn.

### Surinam: ziemia obiecana

Caspar zmarł w 1686 r., matka przeżyła go o cztery lata. Oboje doczekali końca swoich dni we wspólnocie labadystów, ale Maria Sibylla miała inne plany, zwłaszcza wobec swoich córek. Przeniosła się do Amsterdamu. W 1692 r., rok po opuszczeniu komuny, Johanna Helena wyszła za mąż za handlarza produktami kolonialnymi, również związanego z labadystami. A Maria Sibylla znowu uczyła malarstwa i sprzedawała prace – własne i córki.

Johanna Helena, wówczas już Herolt-Graff, zaprzyjaźniła się z grupą młodych amsterdamskich malarzy. Była w niej specjalizująca się w tworzeniu kompozycji kwiatowych Rachel Ruysch, która później została uznana za najwybitniejszą holenderską malarzkę Złotego Wieku. Przy okazji była córką słynnego anatoma. Maria Sibylla miała wpływ na rozwój stylu tego koła artystycznego. Jedną z najważniejszych jego klientek była Agneta Block, dziedziczka mennonickiego handlarza tekstyliami, prowadząca jeden z największych prywatnych ogrodów, co wiązało się ze sprowadzaniem egzotycznych roślin. Jej gabinet osobliwości też przewyższał inne – może z wyjątkiem Ruyscha i burmistrza Amsterdamu Nicolaasa Witsena, które również zafascynowały Merian.

Pieniądze i znajomości były potrzebne Merian do realizacji najbardziej niezwykłego przedsięwzięcia swojego życia. Uznała, że nie ma sensu polegać na przypadkowych osobliwościach zebranych przez handlarzy pieprzem i cukrem. W 1699 r. mając do dyspozycji spore oszczędności oraz grant miasta Amsterdam, wyruszyła z młodszą córką do Surinamu, gdzie mogła liczyć na przyjęcie przez labadystów. Opuściła nie tylko strefę niemieckojęzyczną (do której wtedy jeszcze można było zaliczyć Holandię), lecz także cywilizację – zapuściła się w dzicz równinowej puszczy.

### Owady: pomoc dla Linneusza

Razem z Dorotheą podróżowały i utrzymywały w grafikach gujańskie owady, pająki, płazy czy gady. Oczywiście razem z roślinami, ale też w czasie polowania. Wśród bardziej znanych jest obraz kajmana, który złapał węża (cylindrowca koralowego). Prawdopodobnie też jako pierwsze Europejki odwzorowały pająka ptasznika z ofiarą oraz samca wodnego pluskwiaka z rodziny *Belostomatidae* noszącego na grzbiecie jaja (z upolowaną kijanką).

Wyprawa była zaplanowana na pięć lat, ale przerwała ją choroba Merian. Na podstawie opisów można rekonstruować rodzaj „febry”, ale będzie to tylko spekulacja. Dość, że obie panie Graff (choć jako rozwódka Maria Sibylla ponownie używała nazwiska panińskiego) wróciły do Holandii już po około dwóch latach. Do kraju zabrały nie tylko obrazy czy konserwowane winiakiem owady, ale także gady i ich jaja czy kolibry. W czasie rejsu osłabiona chorobą Merian nie mogła dopilnować zbiorów i niektóre zestawy gąsienic, poczwerek i imag się pomieszały. Mimo to na podstawie zebranego materiału w 1705 r. udało się jej wydać opus magnum: „*Metamorphosis Insectorum Surinamensium*” („Przemiany surinamskich owadów”). Było to pierwsze oprowanie przyrody Surinamu, z którego obficie korzystali kolejni przyrodnicy, w tym Linneusz.

### Córki: ten sam talent

Mimo nadzwyczajnego wkładu w entomologię i biologię rozwoju, dla współczesnych Maria Sibylla była przede wszystkim artystką. Jej prace, choć już pośmiertnie, kupili m.in. Jerzy III i Piotr I Wielki. Córki, znając wartość jej marki, pod jej atrybucją sprzedawały również część swoich prac. Dorothea zresztą używała matczynego nazwiska. Do dziś historycy sztuki doszukują się cech charakterystycznych dla każdej z tej trójki w pracach opisanych jako stworzone przez Marię Sibyllę.

Po powrocie do Amsterdamu Dorothea wyszła za mąż, ale nie przerwała współpracy z matką. Kilka lat później do Surinamu pojechała Johanna z mężem – słała matce i siostrze kolejne okazy zwierząt. Maria Sibylla publikowała z Dorotheą liczne reedycje książek z obrazami, do czasu, kiedy w 1715 r. dostała udaru. Zmarła po dwóch latach.

Młodsza córka nadal wydawała prace matki, po czym skorzystała z chwilowej fascynacji rosyjskiego cara Zachodem i wyjechała z mężem, jako nadwornym malarzem Piotra I, do Petersburga. Tam została profesorką jego akademii i kuratorką jego muzeum. Wraz z nią zakończyła się dynastia Merianów – malarzy i przyrodników.

PIOTR PANEK



Maria Sibylla Merian (1647–1717).





Dania jest rajem dla rowerzystów. Na fot. Kopenhaga.

# Autom stop

Bardzo trudno jest zmienić miasto, gdy sposób myślenia pochodzi z poprzedniego stulecia – mówi wybitny duński urbanista Jan Gehl.

**MARCIN SKRZYPEK: – Był pan już w Polsce wiele razy z wykładami, wszystkie pana książki zostały przetłumaczone na polski. Ale jak na razie pana idea „miast dla ludzi” jest u nas głównie teorią. Dlaczego wam się udaje, a nam nie?**

JAN GEHL: – Nasza historia była taka, że w połowie lat 60. założyliśmy w Kopenhadze Szkołę Architektury, aby studiować miejskie zachowania ludzi. To było naprawdę pionierskie przedsięwzięcie, które z czasem wsparła fundacja Realdania.

Dokumentowaliśmy, jak miasto jest użytkowane, ile osób spaceruje w poszczególnych miejscach, gdzie ludzie siadają, a gdzie ich nie ma i dlaczego. Odkryliśmy coś, co dziś już bardzo dobrze wiemy: jeśli zapraszasz do miasta ruch samochodowy – tworzysz więcej dróg

i pasów ruchu dla aut – dostajesz więcej ruchu samochodowego. Proste.

To prawo dotyczy także poruszających się ludzi. Jeśli zaprosimy ich do korzystania z miasta, więcej osób i częściej zacznie chodzić piechotą i jeździć rowerami. Pojawia się więcej życia w przestrzeni publicznej. Ta sama prosta zależność. Dlatego urbaniści i politycy z ratunku już po kilku latach naszej pracy zaczęli ją w konstruktywny sposób wykorzystywać. Potrzebowali też argumentów, aby wytłumaczyć ludziom, dlaczego podjęli określone kroki, np. zlikwidowali część parkingów. W końcu zaczęli nam płacić za dalsze badania miasta.

**I nigdy tego nie żałowali?**

Kopenhaga miała być najlepszym miastem dla pieszych i rowerzystów na świecie. Te dwie strategie – rowerowa i piesza – obowiązują już od kilkunastu lat i okazały się bardzo przydatnymi instrumentami dobrego planowania i projektowania miasta.

**Czyli to nie Jan Gehl odmienił Kopenhagę, tylko władze?**

Delegacje z innych krajów, które odwiedzają Kopenhagę, często chcą zobaczyć, co konkretnie Jan Gehl zrobił w mieście. Nasz poprzedni architekt miejski odpowiadał, że tego, co zrobiłem, nie można zobaczyć – jest to w umysłach i sercach ludzi, poczynając od burmistrza, po mieszkańców. W ciągu 50 lat udało nam się zmienić ich sposób myślenia.

Trzeba przyznać, że politycy zareagowali dość szybko, bo Dania jest mała, więc tutaj, w parlamencie, wszyscy dobrze wiedzieli, czym się zajmujemy w naszej szkole. I wyniki naszej pracy zaczęły stopniowo wpływać na ich decyzje. Ale mieliśmy też dobre relacje między nimi a uniwersytetami. Dla polityków ważne było to, że mogli

oprzeć zmiany na badaniach i wiedzy, żeby podejmowane przez nich działania nie były szukaniem po omacku.

Wcześniej politycy myśleli, że uszczęśliwią wyborców np. większą liczbą samochodów. Ale jeszcze wtedy nie wiedzieli, jak fajnie jest mieć w porcie statki wycieczkowe, turystów, konferencje i ludzi, którzy przyjeżdżają tu mieszkać. Nie wiedzieli, że wizerunek miasta bardzo przyjaznego ludziom to czyste złoto, podczas gdy korzyści z posiadania większej liczby samochodów są bardzo krótkotrwałe.

Bardzo trudno jest zmienić miasto, gdy sposób myślenia pochodzi z poprzedniego stulecia.

**Badając życie ludzi w mieście, obserwujemy z zewnątrz ich zachowania.**

**Możemy też pytać ich o opinie. Jednak oni nie zawsze wiedzą, czego chcą.**

Ludzie zawsze będą mówić o sprawach, które już znają, więc najczęściej mówią „chcemy więcej drzew”, bo znają drzewa. Dlatego potrzebują również informacji na temat innych, nieznanych sobie, ale możliwych opcji, jak może wyglądać ich miasto, dzielnica czy ulica.

Dlatego w książkach i na wykładach opowiadam ludziom o tym, co się robi w różnych miastach. Bo wtedy wiesz, z czego wybierać. Czy chcesz czegoś, co mają w innym mieście, ale razem np. z rakiem płuc i problemami z tyciem, czy wolisz inną politykę? Z moich doświadczeń wynika, że generalnie, jeśli pokazuję komuś filozofię tworzenia miasta przyjaznego ludziom, to prawie każdy uważa to za dobry pomysł dla siebie i swoich dzieci.

**A co, jeśli w krajach takich jak Polska ludzie chcą dla siebie i swoich dzieci miast bardziej przyjaznych kierowcom?**

Za 20 lat to myślenie również w Polsce będzie przeżytkiem. Problem w tym, ►

► że właśnie dziś tworzymy miasta, których będziemy chcieli za te dwie dekady. W społeczeństwie rośnie niepokój o klimat i przyszłe skutki jego zmian. Wypłynął on na pierwszy plan w debacie publicznej i jest obecnie ważnym tematem w polityce.

Trzy lata temu wszystkie partie polityczne w Danii mówiły, że po 2030 r. nie powinno się sprzedawać samochodów na paliwa kopalne. Dziś mamy na ten temat już oficjalne europejskie rozporządzenie, które zaczyna obowiązywać od 2035 r.

**Nie wszyscy wyborcy, a za nimi politycy, wierzą w zmiany klimatyczne. Z jakich innych powodów nie opłaca się wspierać rozwoju ruchu samochodowego?**

Na przykład ekonomicznych. Na całym świecie mamy naprawdę wiele badań dowodzących, że to, co korzystne dla pieszych i rowerzystów jest również dobre dla gospodarki. Mówi się, że przestrzeń publiczna to dobry biznes. Gdyby było inaczej, nigdzie nie byłoby chodników ani ścieżek rowerowych, ponieważ w społeczeństwie rynkowym znika to, co jest nieopłacalne. Wiemy jednak, że przy większej ilości czasu wolnego, rozwoju turystyki i lepszej sytuacji ekonomicznej ludzi jakoś miast staje się coraz ważniejsza dla gospodarki. Jeśli tego nie widać z waszej perspektywy, korzystajcie z doświadczeń miast, które swoją miłą przygodę z motoryzacją mają już za sobą.

Z pewnością transport samochodowy będzie czystszy i nowocześniejszy. Ale pamiętajmy, że samo auto to przestarzały wynalazek. Był pomysłem na mobilność rodem z Dzikiego Zachodu: kup sobie tonę stali na czterech kołach, a będziesz wolny. Na terenach wiejskich takie podejście się sprawdza, ale im większe miasto, tym bardziej jest bez sensu.

**Możemy usunąć samochody z miasta? Dla wielu osób są one bardziej przydatne niż rowery.**

Oczywiście, np. gdy pada deszcz, przyjemniej jest jechać samochodem niż rowerem. Ale problem polega na tym, że siedzisz w samochodzie, nawet jeśli jest ładna pogoda. Kwestia nawyków. A z czasem już do wszystkiego potrzebujesz samochodu. Dlatego miasto powinno pozwalać na różnicowanie środków transportu.

Teraz samochody stoją nieruchomo przez 95 proc. swojego życia. Szukamy sposobów na efektywniejsze ich wykorzystanie: car-sharing czy car-pooling. Może wystarczyłoby, powiedzmy, 20 samochodów współużytkowanych przez sto rodzin? Powinniśmy też mieć znacznie lepszy transport publiczny i częściej z niego korzystać. W krajach rozwiniętych wszystko

to jest teraz bardzo intensywnie dyskutowane. Panuje ogólne wrażenie, że stary, dobry samochód hamuje rozwój i postęp.

**Trudno będzie zgodzić się z tym komuś, kto np. pojedzie do pracy rowerem i zmoknie albo będzie musiał pokonać wzniesienia.**

Myślę, że rowery elektryczne wiele pod tym względem zmieniły, a są dobre dla klimatu, jeśli dostają prąd produkowany we właściwym miejscu. Myślę jednak, że nie jest to rozwiązanie uniwersalne. Uniwersalny jest fakt, że gatunek *Homo sapiens* używa własnych mięśni. I może to zrobić w ten czy inny sposób.

Co do pogody, okazuje się, że w skali roku jest znacznie lepiej, niż na ogół się nam wydaje. W Kopenhadze mamy tylko 12 naprawdę deszczowych dni w roku. Nie jest to zbyt przyjemne, ale reszta dni nie jest taka zła. W Irlandii, o której mówi się, że tam deszcz pada cały czas, też mają tylko 12 dni w roku, kiedy faktycznie leje od rana do wieczora. W północnej Kanadzie powiedzieli mi, że jest tam za zimno na rowery. Ale potem okazało się, że mają lepsze warunki niż my w Kopenhadze: 40 bardzo złych dni, ale za to 320 doskonałych, kiedy mogą jeździć rowerem.

**Jak mediować między pieszymi, rowerzystami i kierowcami – grupami użytkowników miasta o sprzecznych interesach?**

Ja nie mediuję. Cała moja praca polegała na pokazywaniu, jaką jakość życia można uzyskać, jeśli mądrzej prowadzić się politykę transportową. Nasze społeczeństwo się zmienia. Mamy coraz więcej osób, które po prostu nie mogą korzystać z samochodów lub muszą częściej chodzić lub jeździć na rowerze, aby wykonywać aktywność fizyczną w ramach codziennej rutyny. Miasto powinno zaspokajać ich potrzeby.

Wiem, łatwo mi to mówić z perspektywy Kopenhagi, bo robimy to tutaj od ponad pół wieku i wszyscy rozumieją, o czym mówimy. Może więc innych przekona taki argument, że jeśli teraz ktoś spróbowałby odebrać mieszkańcom duńskich miast rozwiązania sprawiające, że dobrze się w nich mieszka, które wypracowaliśmy przez ten czas, w Danii wybuchłoby powstanie.

**Jeśli ludzie muszą ćwiczyć, mogą to robić w domu lub w klubach fitness.**

Dla zdrowia ważne są małe porcje ruchu przez całe życie. Zazwyczaj jednak nie



© ASHLEY BRISTOWE

**Jan Gehl**

jest architektem i urbanistą. Jego teorie wpłynęły na dzisiejszy, przyjazny pieszym, kształt Kopenhagi. Przywracając też ludzką skalę przestrzeniom w ponad 250 miastach 50 krajów świata.

mamy czasu, energii, pieniędzy ani motywacji, aby brać udział w zajęciach fitness czy np. regularnie biegać. A w miastach ludzie żyją dłużej, jeśli po prostu więcej chodzą. Na przedmieściach żyją krócej, bo więcej siedzą i jeżdżą. Jest to dobrze udokumentowane badaniami. Dlatego Światowa Organizacja Zdrowia zaleca, aby tworzyć w miastach warunki do tego, abyśmy mogli wykorzystywać ruch fizyczny w codziennych podróżach. I to się stało w Kopenhadze.

Przez wiele lat polityką przestrzenną zajmowali się mężczyźni w wieku 25–65 lat, którzy patrzyli na nią przez pryzmat własnych potrzeb. Ale oni są w populacji mniejszością. Jest dużo więcej grup o innych potrzebach. Zawsze powtarzam,

że dobre miasto można poznać po tym, że na ulicach jest dużo dzieci i seniorów. Myślę poza tym, że im jest większy wpływ kobiet na politykę, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie ona humanistyczna.

**W starzejącym się społeczeństwie polityka miejska powinna wspierać zarówno osoby starsze, jak i młode rodziny. Od czego powinniśmy zacząć?**

Trzeba zadbać o wszystkie podstawowe sprawy, np. o dobre chodniki – bez dziur i utrzymywane w czystości, także zimą. W Danii można zauważyć coś, co nazywamy chodnikami ciągłymi. Przecinają one boczne uliczki. Są bardzo ważne dla bezpieczeństwa dzieci i wygody osób poruszających się na wózkach inwalidzkich lub z chodzikami, które nazywamy „pieszymi na kółkach”. To są podstawowe kwestie, które czynią życie lepszym, bardziej samodzielnym, przed uzyskaniem prawa jazdy i po jego odebraniu.

Na marginesie: moja żona straciła zdolność prowadzenia samochodu, ale pozostaje bardzo mobilna na rowerze. Nie ma auta, ale też nie ma problemu. W naszym kraju zresztą 37 proc. gospodarstw domowych nie posiada samochodu: studenci, osoby starsze i z niepełnosprawnościami oraz ludzie, którzy nie lubią tych pojazdów, nie potrzebują ich lub nie chcą za nie płacić. Najwyższy odsetek takich gospodarstw jest w Kopenhadze, gdzie mamy dobry transport publiczny, a mniejszy na terenach wiejskich.

Jednak dobra nawierzchnia chodnika i drogi rowerowej to nie wszystko. Mam 87 lat i mi też lekarz zaleca robić te 10 tys. kroków, żeby być w dobrej kondycji.



To oznacza, że muszę mieć miasto, w którym spacerowanie jest nie tylko możliwe i bezpieczne, ale również interesujące. I to dotyczy wszystkich starszych osób. Żebyapełniały chodniki, muszą mieć gdzie chodzić.

**W Polsce niedawno upolityczniono aktywność fizyczną. Na przykład rowerzystom przypięto łatkę lewaków.**

Naprawdę musimy pokazać ludziom, którzy to robią, że w trzeciej dekadzie XXI w. są lepsze sposoby kształtowania osiedli ludzkich niż według amerykańskiego modelu sprzed 100 lat. On ma zwolenników we wszystkich byłych krajach socjalistycznych, które dość późno zakochały się w samochodach, czemu sprzyjało przyzwolenie na całkowitą swobodę parkowania gdziekolwiek.

**Ludzie u nas mają też tendencję do ogradzania się i separowania od innych. W Kopenhadze rzadko można zobaczyć barierki między pieszymi a samochodami.**

W Wielkiej Brytanii niektóre miasta zniosły wszystkie bariery i zaskoczeniem odkryły, że spadła również liczba wypadków. Bo ludzie zaczęli myśleć samodzielnie. Kiedy kierowcy samochodów widzą ogrodzenia, przyspieszają.

**A ogrodzenia na zamkniętych osiedlach?**

W Danii tego nie mamy. I myślę, że byłoby to politycznie bardzo niepopularne, bo my naprawdę wierzymy, że jeśli ludzie spotykają się częściej na przyjaznych ulicach, twarzą w twarz, nawet jeśli są biedni i bogaci, czy różnią się w jakikolwiek inny sposób, to jesteśmy bezpieczni i nie potrzebujemy wielu dodatkowych działań

ochronnych. Większości z nas wystarczą drzwi wejściowe z zamkiem. Polityka przestrzenna w Kopenhadze mówi: wyjdź na zewnątrz, bo to jest dobre dla zdrowia, dla klimatu, dla gospodarki. Miasto jest wtedy bezpieczniejsze, sprzyja integracji społecznej i demokracji.

Działa to również w drugą stronę: im więcej masz ścian wokół, tym bardziej otoczenie wydaje się nam niebezpieczne. Kiedy ludzie widzą, że wszyscy mają ogrodzenia, zaczynają czuć się w społeczeństwie niepewnie i sami chcą się ogradzać.

Właśnie realizuję nowy projekt miejski z inwestorem, który jest humanistą i chce stworzyć dzielnicę mieszkaniową przyjazną dla ludzi. Nie zależy mu na maksymalnym zysku. W tym naszym projekcie bardzo starannie planujemy aranżację przestrzeni publicznej, by przebywanie na zewnątrz było tak samo przyjemne jak wewnątrz. Możesz np. usiąść przed drzwiami wejściowymi, napić się kawy i przywitać się z sąsiadami, gdy przechodzą obok. Ogrodzenia to bardzo prymitywne rozwiązanie, ale dobrze służą jednemu celowi. Uszczęśliwiają ludzi, którzy je sprzedają.

Jest tyle prostych rzeczy, które możemy zrobić, żeby człowiekowi w mieście było lepiej. Przeoczyliśmy je albo zapomnieliśmy o nich przez wiele lat modernizmu i motoryzacji. Najpierw je zastosujemy. A później być może tu i tam pomoże nam technologia, taka jak inteligentne samochody, urządzenia elektroniczne i wszelkie inne gadżety, które na co dzień dają nam wrażenie postępu, ale powodują, że porzucamy rozwiązania tanie i od wieków sprawdzone.

**Nie ma już w Kopenhadze problemów?**

Mamy i to poważny problem gentryfikacji. Kiedy Kopenhaga stała się coraz ładniejsza, ludzie, którzy kiedyś wyprowadzili się z niej na przedmieścia, zaczęli do niej wracać. Nie potrzebowali wiele: jedynie większych mieszkań, placów zabaw itp. Ale w gospodarce rynkowej, kiedy wielu czegoś chce, ceny idą w górę. Zwykłych ludzi przestało być stać na nowe mieszkania.

Mamy przepis mówiący, że 25 proc. nowych domów powinno być przystępnych cenowo, ale trudno jest utrzymać ich niską cenę, gdy ziemia jest bardzo droga. Myślę, że jest na to jedna rada: powinniśmy sprawić, żeby wszędzie żyło się tak dobrze i ładnie jak w Kopenhadze. Inaczej zawsze będą nierówności. A także powinniśmy poprosić polityków, aby stworzyli naprawdę twarde prawa regulujące zyski z budynków. Na przykład w Wiedniu samorząd jest właścicielem większości mieszkań i może decydować o wysokości czynszu. Istnieje wiele innych tego typu rozwiązań, które są lub były już kiedyś stosowane.

W ciągu ostatnich 50 lat rozwoju miast podjęliśmy wiele głupich decyzji. To nas powinno motywować i zobowiązywać do jak najszybszego naprawienia błędów.

ROZMAWIAŁ MARCIN SKRZYPEK

Autor prowadzi Forum Kultury Przestrzeni w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Był organizatorem Roku Jana Gehla 2014 w Lublinie – kampanii popularyzującej idee „miasta dla ludzi” i „projektowania zorientowanego na człowieka”.

REKLAMA

**PRZEZ 22 LATA WSPARLIŚMY 362 NAUKOWCÓW KWOTĄ PONAD 6 MLN 875 TYS. ZŁ.**

**23**  
**NAGRODY NAUKOWE**  
**POLITYKI**

**JESTEŚ MŁODYM AMBITNYM NAUKOWCEM?**  
**PROWADZISZ NIEBANALNE, WAŻNE SPOŁECZNIE PROJEKTY BADAWCZE?**

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: [polityka.pl/stypendia](http://polityka.pl/stypendia)

**Czekamy do 14 czerwca!**

Partnerzy  
Nagród Naukowych  
POLITYKI 2023

**za'ks**  
sprzyjamy wyobraźni

Dr Irena Eris



FUNDACJA ONKOLOGII  
DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ  
onkologia-fundacja.org

Patron  
medialny



Ślina dostarcza wielu informacji o stanie zdrowia człowieka. I łatwo ją pobrać. A upowszechnienie ślinowych testów przyniosłoby przełom w wykrywaniu wielu chorób.



## Czytanie z ust

PAWEŁ WALEWSKI

**N**owotwory jamy ustnej nie należą do najczęstszych – w Polsce zapada na nie rocznie nieco ponad 3 tys. osób – ale ze względu na swoje umiejscowienie na wargach, języku czy śliniankach poważnie obniżają jakość życia. Wyczuwalna grudka lub owrzodzenie (nieustępujące w ciągu 3 tygodni) nie zawsze jednak zaniepokoją pacjenta na tyle, że będzie starał się wyjaśnić źródło ich pochodzenia. A przecież wcześniej wykrytą zmianę można radykalnie usunąć i całkowicie chorego wyleczyć. Przydałby się więc szybki test, który dawałby odpowiedź na pytanie, czy w ustach nie rozwija się rak.

Na takie zapotrzebowanie odpowiedzili w grudniu naukowcy z Tajwanu. Skonstruowali przełomowy ręczny bioczuJNIK umożliwiający wykrywanie specyficznych dla zmian nowotworowych białek w ślinie. Badanie nie jest skomplikowane, bo wystarczy splunąć na pasek czujnika

podobny do testującego poziom glukozy i umieścić go w aparacie przypominającym glukometr. Wynik pojawia się w ciągu kilkunastu minut.

### Przyjazna

Ślina ma raczej negatywne konotacje – płucie jest niegrzeczne, ale też niezdrowe. Wirusów przenoszonych przez ten płyn ustrojowy są setki (nie tylko wywołujących przeziębienia, lecz również m.in. opryszczkę, świnkę czy mononukleozę). Choć ślina zawiera specjalne białko, tzw. lizozym, które niszczy bakterie, rozkładając ich ścianę komórkową, uważa się ją za płyn niehigieniczny. Dlatego ponad sto lat temu podczas epidemii grypy w Europie i Ameryce Północnej wprowadzono zakaz korzystania z modnych wówczas spluwaczek (tylko policja nowojorska umieściła w aresztach ponad 500 osób, które nie chciały się mu podporządkować w miejscach publicznych). I stąd zalecenie utrzymywania dystansu oraz zakładania masek na usta i nos w trakcie pandemii SARS-CoV-2.

Ślina ma jednak też wiele zalet. Służy do zwilżania pokarmu, by łatwiej go było przełykać, a zawarte w niej enzymy już w ustach zaczynają go trawić. Wpływa na percepcję smaku oraz neutralizuje cukry i kwasy niszczące szkliwo zębów. To, że jej znaczenie w diagnostyce rozmaitych chorób pojawia się dopiero na końcu listy, wynika wyłącznie ze względów historycznych. Nauka dość powoli odkrywa ten potencjał. Tymczasem prof. David Wong z UCLA School of Dentistry w Los Angeles twierdzi, że skoro oczy są zwierciadłem duszy, to plwocina daje odbicie całego ciała.

Nieco innego zdania jest dr hab. Olga Ciepiela, która kieruje Zakładem Medycyny Laboratoryjnej w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym: – *To nie święty Graal. Nie wierzę, by mogła kiedykolwiek z badań diagnostycznych wyprzeć krew. Nie dlatego, że na przeszkodzie stoją względy technologiczne, lecz po prostu natura. Ten płyn ustrojowy nie odzwierciedla dokładnie wszystkiego, co się dzieje w organizmie.*



Porównanie prof. Wonga wydaje się przesadne, ale to dentysta. A medycy tej specjalności rzeczywiście mogą z badania śliny wyciągnąć najwięcej wniosków przydatnych w ich pracy. Posiewy dają odpowiedź, jakie bakterie obecne w jamie ustnej wywołują choroby przyzębia, skład śliny warunkuje tempo odkładania osadu nazębnego, który sprzyja próchnicy.

Wong należy zresztą do naukowców, którzy przyglądają się ślinie szerzej. Analizują fakturę, lepkość, kolor, zapach i zawartość poszczególnych składników, bo dążą do opracowania testów przydatnych w diagnozowaniu chorób zupełnie z jamą ustną niezwiązanych. W niektórych dziedzinach medycyny już się ich używa. W innych zaś nie jest to z różnych względów możliwe.

## Wygodna

Dr hab. Ewelina Dziurkowska z Katedry Chemii Analitycznej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego wykorzystuje ślinę do badań stężenia kortyzolu, czyli hormonu wydzielanego przez nadnercza, oraz działania leków psychotropowych. – *Przy ocenie tych parametrów sprawdza się doskonale. W obu przypadkach mam do czynienia z grupą chorych na depresję i zaburzenia psychiczne. Trudno byłoby ich nakłonić do codziennego klucia żył* – przyznaje.

Pacjentki hospitalizowane z powodu depresji w jednym z pomorskich szpitali codziennie (nieraz przez 3 miesiące) pluły rano do probówek, które następnie przewożono do laboratorium. Tu poddawano je analizie chromatograficznej (określającej skład chemiczny) i mierzono poziom kortyzolu – okazało się, że przy nawracającej depresji jest on podwyższony. – *Udało mi się również wykazać, że w ten wygodny sposób można monitorować skuteczność terapii, bo kiedy chore regularnie przyjmowały leki, poziom kortyzolu spadał* – informuje dr Dziurkowska.

Właśnie niesystematyczne przyjmowanie leków lub przerywanie kuracji są głównymi bolączkami w psychiatrii. Dlatego również jej drugi projekt badawczy, dotyczący wykrywania w ślinie leków psychotropowych, może okazać się bardzo użyteczny, gdyż da lekarzom wgląd w przestrzeganie ich terapeutycznych założeń. Wynik badania śliny dostarczy im informacji czy chory nie przerwał poza szpitalem leczenia lub nie przyjmuje leków ponad miarę.

– *Niektóre choroby wymagają bardzo dokładnego odmierzenia dawek, na przykład padaczka u dzieci* – wskazuje dr Dziurkowska. – *I w tym wypadku trwają*

*już na świecie badania dotyczące ustalenia korelacji między śliną a krwią na zawartość metabolitów leków przeciwpadaczkowych. Byłaby to wielka dla nich ulga, gdyby zamiast klucia wystarczyło napluć do probówki.*

Wydaje się, że dziś najtrudniejszym zadaniem jest, by normy parametrów ustalone od dawna dla surowicy określić również dla śliny. Bo wiadomo, że nie wszystkie są takie same. – *I w tym problem. Dla kortyzolu, który oznaczamy w ślinie na tym samym analizatorze i z zastosowaniem tych samych odczynników co z krwi, wystarczy mieć aplikację, która komputerowo przeliczy wartości referencyjne* – mówi dr Ciepiela. – *Ale dla większości parametrów takich aplikacji jeszcze nie ma.*

Dlatego chcąc sprawdzić jednocześnie kilka wskaźników stanu zdrowia pacjenta, wciąż wygodniej pobrać krew i wykonać badania laboratoryjne z jednej próbki, niż posiłkować się śliną. – *Nie zbadamy poziomu glukozy, bo w ślinie jest amylaza, która ją szybko rozkłada* – wyjaśnia dr Ciepiela. Osoby chore na cukrzycę mogą więc raz na zawsze zapomnieć o tym, że częste klucie palca zastąpią kiedykolwiek pluciem.

Ale już pacjenci z bólem w klatce piersiowej, u których na szpitalnych oddziałach ratunkowych sprawdza się poziom głównych markerów zawału serca, nie będą musieli być kluci. Zarówno troponiny, jak i tzw. białko ostrej fazy przechodzą bowiem na drodze dyfuzji również do śliny. Diagnostyka przewlekłych chorób nerek u dzieci też jest już możliwa na podstawie jej analizy – co udowodnił zespół prof. Anny Zalewskiej z Zakładu Stomatologii Zachowawczej w Białymostku. I nadaje się ona do monitorowania postępu choroby oraz skuteczności leczenia. Jest to także możliwe u pacjentów dializowanych. Ponieważ wartość mierzonych za pośrednictwem śliny parametrów funkcji nerek spada po dializie, ich oznaczenie pozwalałoby kontrolować wydajność tych zabiegów. – *Ale już ze wskaźnikami pracy wątroby powtórzyć się tego nie da* – zaznacza dr Olga Ciepiela, mając na myśli aminotransferazy AspAT i AlAT. Komórki jamy ustnej same je produkują, więc takie badanie byłoby niewiarygodne.

## Z potencjałem

Najwięksi nawet entuzjaści zwracają uwagę na to, że użyteczność śliny ogranicza mnóstwo innych czynników. Po pierwsze, mogą w niej być resztki pokarmowe i bakterie. – *Dlatego przed testem pacjent przez godzinę nie powinien nic jeść, pić ani palić papierosów* – wylicza dr Ewelina

Dziurkowska. Poza tym zawiera płyn dziąsłowy, złuszczone komórki nabłonkowe czy leukocyty, a wzajemne proporcje jej składników zależą od konkretnej ślinianki, która ją produkuje.

W diagnostyce i badaniach naukowych stosuje się często tzw. saliwetki – waciki, które po włożeniu do ust nasiąkają śliną (w laboratorium zostają odwirowane). Miejsce ich przyłożenia w okolicy jednej ślinianki może istotnie wpływać na wyniki. Przy wyborze ręki, z której pobiera się krew, nie ma takiego problemu. Jeśli pacjent umyje zęby pastą miętową, która pobudzi wydzielanie śliny (tak samo działają kryształki kwasu cytrynowego położone na język), będzie bardziej rozcieńczona, co wpłynie na stężenie elektrolitów lub enzymów oraz tych składników, których w niej szukamy.

Dr Ciepiela uważa jednak ślinę za materiał dość komfortowy, gdyż jej zdaniem nie trzeba po pobraniu martwić się o to, by badanie było wykonane jak najszybciej: – *Surowica jest dużo mniej stabilna. A plwocinę przez tydzień można przechowywać w lodówce i nie wyrządzi to jej żadnej szkody*. Dr Dziurkowska patrzy na ślinę bardziej oczami farmaceutki i chemiczki niż diagnosty laboratoryjnego. Badany materiał przechowuje wcześniej co najmniej dobę w zamrażarce. W małych kosztach lodu, bo do analizy składu śliny potrzeba nie więcej niż mililitr, a zazwyczaj jest to tylko 200 mikrolitrów. – *Mrożenie ułatwia analizę, bo doprowadza do ścięcia białek naturalnie obecnych w ślinie. Wtedy chromatogram jest czystszy, łatwiej wyodrębnić poszukiwane składniki*.

Twórcy tajwańskiego biocujnika także wskazują na komfort. Przekonują, że odczyt jest na tyle wiarygodny, iż nie wymaga potwierdzania badaniami histologicznymi, więc pacjent nie musi mieć wykonanej biopsji. – *W wypadku wyniku dodatniego sugerowałabym jednak przeprowadzenie tradycyjnej diagnostyki, bo to pozwoli szczegółowo określić postać raka i stopień zaawansowania* – mówi dr Ciepiela. Wygoda pierwszej analizy mogłaby jednak sprawić, że w Polsce więcej osób byłoby chętnych do badań profilaktycznych.

Problem w tym, że urządzenia takie jak z Tajwanu są na razie prototypami i przed nimi jeszcze długa droga do otrzymania atestu, by każdy mógł z nich korzystać. W przypadku innych nowotworów, na przykład piersi lub jajnika, również prowadzone są na świecie badania poszukujące ich markerów w ślinie. I choć diagnostykę tę stosuje się na razie w celach naukowych, być może za jakiś czas zostanie wdrożona do codziennej praktyki. ■

# Gra w dwa orły

PIOTR KORCZYŃSKI

Podczas powstania styczniowego  
wsie były pacyfikowane  
przez sotnie kozackie  
za wspieranie powstańców,  
a przez powstańców  
– za wspieranie zaborcy.



„Transport na Sybir”, akwarela  
Walerego Eljasza-Radzikowskiego z II poł. XIX w.



# W

czasie zmagania zbrojnych rozpoczętych 22 stycznia 1863 r. większość chłopów, mimo dekretu uwłaszczeniowego ogłoszonego przez powstańczy Tymczasowy Rząd Narodowy, przyjęła postawę wyczekującą. Były też miejscowości od początku wrogo „leśnym partiom”, zwłaszcza na ziemiach zabranych, czyli wcielonych do Rosji po rozbiorach. Na Litwie i Rusi zdarzało się, że chłopcy sami rozbijali oddziały powstańcze, a pojmanych odstawiali do cyrkułów. Słabi powstańcy nie mogli odpowiedzieć represjami, choć zdarzały się takie akcje, jak np. spalenie wsi Gromice w powiecie borysowskim 1 lipca 1863 r. w odwecie za pojmanie i wydanie Rosjanom ich towarzysza.

**Większych represji mogli spodziewać się chłopcy w Kongresówce** – zarówno ze strony sotni kozackich za wspieranie powstańców, jak i ze strony Polskiej Żandarmerii Narodowej za przejawy wrogości wobec „sprawy narodowej”. Stąd też na chatach sołtysów i znaczniejszych gospodarzy pojawiał się przemysłny wynalazek – obrotowe, dwustronne godła. Jeśli wystawiony na czujce przed wsią chłop sygnalizował, że drogą zbliżają się Kozacy – deseczkę na dachu obracano tak, by widać było dwugłowego czarnego orła. Jeśli nadciągali powstańcy – pod strzechą widniał orzeł biały. Zdarzały się pomyłki, kiedy jedna ze stron podszywała się pod nieprzyjaciela – wtedy nie było litości dla „moskalofilskiej” albo „buntowniczej” wsi. Kozacy i żołdaci bez wahania palili i mordowali, ale równie bezwzględni potrafili być żandarmi narodowi, zwłaszcza służących w V Oddziale nie bez powodu nazywano żandarmami wieszającymi.

Wojsko powstańcze było ochotnicze i prowadziło wojnę partyzancką. Masy ochotników, różniących się stopniem wykształcenia wojskowego, wiekiem, pochodzeniem i statusem społecznym, szybko się deprawowały „w chłódzie i o głódzie”. Z tych też powodów oraz ze względu na znaczne odległości od centrów dowodzenia dowódcy oddziałów powstańczych otrzymali dużą autonomię sądowniczą. Prowadziło to do tego, że egzekucje bez wyroku sądu, na podstawie tylko podejrzeń, były na porządku dziennym.

**Początkowo po rozpoczęciu działań zbrojnych w styczniu 1863 r.** władze powstańcze nie dysponowały żadnymi regulacjami dotyczącymi funkcjonowania sądownictwa wojskowego. Pierwsze instrukcje Tymczasowego Rządu Narodowego udzielały szerokich pełnomocnictw dowódcom liniowym do wydawania wyroków doraźnych. Dopiero po kilku tygodniach Wydział Wojenny Rządu Narodowego podjął się organizacji nadzoru nad sądownictwem wojskowym, m.in. dekretem rządowym z 22 czerwca 1863 r. powołano urząd komisarza wojskowego. Urzędnicy ci, wyznaczeni we wszystkich województwach, otrzymali prerogatywy do nadzorowania sądów wojennych na swoim terenie i obowiązek przysyłania cotygodniowych raportów na ten temat. Komisarze wojskowi, nadzorujący karność oddziałów powstańczych, mieli również prawo stosowania aresztów i oddawania winnych przestępstw pod sąd wojenny.

Od połowy października 1863 r. nieograniczoną władzę w każdym województwie otrzymał komisarz pełnomocny. Mógł on według własnego uznania oddać pod trybunał rewolucyjny lub wojenny sąd doraźny nie tylko wojskowych, ale i cywilów. Prócz sądów wojennych w każdym większym oddziale partyzanckim równolegle funkcjonowały sądy wojenne w województwach. Wyroki tych sądów publikowano w rozkazach dziennych Rządu Narodowego.

Powstańczy kodeks karny przewidywał możliwość tworzenia trzech rodzajów sądów: doraźnych, wojennych i koleżeńskich. Wszystkie łączyło to, że w realiach wojny partyzanckiej prowadzonej z potężnym przeciwnikiem ferowały surowe wyroki, a kara śmierci była podstawowym środkiem represji.

Zdradcy, szpiedzy, donosiciele, dezterterzy, wichrzyciele i defetyści lub tylko oskarżeni o to cywile czy wojskowi byli po osądzeniu najczęściej natychmiast przez żandarmów wieszani na najbliższym drzewie. Rozstrzelanie, jako honorowe, przysługiwało nielicznym. Nie zapomniano też o tych, którzy po wybuchu powstania pozostali w szeregach wojska rosyjskiego. Rząd Narodowy odezwą z 10 kwietnia 1863 r. wezwał wszystkich Polaków służących w armii carskiej do powrotu do polskiego wojska pod groźbą utraty praw politycznych i cywilnych. Pozostawanie na żołdzie carskim podczas walki o niepodległość kwalifikowano jako hańbę i bratobójstwo. Wezwanie to Rząd Narodowy powtórzył 21 czerwca 1863 r. w dekreście o sankcjach przeciwko Polakom służącym w armii carskiej. Pozostawanie w tej służbie od sierpnia 1863 r. w granicach sprzed 1772 r. było karane pozbawieniem czci oraz wszelkich praw politycznych i cywilnych.

**Dowódcy polowi, naczelnicy wojskowi i komisarze pełnomocni szastali wyrokami śmierci bez umiaru**, by utrzymać dyscyplinę w „partiach” powstańczych lub sterroryzować nieprzychylnie sprawie narodowej okolice. Nie było litości nawet dla tych, którzy szczęśliwym trafem zerwali się ze stryczka. Taki los spotkał chłopca skazanego za szpiegostwo. Po zerwaniu się z szubienicy został na rozkaz powstańczego dowódcy rozsiekany kosami.

Na śmierć przez powieszenie skazywano najczęściej za szpiegostwo, dezercję do nieprzyjaciela i zdradę. Egzekucje zazwyczaj wykonywano publicznie, przed frontem oddziału albo na oczach ludności cywilnej. Nie brakowało kontrowersyjnych wyroków. Na przykład w oddziale majora Ignacego Wodzińskiego pochopnie rozstrzelano chłopaka tylko dlatego, iż odszedł kilka kroków od posterunku. Generał Edmund Taczanowski rozkazał rozstrzelać dwóch powstańców z pierwszego szeregu w buntującej się ze zmęczenia i wyczerpania kolumnie marszowej, gdyż nie chcieli wyjawiać, kto był prowodyrem wstrzymania marszu.

Bezpartdonowy w ferowaniu wyroków był również drugi dyktator powstania, generał Marian Langiewicz, jeden z najbardziej doświadczonych wojskowo dowódców. Ten były oficer pruskiej artylerii na czele swego oddziału szedł od zwycięstwa do zwycięstwa: Wąchock – Nowa Słupia – Św. Krzyż... W lutym 1863 r. cieszył się wielką popularnością, a dowodzone przez niego szeregi rosły lawinowo – w połowie tego miesiąca miał pod komendą blisko trzy tysiące ludzi. Nie dziwi więc, że decyzją Rządu Narodowego został 11 marca 1863 r. mianowany dyktatorem po niefortunnym Ludwiku Mierosławskim.

Wiadomość ta dotarła do Langiewicza w obozie w Goszczy niedaleko granicy z Galicją. Swój „korpus”, jak nazywał podległe oddziały, starał się trzymać w ryzach, stosując dyscyplinę rodem z pruskiej armii. Szczególną rolę otrzymały w tym przedsięwzięciu formacje kosynierskie, które generał Langiewicz zmienił w... kompanie karne. Za różne przewinienia zsyłano do nich strzelców, a nawet żołnierzy z elitarnego oddziału żuawów śmierci. Odbierano im wtedy karabiny czy sztucery i za karę wręczano kosę, by walczyć nią, odkupili swe winy. Langiewicz, jak na pruskiego oficera przystało, szafował karami, nie wyłączając tej najwyższej. Paweł Jasienica w „Dwóch drogach” opisał taki przypadek z goszczańskiego obozu: „Razu pewnego Langiewicz podszedł do miejsca zakwaterowania szwadronu jazdy. Dowódca – niejaki Stamirowski – stanął na baczność i zaszalutował, ale fajkę ►

► w zębach nadal trzymał. »Gdy się mówi do dyktatora, to należy fajkę z pyska wyjąć!« – krzyknął wódz, któremu się musiały przypomnieć pruskie pojęcia o dyscyplinie wojskowej». Niefortunny oficer nie czekał na karną zmianę przydziału z kawalerii do kosynierów – uciekł z obozu i zmienił się w zwykłego rzeźmieszkę, który na czele bandy terroryzował chłopów, podszywając się pod partię powstańczą. Wyrokiem władz powstańczych po schwytaniu został powieszony.

**Postawa chłopów w dużym stopniu zależała od poszczególnych dowódców polowych.** Langiewicz był niechętny kosynierom. Ta niechęć przeniosła się na całe wsie południowej części guberni radomskiej. Dyktator w powiatach miechowskim, stopnickim, sandomierskim i olkuskim przeprowadził pacyfikacje tych wsi, które po lutowej klęsce Apolinarego Kurowskiego w Miechowie brały udział w pogromach powstańców i wysługiwały się carskiemu wojsku. Tam, gdzie przeszedł Langiewicz, drzewa ugięły się od wisielców. Doszło do tego, że chłopcy zaczęli kryć się po lasach na samo jego imię. Czy niechęć do Langiewicza budziła sama surowość działań? Raczej to, że często ferował wyroki na ślepo, stosując pruskim zwyczajem odpowiedzialność zbiorową.

Inny znany z surowości dowódca, pułkownik Dionizy Czachowski, miał w swych oddziałach wielu chłopów. Wszyscy podkomendni bali się jak ognia jego gniewu, ale jednocześnie podkreślali jego dbałość o żołnierza i sprawiedliwe traktowanie. W opatowskich i sandomierskich wsiach bardzo długo pamiętano „ukochanego ojca” Czachowskiego, popijającego wódkę z manierki razem z chłopami. A był to człowiek siejący postrach. Historyk Józef Grabiec-Dąbrowski tak o nim napisał: „Czachowski zawiadomił generała [Aleksandra] Uszakowa, że odtąd będzie wieszał wszystkich jeńców; zaś względem ludności okazującej jakąkolwiek przychylną Rosjanom był nieomal nieludzkim. Wieszał bez miłosierdzia wszystkich szpiegów, zdrajców i hojnie udzielał batów wszystkim szlachcicom umiarkowanym w miłości ojczyzny”.

Mimo licznych wyroków śmierci w powstańczym wojsku lat 1863–64 nastąpiło radykalne odejście od stosowania kar cielesnych. Było to najprawdopodobniej odreagowanie brutalności występującej powszechnie w armii rosyjskiej, gdzie na porządku dziennym były tzw. praszczeta (przeganianie skazańca między dwoma szeregami żołnierzy siekącymi mu plecy kijami). Świadczy o tym próba ukarania chłostą podoficera w jednym z oddziałów powstańczych w rejonie Augustowa w sierpniu 1863 r. Żołnierze z tego oddziału przyjęli karę chłosty wymierzoną przez pułkownika Erazma Skarżyńskiego z oburzeniem; pobili dotkliwie swego dowódcę i rozeszli się do domów. Natomiast powstańcze sądy bez wahania ferowały kary cielesne wobec cywilów. Żandarmi bezlitośnie batożyli zarówno chłopów opierających się pomaganiu powstańcom, jak i ziemian, którzy nie chcieli wypełniać zarządzeń Rządu Narodowego o uwłaszczeniu poddanych.

Wyroki i rozkazy dowódców oddziałów powstańczych o pozbawieniu życia bez wyroku sądowego wykonywali żandarmi. Do ich obowiązków należało też przeprowadzanie aresztowań i konwojowanie podejrzanych do zaimprovizowanych sądów wojennych. Praktycznie przy każdym oddziale partyzanckim funkcjonował pododdział żandarmerii polowej wywodzącej się ze Straży Narodowej.

Historia tej formacji zaczęła się prawdopodobnie w kwietniu lub maju 1863 r. Wtedy to Rząd Narodowy postanowił powołać do swej bezpośredniej ochrony oraz walki z carskimi agentami i przeciwnikami politycznymi żandarmerię. Została ona zorganizowana na wzór wojskowy i składała się z kilkuset ludzi wyposażonych w broń krótką. 13 sierpnia 1863 r. przemianowano ją

na Straż Narodową, a na jej czele stanął niespełna dwudziestoletni Paweł Landowski „Pawełek”. Choć był on zwolennikiem czerwonych, zaliczanym nawet do radykalnego skrzydła, chronił skutecznie „biały” Rząd Narodowy. Do najgroźniejszych „funkcjonariuszy” Straży należeli tzw. sztyletnicy. Ta specjalna formacja liczyła ok. 50 ludzi, którzy likwidowali osoby wyjątkowo szkodliwe dla powstania. Ich nazwa wzięła się stąd, że najczęściej eliminowali ofiary za pomocą sztyletu lub noża.

Sztyletnicy działali głównie w Warszawie, na prowincji porządku pilnowali „żandarmi wieszający”. Nazwa mówi sama za siebie. Byli postrachem dla wszystkich tych, na których padł choćby cień podejrzenia o sprzyjanie wrogowi. Brutalni w działaniu, bez wahania eliminowali ludzi, którym mniej lub bardziej udowodniono przestępstwa przeciwko powstańczemu prawu. *Wieszatiele*, nazywani także szubienicznikami, sznur do egzekucji zawsze mieli przy sobie, a w szubienice zmieniali najczęściej drzewa lub belki w wiejskich stodołach.

Z drugiej strony żandarmi byli najbardziej ideowym elementem wojska powstańczego. Prowadzili walkę partyzancką długo po upadku powstania. Jeszcze w połowie 1865 r. żandarmi wykonywali wyroki śmierci na zdrajcach na Lubelszczyźnie i Podlasiu. Sporo też w ich szeregach było – jak w pamiętniku zapisał Bartosz Nowak, jeden z nielicznych powstańczych dowódców wywodzących się ze wsi – „synów wiejskich tajemniczo uwijających się od wsi do wsi”.

15 października 1863 r. Landowski otrzymał rozkaz zaangażowania całej Straży Narodowej w walkę w terenie. Prócz egzekwowania prawa żandarmi mieli odtąd prowadzić walkę partyzancką na równi z innymi żołnierzami. Ich wódz zmienił pseudonim na „Kosa” i wedle Stanisława Zielińskiego „bardzo dokuczał Moskalom” aż do bitwy pod Ożimkówką niedaleko Garwolina 1 stycznia 1864 r. W tym starciu ranny „Kosa” dostał się do niewoli. Odstawiony do Parysiewa, zdołał jednak zbiec. Wpadł drugi raz w ręce Rosjan 27 lutego 1864 r. Zesłany na katorgę, żył później na emigracji.

**Pamiętniki i dokumenty z czasów powstania zgodnie podają,** że oddziały żandarmerii narodowej niezwykle skutecznie walczyły z carskimi rotami. Przykładowo Stanisław Zieliński w swych monumentalnych „Bitwach i potyczkach powstania styczniowego 1863–1864” pisze: „Żandarmeria narodowa w województwie podlaskim, pod dowództwem [Zdzisława – przyp. autor] Łaskiego, wielką rozwijała ruchliwość, ciągle niepokojąc Moskale, likwidując im pikietę, przecinając odwroty, albo zręcznym, a niespodziewanym napadem zmuszając nieraz silniejsze-go nieprzyjaciela do ucieczki”.

Żandarmi byli bezlitośni zarówno wobec własnych zdrajców, jak i żołdatów; w większości wypadków nie spodziewali się paragonu ze strony nieprzyjaciela. Nie zważając na klęskę i carskie ukazy, przypominali ludowi i szlachcie o autorytecie Rządu Narodowego. Sami siebie nazywali biczem bożym.

PIOTR KORCZYŃSKI

Bibliografia: Leszek Kania, „Służba sprawiedliwości w Wojsku Polskim 1795–1945. Organizacja – prawo – ludzie”; Stefan Kieniewicz „Powstanie styczniowe”; Piotr Korczyński „Zapomniani. Chłopi w Wojsku Polskim”; Bartosz Nowak „Ze wspomnień powstańca z roku 1863/1864”; Stanisław Zieliński „Bitwy i potyczki powstania styczniowego 1863–1864”.



Więcej w Pomocniku Historycznym POLITYKI „1863 Powstanie Styczniowe. Klęska i chwała” do kupienia w dobrych punktach sprzedaży i na [www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl).



# 80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projektimpulsar/>,  
a także na [polityka.pl/podkasty](https://polityka.pl/podkasty) do wysłuchania rozmów  
z cyklu „POLITYKA o historii”

# Wyspy niezgody

Argentyńskie roszczenia ciągle głośno brzmią w przestrzeni międzynarodowej i budzą niepokój mieszkańców Falklandów. Choć minęło ponad 40 lat od zbrojnego konfliktu o te wyspy.

KRZYSZTOF KUBIAK

**D**rugiego kwietnia 1982 r. o godz. 00.45 dwie grupy argentyńskich komandosów morskich z pododdziału Buzo Tactico wylądowały w rejonie Port Stanley na Falklandach. Rozpoczęła się jedna z najdziwniejszych konfrontacji wojskowych podczas zimnej wojny. W ciągu trzech miesięcy brytyjskie mocarstwo, przez wielu uważane za byt schyłkowy, pokazało militarny pazur, z powodzeniem prowadząc działania zbrojne ponad

14 tys. km od Londynu. Zamiar argentyńskiej junty, by skonsolidować władzę poprzez krótką zwycięską wojenkę, całkowicie się nie powiódł. Wojskowe rządy załamały się pod ciężarem ekonomicznej indolencji, zbrodni popełnianych wobec własnych obywateli i rozpaczliwej nieudolności militarnej, wykazanej podczas próby utrzymania Falklandów.

**W**ydarzenia sprzed lat nadal silnie wpływają na relacje między Wielką Brytanią i Argentyną. W nowy sposób określiły status wysp na politycznej i społecznej mapie Zjednoczonego Królestwa. Pamięć o okupacji jest nadal żywa, choć raczej w pamięci poszczególnych osób niż w przestrzeni publicznej. Trauma około 1800 ówczesnych mieszkańców została na dekady wyparta. Dopiero obecnie władze oświatowe zainicjowały program zbierania relacji dziadków przez wnuki.

– Co mam ci powiedzieć? – zapytał retorycznie jeden ze starszych mieszkańców liczącej kilkanaście zabudowań osady Port Howard na Falklandzie Zachodnim. Jest w jednej osobie farmerem, hotelarzem,

dzierżawcą sklepu, kapitanem (i całym personelem) portu morskiego, a także kontrolerem ruchu lotniczego, jak również całą lotniskową strażą pożarną. – Najpierw był szok, potem strach, gdy na ląd schodziły kolejne setki żołnierzy [w Port Howard stacjonowało około 1000 ludzi, było to drugie co do wielkości zgromadzenie po Port Stanley i rejonie Goos Green-Darwin], a potem beznadzieja i zobojętnienie. Byliśmy odcięci od informacji. Argentyńczycy zabrali wszystkie radia. W sumie traktowali nas przyzwoicie. Z miejscowymi kontaktowała się głównie żandarmeria. Ze zwykłymi żołnierzami nie było w praktyce żadnych relacji. Trzymano ich na dystans. Co pamiętam? Oficera żandarmów. To był kapitan albo major. Zachowywał się bardzo... wyniośle i przy każdej okazji powtarzał, że po dziadkach jest Irlandczykiem.

Mieszkający obecnie w Port Stanley historyk regionalista zachował inne wspomnienie. – Mieliliśmy farmę w Port Stephens na Falklandzie Zachodnim – mówi. – Mieszkała tam rodzina amerykańskich bahaitów – misjonarzy. Mąż, żona i dwójka dzieci. Ojciec rodziny dbał o urządzenia



Wyspy dzisiaj. U góry: lądowanie brytyjskich żołnierzy w Port San Carlos, 21 maja 1982 r.



© JOHN SHIRLEY/EVINE/EAST NEWS, GETTY



mechaniczne i elektryczne w osiedlu: konserwował, naprawiał, serwisował. Przyuczał mnie do pracy. Kiedy wylądowali Argentyńczycy, zaproponowali bahaitom, obywatelom Stanów Zjednoczonych, bezpłatną ewakuację do Montevideo. I oni na to przystali. Zostałem sam z tą całą robotą. Byłem przerażony. Argentyńczyków prawie nie pamiętam. Może dwa–trzy razy pojawiły się patrole po kilku żołnierzy. Później w czerwcu przyleciał brytyjski śmigłowiec z oficerem marynarki. Ogłosił, że nas wyzwolono. Z dwoma kolegami powiedzieliśmy, że bardzo chcemy zobaczyć brytyjskie samoloty. Uśmiechnął się i mruknął, że to się da zorganizować. Po kilkunastu minutach para Harrierów zatoczyła krąg nad osadą.

**D**zisiaj Falklandy, zamieszkane przez ok. 4 tys. osób (bez personelu wojskowego), to jedno z 14 brytyjskich terytoriów zamorskich. Jest to dość szeroka kategoria, w której mieszczą się Gibraltar, Bermudy i niektóre wyspy karaibskie z jednej strony, zaś Południowa Georgia i Brytyjskie Terytorium Antarktyczne z drugiej. Wyspy Falklandzkie od Argentyny oddziela 500 km otwartego, burzliwego oceanu. Nie bez powodu marynarze nazywają te szerokości wyjącmi pięćdziesiątkami. Masy powietrza okrążają glob, nie napotykając na żadne przeszkody naturalne poza południowym pasmem Andów, a Falklandy leżą w alei wichrów zachodnich. Wyspy są wietrzne, bezdrzewne, chłodne i suche. Nie jest to dobre miejsce dla rolników. Metodą prób i błędów brytyjcy osadnicy zwani Kelpersami, notabene w dużej części wywodzący się ze Szkocji,

opanowali w tych trudnych warunkach hodowlę owiec. Wełna stanowiła podstawowy artykuł eksportowy do lat 80. XX w.

**P**o inwazji wielu analityków usiłowało znaleźć w działaniach Argentyńczyków drugie dno. Wskazywano na motyw geopolityczny, w którym to ujęciu wyspy są rzeczywiście ważne. Nie odgrywał on jednak w decyzjach generałów z Buenos Aires większej roli. Pojawiły się więc informacje o złożach ropy. Na razie się nie potwierdziły, a przynajmniej nie w postaci zasobów, których eksploatacja byłaby opłacalna. 10 lat temu przeprowadzono próbne odwierty. Platformę „Ocean Guardian” posadowiono ok. 170 km na północ od wysp, gdzie głębokość morza sięga 2700 m. Rezultaty były rozczarowujące.

Holowanie „Ocean Guardian” na pozycję roboczą i późniejsza praca platformy wywołała falę oburzenia w Argentynie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że elity państwa, które nie potrafiły wyprowadzić republiki ze stanu permanentnego kryzysu, nauczyły się nader sprawnie wykorzystywać kwestię falklandzką w rozgrywce wewnętrznej. Odgrywa rolę tematu dyżurnego i skutecznie skupia społeczne emocje. W rezultacie tych gier konflikt, który przynajmniej do lat 60. był w Argentynie traktowany marginalnie, stał się trwałym i istotnym pejzażem polityki tego kraju.

Argentyńskie pretensje są nieoczywiste. Opierają się wyłącznie na kryterium bliskości geograficznej. Argentyna jednak nigdy nie sprawowała nad archipelagiem skutecznej kontroli. Argument historyczny wywodzi się stąd, że wyspy znajdowały się w hiszpańskim Nowym Świecie.

Takiego podziału obu Ameryk i Atlantyku dokonał zaś w 1493 r. papież Aleksander VI. Argentyna, będąc państwem sukcesyjnym imperium hiszpańskiego, uznaje więc Falklandy za swoje.

Hiszpańska nazwa Islas Malvinas wywodzi się z języka francuskiego. Tak się bowiem złożyło, że pierwszą stałą osadę założyli na wyspach w 1763 r. Francuzi, statki pod burbońską banderą transportujące osadników wyszły na morze z St. Molo. Nazwę portu macierzystego nadano jednemu z dużych strumieni. Stąd wzięto się Malouines i ostateczna wersja hiszpańska Malvinas.

Brytyjska Royal Navy zajęła wyspy w styczniu 1833 r., usuwając osadzonych 6 października poprzedniego roku żołnierzy Konfederacji Argentyny. Z prawnego i faktycznego punktu widzenia nie był to jednak „garnizon”, lecz tylko grupa zbuntowanych żołdaków, którzy sześć tygodni po przybyciu zamordowali swojego dowódcę.

Argentyńczycy w planach inwazji nie brali pod uwagę (i nadal nie biorą) woli mieszkańców. Ci zaś uważają się za Brytyjczyków. Nie zmienia to jednak powszechnego w Buenos Aires przekonania, że wyspiarze powinni być dla ich własnego dobra „zdekolonizowani”. Używanie frazeologii kolonialnej jest zaś kolejną kwestią budzącą wątpliwości, gdyż trudno w ten sposób nazywać terytorium nieposiadające pierwotnie rdzennej populacji.

Argentyńskie roszczenia, hałaśliwie artykułowane w przestrzeni międzynarodowej, budzą niepokój wyspiarzy. – Nie chcę, abyś mnie źle zrozumiał – mówi osadnik żonaty z Filipinką – ale głęboko ►







**Wrak samolotu, takich śladów wojny jest wciąż dużo. Mieszkańcy Falklandów manifestują poparcie dla Ukrainy. Groby żołnierzy argentyńskich udekorowane różańcami i koszulkami z motywem flagi.**



► odetchnęliśmy, gdy stało się jasne, że Brytyjczycy i Amerykanie tak mocno wspierają Ukrainę. Gdyby okazało się, że świat akceptuje rosyjski podbój, wcześniej czy później ponownie przybyliby tu Argentyńczycy. Nie dziwi więc, że przed kilkoma domami w Port Stanley łopocą ukraińskie flagi. Lęki wzmagają zacieśnianie się związki argentyńsko-chińskie.

Do uspokojenia nastrojów nie przyczyniają się poczynania części argentyńskich turystów. Przylatują z Punta Arenas w Chile (między Falklandami a Argentyną nie ma bezpośrednich połączeń ani morskich, ani lotniczych). Pretekstem jest odwiedzenie grobów krewnych poległych na wyspach. Siły zbrojne południowoamerykańskiej republiki straciły podczas konfliktu 649 zabitych. 11 313 żołnierzy poszło do brytyjskiej niewoli. Często po takich wizytach pojawiają się w mediach społecznościowych filmiki przedstawiające gości powiewających argentyńskimi flagami na tle mogił. Wykrzykują kultowe już „Malvinas son Argentina!” (Malwiny są argentyńskie) oraz równie agresywne „Nasze groby – nasza ziemia”. Krzyże są przyozdabiane różańcami (argentyńska operacja zajęcia wysp nosiła kryptonim rosario, czyli różaniec) i białobłękitnymi koszulkami. Wśród wyspiarzy krąży opowieść, że przybysze dostają pieniądze od różnych organizacji patriotycznych finansowanych przez argentyński rząd, a filmy są formą rozliczenia dotacji.

Wojna i krótkotrwała okupacja wymusiły na Londynie fundamentalne zmiany w stosunku do Falklandów. W latach 60. i 70. XX w. w niektórych londyńskich środowiskach pojawiały się głosy, że wyspy stanowią dla Zjednoczonego Królestwa ciężar i należy się ich pozbyć. Najlepiej drogą korzystnego ekonomicznie

zacieśniania więzów z Argentyną. Obecnie jest to niemal niemożliwe. Dla mieszkańców kluczowe znaczenie miało to, że Wielka Brytania zdecydowała się w 1986 r. wdrożyć w stosunku do wysp postanowienia Konwencji o prawie morza. W jej efekcie ustanowiono strefę ekonomiczną szerokości 200 mil morskich na północ, wschód i południe od Falklandów i 160 mil morskich na zachód od archipelagu. Ostatnie ograniczenie wychodzi naprzeciw regule mediany, czyli przebiegu linii demarkacyjnej w równej odległości od wybrzeży zainteresowanych państw (w tym przypadku Argentyny). To właśnie toń morska i zasoby oceanu, a nie węglowodory zalegające pod dnem, stały się głównym, fundamentalnym źródłem dochodów wysp.

Przeprowadzono głęboką reformę relacji między metropolią i Falklandami. W 1983 r. wyspiarze formalnie otrzymali obywatelstwo brytyjskie – wcześniej byli „poddanymi z terytoriów zamorskich”. W 1985 r. Korona nadała wyspom konstytucję (Falkland Islands Constitution), którą zmieniono w 2008 r. (obowiązuje od 1 stycznia 2009 r.). Zgodnie z jej postanowieniami Wielka Brytania ponosi odpowiedzialność za obronę i sprawy zagraniczne wysp. Funt falklandzki jest ściśle związany z brytyjskim. Głową faktycznej autonomii (formalnie jednak taka nazwa nie pada) jest brytyjski monarcha, reprezentowany przez gubernatora generalnego. Kwestie prawodawcze leżą w obszarze odpowiedzialności Zgromadzenia Ustawodawczego. Funkcję rządu pełni Rada Wykonawcza. Na jej czele stoi dyrektor powoływany przez gubernatora, a wskazany przez Zgromadzenie Ustawodawcze. Szef Rady jest de facto i de iure urzędnikiem służby cywilnej powoływanym na trzy lata (z możliwością przedłużania kadencji-kontraktu). Posiedzenia

Rady odbywają się za wiedzą gubernatora. Może w nich uczestniczyć, jednakże bez prawa głosu, brytyjski dowódca sił zbrojnych na południowym Atlantyku. Ustrój sądów oparty jest na wzorcach angielsko-walijskich.

Pod względem politycznym wyspy cieszą się wszelkimi swobodami brytyjskimi, ekonomicznie sprawy też mają się dobrze. Niespieszne i dostatnie życie toczy się jednak w szczególnie międzynarodowym cieniu. Przypominają o tym nie tylko buńczuczne wystąpienia argentyńskich polityków i wraki argentyńskich samolotów, ale przede wszystkim stała brytyjska obecność wojskowa na wyspie. Po wojnie od zera wzniesiono bazę lotniczą w Mount Pleasant. Tam stacjonują cztery myśliwce Eurofighter Typhoon FGR, stanowiące zasadniczy element systemu odstraszenia. Uzupełnia je bateria rakiet przeciwlotniczych Sky Sabre (takie same zestawy rozmieszczone są w Polsce, przy granicy z Ukrainą). W obecnych warunkach, biorąc pod uwagę kondycję argentyńskiego lotnictwa wojskowego, to aż nadto. Systemy radiolokacyjne zapewniają wcześnie wykrycie ewentualnego przeciwnika, a samoloty szybką reakcję. Bazę chroni wzmocniona kompania piechoty, z którą współdziała lokalna obrona terytorialna (ochotnicze, szkolone przez instruktorów z piechoty morskiej Falkland Islands Defence Force). Królewska marynarka utrzymuje na południowych wodach Atlantyku jednostkę patrolową, a lokalne władze stają się ochroną rybołówstwa. Wielka polityka zatem o Wyspach Falklandzkich nie zapomina. Co więcej, perspektyw wygaszenia sporu bynajmniej nie widać.

Argentyńskie roszczenia skłaniają do postawienia pytania o nazwę archipelagu. W literaturze polskiej przyjęło się traktować pojęcia Falklandy i Malwiny jako synonimy. W rozumieniu mieszkańców archipelag nosi nazwę Falkland Islands. Automatyzm w stosowaniu nazwy hiszpańskiej jest pośrednim i najczęściej nieświadomym wsparciem argentyńskich roszczeń z pominięciem woli wyspiarzy.

Malwiny narodziły się ze swoistej schizofrenii, w jakiej znalazła się oficjalna machina propagandowa PRL w 1982 r. Argentyńska junta to byli „faszyści”, ale Brytyjczyków określano jako „kolonialistów” i „imperialistów”, którzy zainicjowali sankcje wprowadzone po ogłoszeniu w Polsce stanu wojennego. Ów stan rozdarcia świetnie zdyskontowali kabareciarze purnonsensem „precz z Reaganem, Falklandy Sowietom”.

KRZYSZTOF KUBIAK



# POSZERZAMY HORYZONTY



## Naukowe miesięczniki **POLITYKI**

Ogień jest z jednej strony niszczycielski, z drugiej żywotny. Od zarania dziejów pożary istotnie kształtowały środowisko lądowe na Ziemi.

**SZYMON JASTRZĘBOWSKI**

**ŻYWIÓŁ PARADOKSÓW**

**POD WŁOS**

Rafał Szulc

**WIEDZA I ŻYCIE**

Kosmiczne KOLIZJE  
Powstrzymać ŁYSIENIE  
PADLINA na talerzu  
Powojenne obozy DLA NIEMCÓW

**WYWIAD ZE SZTUCZNĄ INTELIGENCJĄ**

PRZYDATNE W SZKOLE EKOSYSTEMY OGNIOWIZLEDE

**PADLINA NA TALERZU**

Rafał Szulc

Kwietniowe numery już w kioskach i na [sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: [projekt.pulsar.pl](https://projekt.pulsar.pl)





na ekranie

## Ach, te ułamki 3/6

**Liczba doskonała**, reż. Krzysztof Zanussi,  
prod. Polska, Włochy, Izrael, 87 min

**N**owy film Krzysztofa Zanussiego osnuty jest wokół kwestii zbawienia. Majętnego hedonistę pochłania sprawa boskiej interwencji – czy i jak Bóg wtrąca się w ludzkie sprawy. Jego krewny, młody asceta, matematyk przed trzydziestką, poszukuje absolutu w ciągach Fibonacciego. Swoim sceptycyzmem i gasnącym wigorem ten starszy (ciekawa rola **Andrzeja Seweryny**) przypomina skruszonego Fausta próbującego u kresu życia za wszelką cenę ratować swoją duszę. Dla młodego (**Jan Marczewski**) liczy się wyłącznie kariera i naukowa pasja. Obaj mają serce z kamienia, nie chcą cierpieć, są skrajnymi egotykami nastawionymi na realizację własnych celów. Błądzą, lecz – jak chciał Goethe, a w XX w. Herman Hesse w „Narcyzie i Złotoustym” – dzięki magicznej sile miłości otrzymują szansę. Umierający grzesznik

poprzez pokutę i dobre uczynki uświadomi sobie, co naprawdę stracił. Genialny młodzieniec przez wymodloną łaskę bezgranicznie kochającej go kobiety (Julia Latosińska) być może stanie się kimś w rodzaju świętego.

Psychoanalizy niechaj rozstrzygają czy (i na ile) Zanussi rozlicza, a zarazem uwzniośla tu samego siebie. Klasyka polskiego kina, który za dwa miesiące skończy 84 lata, zawsze pociągały bardziej idee, teoretyczne modele niż konkretny los. Oparte na filozoficznym koncepcie „Barwy ochronne” czy „Constans” wciąż budzą zachwyt, czego niestety nie da się powiedzieć o późnej twórczości mistrza. Zmieniły się czasy, kontekst, estetyka, argumenty w dyskusjach, a jego kino ostentacyjnie to ignoruje, coraz bardziej zamykając się w okopach Świętej Trójcy. Śledząc perypetie trojga protagonistów „Liczby doskonałej”, widzimy, że autentycznie interesuje go już tylko scholastyka. Ateistom ma do zakomunikowania, że są niemądrzy, bo postawieni przed wyborem „coś albo nic” wybierają nic. Zaś do drobiazgów takich jak rzeczywiste potrzeby i pragnienia młodego pokolenia, emocjonalność (zwłaszcza kobieca), patriachat, dzisiejsza przemoc lub bieda w zasadzie większej wagi nie przywiązuje. Dawniej ta symbolika i oderwanie od rzeczywistości może być przeszły. We współczesnej sztuce to niewybaczalny błąd.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

## Ukryte pragnienia 4/6

**Bezmiar** (L'immensita), reż. Emanuele Crialese,  
prod. Włochy, 97 min

**N**a pierwszy rzut oka może się wydawać, że oglądamy barwny obrazek z przeszłości: słoneczny Rzym lat 70., zwiewne sukienki, matka z trójką dzieci tańcząca wokół stołu w rytm popowych przebojów. Jednak film Emanuele Crialesego nie wpada w pułapkę nostalgii. Przeciwnie: pozorna beztroska ledwo zasłania opowieść o cierpieniu i niespełnieniu, a świat, w którym żyją jego bohaterki, wkrótce ulegnie gruntownej zmianie – i to nie tylko dlatego, że zza okien apartamentu dobiegają nieustannie odgłosy wielkiej budowy, zagarniającej dziczące podmiejskie łąki. Clara (**Penélope Cruz**)



jest nieszczęśliwa w małżeństwie, spętana przez patriarchalne reguły, a jednocześnie stara się zapomnieć o zdradach i obojętności męża, skupia się na wychowywaniu trójki dzieci. Jeszcze ważniejszy jest tu punkt widzenia jej najstarszej córki, próbującej zrozumieć i pogodzić się ze swoją seksualnością: Adri (świetna debutantka **Luana Giuliani**) zaczyna nosić chłopięce ubrania i używać męskiego imienia Andrea, wszystko w czasach, gdy – w najlepszym razie – było to uważane za nastoletnią fanaberię, a o dysforii płciowej nikt w ogóle nie mówił. Crialese nie ukrywa, że Andrea to postać, w której odbijają się jego młodzińcze doświadczenia i rozterki. Jednak nie zmienia odważnego i głęboko osobistego filmu w prywatny manifest. Patrzy na przeszłość z różnych perspektyw, nadaje „Bezmiarowi” uniwersalny wymiar, przypominając mimochodem, że nostalgiczny filtr często zasłania bolesną prawdę.

JAKUB DEMIAŃCZUK



w telewizji

## Budka z wyrokiem 4/6

**Nagroda na dzień dobry** (The Big Door Prize),  
twórca serii: David West Read, 10 odc., Apple TV+

**D**eerfield, idylliczne amerykańskie miasteczko pełne zwyczajnych ludzi wiodących zwyczajny żywot. Do momentu, w którym w lokalnym spożywczaku w tajemniczych okolicznościach pojawi się błękitna budka. Z wyglądu przypomina automat do robienia zdjęć, ale tym, co fotografuje – a może raczej prześwietla – jest nie ciało, tylko dusza, zaś zamiast zdjęcia wypływa kartonik z lakoniczną informacją o tym, co jest „twoim życiowym potencjałem”. Zapisane



na błękitnych karteczkach „wyroki” sięją zamęt w miasteczku, część mieszkańców wraca do zarzuconych w młodości pasji, inni, jak małżeństwo 40-latków Dusty i Cass (**Chris O'Dowd** i **Garbielle Dennis**), konfrontują się z pytaniem, czy ich dotychczasowe, wydawałoby się satysfakcjonujące życie nie było jednak naznaczone nudą, bolesnymi kompromisami i tłumioną frustracją? Co jeśli życiowy potencjał już jest zrealizowany, a w dodatku nie był wcale oszałamiający? I co dla jej posiadacza może oznaczać karteczka z napisem „Bohater”? Oparty na powieści M.O. Walsh'a serial „Nagroda na dzień dobry” dla jednych będzie ubranym w lekki, komediowy (choć nie pozbawiony dramatycznych akcentów) kostium traktatem filozoficznym. Inni zobaczą w nim satyrę na coaching spod znaku: jak stać się najlepszą wersją siebie. Jeszcze inni zadowolą się oryginalnym spojrzeniem na temat kryzysu wieku średniego. Niezależnie od interpretacji cztery już dostępne odcinki nowej produkcji Apple TV+ zapowiadają ciekawą i niebanalną rzecz. A czy seria w pełni zrealizuje swój potencjał, okaże się po finale.

ANETA KYZIOŁ



## Zgrane i lubiane 4/6

**Nocny agent** (The Night Agent),  
twórca serii: Shawn Ryan, 10 odc., Netflix

**E**kranizacja powieści Matthew Quirka może się pochwalić trzecim najlepszym weekendem otwarcia w historii oryginalnych produkcji Netflix'a (po „Wednesday” i „Dahmerze”), dzięki czemu z marszu otrzymała zamówienie na drugi sezon. Co tak urzekło widzów? Na pewno nie oryginalność – „Nocny agent” powtarza zgrane do cna schematy z thrillerów szpiegowskich, w których uwikłani w spiski na rządowym szczeblu uczciwi agenci i niewinne osoby cywilne, najczęściej kobiece, wspólnymi siłami walczą o życie i sprawiedliwość, przy okazji zakochując się w sobie i ratując Amerykę. Schematy te produkcja Shawna Ryana realizuje jednak z gracją, sprawnie, z tempem i w odświeżonej wersji, która sprawczości nie łączy tylko z męskością, a kobiecym bohaterkom nie każe uciekać i walczyć w jakże wygodnych szpilkach i miniówkach. Jednocześnie bez przesady, to w końcu rozrywka w wersji Netflix'a, więc wszyscy są też egalitarnie piękni, rozwiązanie jest oczywiste, a całość ogląda się równie łatwo, co łatwo zapomina. Pierwsze skrzypce w tej na nowo zaaranżowanej znanej melodii grają agent FBI (**Gabriel Basso**) wysiadujący nocami w piwnicy Białego Domu przy – milczącym – telefonie alarmowym dla byłych szpiegów w opałach. Postrzega to jako degradację i karę za oskarżenie o zdradę ciążyące na jego zmarłym ojcu, też agencie. Aż pewnej nocy telefon dzwoni, a po drugiej stronie po pomoc zgłasza się bezrobotna obecnie specjalistka od cyberbezpieczeństwa (**Luciane Buchanan**), uciekająca przed ludźmi, którzy właśnie zamordowali jej wujka i ciotkę. AK

na scenie

## Basen łez 4/6

**Chłopaki płaczą**, scen. i reż. Michał Buszewicz,  
Teatr Dramatyczny w Warszawie



**S**ześciu mężczyzn w bardziej lub mniej średnim wieku, klienci metaforycznego basenu pełnego męskich łez i potu oraz tajemniczy ratownik. Spotykają się tu co wieczór, bo woda pozwala ukryć łzy, a sportowy wysiłek spuścić parę – tak pozbywają się trzymanych na wodzy przez cały dzień emocji ci, którym patriarchat zabrania okazywania słabości, unieszczęśliwiający tym wszystkim płcie. Grane na małej scenie Teatru Dramatycznego „Chłopaki płaczą” to spektakl kameralny, na granicy szkicu. W jego centrum stoją monologi wewnętrzne bohaterów. Po kolei przywołują w nich traumatyczne momenty, wspomnienia z dzieciństwa, w których ojcowie ignorowali ich uczucia, starsi mężczyźni uczyli, że „chłopaki nie płaczą”, a potem już sami wobec siebie i innych mężczyzn grali rolę strażnika zachowania, ze strachu przed wysmianiem, wykluczeniem, z obowiązku, bo na tym polega męskość, „tak każe obyczaj”. Paradoksalnie jednak te w założeniu emocjonalne opowieści wypadają dość stereotypowo i przez to chłodno, choć Michałowi Buszewiczowi jako scenarzyście nie sposób odmówić sprawnego pióra i ucha. Dużo ciekawsze, także teatralnie, są momenty interakcji bohaterów. Z krótkich spięć, przechwałek, chwil rywalizacji i nieśmiałych wyznań czy wzajemnej pomocy aktorzy Teatru Dramatycznego, na czele z Henrykiem Niebudkiem i Robertem T. Majewskim, tworzą przejmujące portrety ludzi rozpaczliwie łaknących akceptacji i przytulenia. AK

książki Fragmenty książek na stronie: [www.polityka.pl/czytelnia](http://www.polityka.pl/czytelnia)

## Szkoła przetrwania 4/6

Amélie Nothomb, **Do pierwszej krwi**,  
przeł. Jakub Jedliński,  
Wydawnictwo Nowe, Poznań 2023, s. 116

**A**mélie Nothomb pisze bardzo dużo, ale niewielka książka „Do pierwszej krwi” jest warta szczególnej uwagi, bo to historia jej ojca, trzymająca w napięciu od pierwszej sceny. Mieliśmy dużo ostatnio książek o awansie społecznym, a tu dostajemy historię arystokraty, demistyfikującą tę warstwę społeczną. Patrick Nothomb był wychowywany przez dziadków, wcześniej stracił ojca, a matka, piękna i niedostępna, niespecjalnie się nim interesowała. Przejmujący jest obraz jego dzieciństwa spędzonego na rozmowach z portretem matki, bo tej żywej przy nim nie było. Zmiana w życiu okazał się wyjazd do dziadka Nothomba, do zamku. Wtedy dopiero Patrick odkrył prawdziwy głód i chłód. Dziadek bowiem interesował się tylko własną poezją. Ta książka jest też opowieścią o dzieciństwie



i traktowaniu dzieci w latach 40. XX w. w Belgii czy we Francji. Mali mieszkańcy zamku byli obdarci i wychudzeni jak dzieci ulicy, bo tylko dorośli mogli zjeść do syta. Paradoksalnie dla Patricka te pobyty w trudnych warunkach były szkołą przetrwania i wykształciły jego umiejętności, które przydały się w dorosłym życiu, kiedy jako dyplomata w Kongu otarł się o śmierć. Był wtedy odpowiedzialny za życie belgijskich zakładników i musiał znaleźć sposób, żeby przedłużyć negocjacje z rewolucjonistami. Nie pomagało mu to, że od dzieciństwa mdlał na widok krwi. Oprócz fascynującej historii życia Patricka dostajemy też portret zmurszałej arystokracji, która jest nie tylko biedna, ale i odklejona od rzeczywistości. Niewielka książka kryje więc zaskakująco bogatą opowieść.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



## Ucieczka do wolności 3/6

Helena Merriman, **Tunel 29**,  
przeł. Patrycja Zarawska,  
Wydawnictwo Insignis, Kraków 2023, s. 454

**B**rawurowa ucieczka z zamkniętego miasta, walka jednostki z systemem, wielka polityka i zimna wojna w tle – „Tunel 29” ma epicki rozmach, więc prace nad ekranizacją już się podobno rozpoczęły. Jeśli materiał trafi w odpowiednie ręce, będzie hit: w biografii Joachima

Rudolpha, który wraz z grupą ochotników postanowił wykopać tunel pod murem berlińskim, splatają się wątki sensacyjne, szpiegowskie i romantyczne. Zaś Helena Merriman, która najpierw poświęciła swojemu bohaterowi podcast zrealizowany dla BBC, odmalowuje paranoiczny klimat i pozwala czytelnikom żyć nadzieją swojego bohatera. Styl przeniesiony z podcastu działa całkiem nieźle. Problem w tym, że książka wymaga czegoś więcej: Merriman dobudowuje więc historyczny i polityczny kontekst, opisując, jak doszło do podziału Niemiec i Berlina na alianckie sektory, a w rezultacie do budowy muru. I tu niestety „Tunel 29” zawodzi. Łatwiej wybaczyć skrótowność analizy i jej pewne uproszczenia – w końcu to nie praca naukowa. Trudniej jednak przełknąć pomyłone nazwiska, fakty i daty, choć na szczęście przynajmniej część z nich wylały redakcji polskiego wydania. Przytrafia się też Merriman toporny literacki styl. To bardzo wciągająca opowieść, chociaż przy lekturze zalecana jest ostrożność.

JAKUB DEMIAŃCZUK



## Kobiety w powstaniu 5/6

**Kwestia charakteru. Bojowniczek z getta warszawskiego**,  
red. Sylwia Chutnik i Monika Sznajderman,  
Czarne, Wołowiec 2023, s. 344

**T**en zbiór portretów bojowniczek z getta, przygotowany przez 14 pisarek i badaczek, pokazuje żydowskie kobiety, które świadomie zdecydowały się na udział w walce w getcie w 1943 r., a także w 1944 r. i ruchu partyzanckim po likwidacji getta. Niezwykła jest wartość tej książki, bo autorki z pieczołowitością rekonstruują losy bojowniczek, które często robiły „za mało” albo miały złe pochodzenie lub poglądy, by dostać się na karty wielkiej historii. Ich praca jest zatem skrupulatną archeologią, zbieraniem fragmentów, budowaniem opowieści o żydowskich działaczkach – łączniczkach, nauczycielkach, społecznicach, które często wracały do getta, choć mogły się ukryć po aryjskiej stronie. Nie jest to jednak słownik, ale wartkie narracje, świetne, barwne portrety. Od syjonizmu do komunizmu – taka jest rozpiętość światopoglądowa bojowniczek, większość z nich pochodziła z ubogich rodzin, ale do zaangażowania popchnęła je nie tylko bieda i wrażliwość społeczna, ale też brak szans na zdobycie dobrego wykształcenia i getta ławkowe. W tych szklach pojawiają się m.in. Cywia Lubetkin, najbardziej znana z bojowniczek, zeznająca w 1961 r. w wielkim procesie Eichmanna, ale też Dorka Goldkorn – komunistka, działaczka PPR-u, zamordowana przez nacjonalistyczną polską bojówkę w 1947 r. To jest opowieść o chichocie historii, o tym, że kobiety brały udział w walce, wiedząc, że historia poświęci im najwyżej trzy linijki. Tutaj zaś to one wysuwają się na pierwszy plan – one i ich szkolenia ze strzelania, bomby ze zużytych żarówek, przetrzymywanie ludzi, jedzenia, ulotek i broni. Z tej opowieści wyłaniają się twarze, które także – jak żołnierze – powinny trafić na murałe.

PAULINA MAŁOCHLEB





## w galerii Guru umiaru 4/6

**Kenya Hara. Japońskie projektowanie graficzne,**  
Muzeum Narodowe w Poznaniu, do 30 lipca

**K**ultura japońska karmi się skrajnościami. Z jednej strony nadekspresyjność i przesada, a z drugiej wstrzemięźliwość, wyciszenie i minimalizm. Doskonałym ambasadorem tego drugiego nurtu jest bohater poznańskiej wystawy. A najlepszym świadectwem jego redukcjonizmu jest fakt, że napisał książkę poświęconą 100 przykładom stosowania bieli, którą uważa za barwę o... „nieograniczonej różnorodności”, zaś w pustce widzi absolutną doskonałość. W praktyce dał się zapamiętać przede wszystkim jako artystyczny guru legendarnej marki Muji, która w Polsce, kraju discopolowej estetyki, dorobiła się tylko jednego firmowego sklepu. Ale jest też pomysłodawcą osobliwej akcji, w ramach której najwybitniejsi designerzy przeprojektowali tak banalne i wydawałoby



się odporne na zmiany przedmioty, jak papier toaletowy, zapalki czy torebki herbaty. W Poznaniu Kenya Hara przygotował małą retrospektywę swojego dorobku. Pokazuje plakaty (m.in. do wysmienitych kampanii reklamowych Muji), książki, projekty opakowań, identyfikacje wizualne, katalogi. Dzięki odręcznym szkicom oraz osobistym komentarzom, którymi opatrzył eksponaty, możemy poznać bliżej jego warsztat oraz filozofię projektowego kreowania. We współczesnym świecie przytłoczonym wszelakimi wizualnymi bodźcami prostota, umiar i estetyczna powściągliwość działań artysty działają prawdziwie terapeutycznie i uświadamiają, jaki piękny byłby świat, gdyby w jednej chwili zniknęło z niego 90 proc. otaczających nas barw, kształtów, linii, plam.

PIOTR SARZYŃSKI

na płycie

## Z miasta Joyce'a 5/6

Lankum, **False Lankum**, Rough Trade

**S**posób na muzyczne przetrwanie pandemii członków irlandzkiego kolektywu Lankum? Na czas sesji nagraniowych nowej płyty zamknęli się w dawnej dublińskiej wieży Martello, bliźniacze (i to niedaleko położonej) tej, którą unieśmiertelnił w „Ulissiesie” James Joyce i w której znajduje się muzeum jego twórczości. Album „False Lankum” nie musi się jednak podpierać żadną legendą. Wprawdzie dużą część repertuaru płyty stanowią klasyki celtyckiego folku, ale w takich wersjach jeszcze ich nie słyszałem. Smyczki w „Go Dig My Grave” (muzycy wykorzystują smyczek do gry na banjo i gitarze) brzmią jak na albumach The Dirty Three, a posępna sekcja rytmiczna pracuje ciężko jak w nagraniach grupy Swans. „Clear Away in the Morning” kojarzy się z brytyjską psychodelią i mogłoby się znaleźć na którejś z płyt Pink Floyd. W całej muzyce Lankum, zespołu założonego przez braci Iana i Daragha Lynchów (stąd początkowa, później odrzucona ze względu na okropne skojarzenia nazwa Lynched), nie brak też odniesień do The Pogues. Ale tempo jest inne, a ambicje związane z pracą studyjną nad różnorodnie zaaranżowanymi (fisharmonia, cymbały itd.) nagraniami bardziej awangardowe. Efekt końcowy przekona nawet tych, którzy od folku raczej stronią.



BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA

**SOS WIOSKI DZIECIĘCE**

**POMÓŻ DZIECIOM W NIERÓWNEJ WALCE Z ŻYCIEM**

Przekaz **1,5%**

**KRS 0000 056 901**



Keanu Reeves w czwartej części serii „John Wick”.

# Kaskaderzy znów kasowi

Skoro stare kino akcji z prawdziwymi kaskaderami zamiast generowanych komputerowo bohaterów odeszło, to dlaczego uwielbiana przez młodą widownię seria o Johnie Wicku regularnie wraca na szczyt box office’u?

W

MARCIN ZWIERZCHOWSKI

okolicach 2010 r. powoli zegnaliśmy kino akcji i jego twardszych niż stal bohaterów. Przepadł gdzieś Dolph Lundgren. Jean-Claude Van Damme był trzy lata przed tryumfalnym powrotem na ekran w... reklamie ciężarówek.

Arnold Schwarzenegger w „Terminatorze. Ocaleniu” nie pojawił się osobiście, bo już zastąpiono go przez cyfrowego kłona. Jackie Chan i Jet Li kręcili niemal wyłącznie w Azji. A Sylvester Stallone wprawdzie strzelał jeszcze w dżungli („John Rambo” z 2008 r.), ale i on już wiedział, że zmierzch jest bliski.

W 2010 r. do kin trafili bowiem „Niezniszczalni”, których oryginalny tytuł lepiej oddaje sens tej produkcji – „Expendables”, czyli „zbędni”, „niepotrzebni” lub, nieco swobodniej, „spisani na straty”. Była to opowieść o leciwych herosach z giwerami ustępującymi rozmiarem wyłącznie ich bicepsom, zbierających się, by odejść w chwałę, przy okazji wysadzając to i owo i wystrzeliwując po 10 tys. naboju, najlepiej z jednego magazynka. Na ekranie spotkali się Stallone, Lundgren, Li i Eric Roberts, doprosili m.in. Jasona Stathama, Steve’a Austina i Mickeya Rourke’a. Poziom

testosteronu wybił ponad skalę, a tzw. one-linery (krótkie, najczęściej żartobliwe teksty) cięły powietrze niczym pociski.

## Skok przez płot

Na chwilę się udało. Widownia zachłysnęła się nostalgią i film zarobił ponad 270 mln dol., co pozwoliło na jeszcze jedną ostatnią akcję („Niezniszczalni 2”, 2012 r.) oraz jeszcze jedną ostatnią-ostatnią akcję („Niezniszczalni 3”, 2014 r.). Wtedy jednak panowie twardego usłyszeć: dość. Trzeci film ledwie przekroczył 200 mln dol. przychodu i nawet jeżeli na siebie zarobił, to z ledwością. Był już środek ery superbohaterów. Rozpoczęty w 2008 r. filmem „Iron Man” tryumfalny pochód komiksowych herosów przez ekrany kin trwa do dziś, i choć ostatnio łapie zadyszkę (słaby wynik „Ant-Mana i Osy: Kwantomanii”), to samo tylko Kinowe Uniwersum Marvela zarobiło już blisko 30 mld dol., a na liście najbardziej dochodowych filmów wszech czasów „Avengers: Koniec gry” (2,79 mld dol.) ustępuje wyłącznie „Avatarowi” (2,92 mld dol.).

Wydawało się więc, że wszystko stracone. Że produkcje typu „Krwawy sport”, „Amerykański ninja”, „Predator” czy „Uniwersalny żołnierz” to pieśń przeszłości.

Zdarzało się, że od czasu do czasu pojawiała się światełko w tunelu. „Raid” z 2011 r. porwał widownię swoją efektywnością





Kadr z „Top Gun: Maverick” z Tomem Cruise’em w roli głównej.

i szybko stał się produkcją kultową. Niestety, raczej tylko wśród wąskiej grupki miłośników i miłośniczek gatunku „spluwa i pięścią”. Podobnie „Dredd” z 2012 r., w reżyserii Pete’a Trávisa (a wedle doniesień, faktycznej reżyserii Alexa Garlanda) zyskał grono nie tyle fanów, ile wyznawców. Niespodziewanym hitem była „Uprowadzona” z 2008 r., gdzie Liam Neeson najpierw groził porywaczom swojej córki przez telefon, by później rozprawiać się z nimi na wiele – najczęściej brutalnych – sposobów. Hit szybko przerodził się w serię, ta zaś jeszcze szybciej stała się pośmiewiskiem, czego symbolem była „kultowa” już dziś scena skoku przez płot. By ukryć fizyczne niedobory Neesona oraz dodać scenie dynamizmu, ta prosta sekwencja pokazana była poprzez kilkanaście cięć montażowych i zmian perspektywy, dając efekt, który najbardziej życzliwi określiliby mianem kuriozalnego.

Scena skoku przez płot z „Uprowadzonej 3” była symbolem tego, w jakim stanie znajdowało się ówczesne kino akcji – skazane na wiekowych, niesprawnych aktorów, inkasujących spore czeki za firmowanie swoimi rozpoznawalnymi nazwiskami produkowanych taśmowo filmideł. Na szczęście w tym samym roku, gdy Liam Neeson bił rekord Guinnessa w liczbie cięć w jednej scenie, na ekrany kin wszedł „John Wick”, film, który odmienił kino akcji i tchnął w nie nową energię.

## Wszystko przez psa

Na ten film w drugiej połowie 2014 r. niemalże nikt nie czekał. Reprezentował on przebrzmiały gatunek, z dwoma debiutantami – Chadem Stahelskim i Davidem Leitchem – na stołkach reżyserów oraz Keanu Reevesem w roli głównego bohatera. Reeves, który ponad dekadę po ostatnim (do czasu) „Matrixie” grał wprawdzie w produkcjach wielokubudżetowych, ale nie przynoszących spodziewanych wyników finansowych. Stahelski i Leitch, owszem, mieli bogate doświadczenie, tyle że jako kaskaderzy (ten pierwszy był dublerem Reevesa w „Matrixie”) a nie w roli reżyserów. Na dodatek sam film wydawał się nie traktować siebie zbyt poważnie, jako uzasadnienie dla niezwykle krwawej zemsty w wykonaniu głównego bohatera proponując... śmierć jego psa.

Dziś z „Johna Wicka” nikt się już nie śmieje. Coraz więcej osób natomiast czeka na każdą kolejną odsłonę losów mrukliwego byłego płatnego mordercy. Pierwszy film z serii zarobił 86 mln dol.,

trzeci już blisko ćwierć miliarda więcej, a wnosząc po aktualnych wynikach najnowszej, czwartej części, tendencja zwykła się utrzymać. Hollywood łapie się za głowę, że ktoś był w stanie zbudować coś od zera – bo film Stahelskiego i Leitcha niczego nie adaptował, nie był również sequelem czy prequelem ani nawet nie należał do żadnego uniwersum.

Ten sukces powstał w opozycji do tego wszystkiego, co w tym czasie rządziło w kinach. Postaci rodem z komiksów rzucały sobą w budynki, równały z ziemią całe miasta, by następnie strzepywać kurz z ramion i kontynuować ten cykl przemocy bez żadnych konsekwencji. W trylogii „Hobbit” w reżyserii Petera Jacksona sceny akcji przypominały ujęcia z platformowych gier wideo, z postaciami łamiącymi prawa fizyki i koszącymi wrogów niczym łany zboża. Z kolei seria „Szybcy i wściekli” weszła już w fazę „odlotu”, gdzie samochody funkcjonalnie bardziej przypominały statki kosmiczne, a bohaterowie nawet nie ukrywali, że sprawnością i niezniszczalnością różnią się czymkolwiek od Supermana czy Thora. Widownia potrzebowała odtrutki na uderzającą w nich z ekranu orgię efektów specjalnych.

Odpowiedzieli na to Chad Stahelski i David Leitch, którzy od 1997 r. pracowali wspólnie jako 87eleven, czyli firma specjalizująca się w kaskaderce. Dla nich oraz znanego im dobrze z innych projektów Keanu Reevesa „John Wick” miał być popisem profesjonalnych umiejętności. Łatwo sobie wyobrazić, że mogli traktować tę produkcję jako reklamę samych siebie, która – nawet w wypadku klapy kinowej – pomogłaby ich firmie zdobywać kolejne zlecenia. Bo tym jest „John Wick”: sekwencją niesamowicie skomplikowanych i efektownych scen akcji, w których ekipa popisuje się zestawem różnorodnych umiejętności, kręci to zazwyczaj w szerokich kadrach, z często nieruchomą lub płynnie poruszającą się kamerą, z jak najmniejszą liczbą cięć. Tam, gdzie inni zwykli uciekać w frenetyczne ruchy kamery i niezliczone cięcia, by ukrywać mankamenty tego, co kręca, Leitch i Stahelski chętnie się wiarą w umiejętności swojej ekipy, dbając o widoczność każdego szczegółu. W niedawnym wywiadzie dla „Wired” ten drugi powiedział: „Nie jesteśmy przeciwni efektom specjalnym. Mamy natomiast problem z tym, gdy używa ich się, by ukrywać braki w kreatywności”. Jeżeli natomiast można czegoś odmówić tytułowemu bohaterowi ich filmów, to nie był tym brak kreatywności w zabijaniu. ►

► Realizm, dopracowane choreografie, długie ujęcia i szerokie kadry w kolejnych latach stawały się nową normą kina akcji, co było największą zmianą jakościową od czasów „Tożsamości Bourne’a” (2002 r.) w reżyserii Douga Limana (któremu to filmowi zawdzięczamy m.in. odmienionego Bonda w „Casino Royale”, 2006 r.). Częściowo zmiany te rozlewały się szeroko dzięki wysiłkom samych Leitcha i Stahelskiego. Ten drugi kręcił kolejne odsłony serii o „Johnie Wicku” (2017, 2019 i 2023 r.), a ten pierwszy zaczął od „Atomic Blonde” z Charlize Theron, potem przeszedł do „Deadpoola 2”, wprowadził nawet trochę realizmu do serii „Szybcy i wściekli”, kręcąc „Hobbsa i Shawa” z Dwaynem „The Rockiem” Johnsonem i Jasonem Stathamem. W ubiegłym roku premierę miał jego „Bullet Train” z Bradem Pittem.

Charlize Theron w rozmowie z POLITYKĄ nie miała wątpliwości, że podczas pracy z Leitchem brała udział w tworzeniu nowych ekranowych standardów: „Z prac nad »Atomic Blonde« pamiętam, że gdy miałam twarz pokrytą siniakami, naprawę niektórym to przeszkadzało – mówiła. – Tłumaczyłam im, że przecież dopiero co walczyłam z siedmioma facetami w ciasnym korytarzu, a oni na to, że jasne, chcą oglądać takie sceny



David Leitch i Chad Stahelski, byli kaskaderzy, dziś w roli reżyserów i twórców serii „John Wick”.

walk, ale już nie efekty tego starcia na moim ciele. Ja się jednak upierałam, bo przecież moja bohaterka walczyła z nimi wręcz, nie mogliśmy więc oddzielić tych scen od ich konsekwencji. Ostatecznie, gdy film trafił do kin, chwalono właśnie świeżość tego podejścia do postaci kobiecej i jej obrażeń, w opozycji do standardu, czyli maźnięcia brudu gdzieś na policzku bohaterki albo małej blizny, która tylko dodaje jej uroku”.

## Życzenie śmierci

Fala zmian rozlewała się coraz szerzej. Gdy w 2018 r. podjęto próbę „odświeżenia” historii słynnego łucznika w filmie „Robin Hood: Początek” z Taronem Egertonem, twórcy nie ukrywali, że Robin ma robić z łukiem to, co Wick z pistoletem. Podobnie, gdy nasz swojski Geralt walczył z bandą Renfri w Blaviken w pierwszym odcinku „Wiedźmina” (Netflix), w tym, co z mieczem wyczyniał Henry Cavill, więcej było z Wicka, niż z tego, do czego wcześniej przyzwyczajało nas ekranowe fantasy.

Również w Polsce doczekać się mamy odpowiedzi na ten trend – prezentowane przez Netflix materiały z filmu „Dzień matki” (2023 r.), na których Agnieszka Grochowska przechodzi rygorystyczny trening sprawnościowy, sztuk walki i szkolenie strzeleckie, jako żywo przypominają zakulisowe przebitki z „Johna Wicka” czy „Atomic Blonde”.

Kolejnym beneficjentem zjawiska okazał się Tom Cruise, którego flagowa seria, „Mission: Impossible” przeżywała kilkanaście lat temu kryzys. Jeszcze w 2006 r. „Mission: Impossible III” nie

było w stanie przebić granicy 400 mln dol. przychodu, podczas gdy 5 lat później „Ghost Protocol” niemalże podwoiło ten wynik, a „Fallout” z 2018 r. jeszcze go wyrubował. Z każdym kolejnym filmem jego gwiazda i zarazem producent, czyli Cruise, szokował świat coraz bardziej wymyślnymi i niebezpiecznymi wyczynami kaskaderskimi, które koniecznie musiał wykonywać sam i które sprawiały wrażenie, jakby aktor chciał zginąć w najbardziej efektywny sposób.

Matt Damon, odtwórca roli Bourne’a, wspomina rozmowę z Cruise’em, w czasie której zapytał go o nagraną do „Ghost Protocol” scenę wspinaczki po najwyższym budynku świata, Burdż Chalifa w Dubaju. Podekscytowany gwiazdor miał wyznać, że marzył o nakręceniu czegoś takiego od lat. I że gdy spec od bezpieczeństwa na planie powiedział mu, że absolutnie nie może tego zrobić, bo to zbyt niebezpieczne... natychmiast zwolniono go i zastąpiono kimś, kto był bardziej chętny przytaknąć Cruise’owi. Z kolei w „Rogue Nation” aktor podnosił poprzeczkę sekwencją, w której wisiął uczepiony drzwi startującego samolotu.

Choć do premiery nowej części, „Mission: Impossible – Dead Reckoning Part One”, jeszcze kilka miesięcy, już teraz udostępniono materiały zakulisowe, na których widać Toma Cruise’a, tym razem próbującego zginąć w trakcie skoku ze spadochronem, który wykonuje na motorze, na którym wybija się z rampy wiszącej nad przepaścią.

Również olbrzymi sukces zeszłorocznego „Top Gun: Maverick” w dużej mierze opierał się na narracji, że wszystkie niesamowite popisy lotnicze, które mogliśmy oglądać na ekranie, kręcono naprawdę. Blisko 1,5 mld dol., które ten hit przyniósł, jasno pokazuje, że te zabiegi filmowe widzownia świetnie rozumie.

## Świat Wicka

Wspólnym wysiłkiem Tom Cruise i Keanu Reeves uratowali kino akcji. Oraz zawód kaskadera. Ten pierwszy powiększa przy tym majątek, a ten drugi – przeżywa nową zawodową młodość. Po latach odgrzewa nawet dawne role, kręcąc kontynuacje filmów, które jeszcze do niedawna nie interesowały żadnego producenta w Hollywood: „Bill i Ted ratują wszechświat”, „Matrix Zmartwychwstania” (tu historia jest bardziej złożona, ale odświeżony status Reevesa jako gwiazdy miał znaczenie) czy planowany sequel ukochanego projektu aktora, „Constantine”, którego jeszcze jakiś czas temu nie mógł się doprosić w Warner Bros.

O ironio, sam „John Wick” z kolei w pewnym sensie zamienia się w to, do czego w opozycji rósł – przed nami bowiem powstanie prawdziwego uniwersum Johna Wicka, w którym obok głównej serii będzie jeszcze film „Ballerina” z Aną de Armas i serial „The Continental” platformy Peacock, skupiający się na eksplorowaniu niezwykłego podziemia płatnych zabójców, rozwijanego wraz z każdą kolejną odsłoną serii.

Można się zastanawiać, gdzie są ostateczne granice. Czy Cruise w końcu trafi na coś, co go przerosnie? Czy po kolejnej krwawej jatce John Wick zazna spokoju, którego pragnie od pierwszej części swoich przygód? A może wszystko dokona się jak zwykle głosami widzowni, która najpierw zachłysłą się superbohaterami, potem zaczęła szukać realizmu, a teraz, przysypana łuskami nabojęw, znowu ucieknie w lżejsze, mniej intensywne historie. Jedno jest pewne – chociażby stanie się z kinem akcji, Sylvester Stallone i grupka jego kumpli z siłowni będą czyhać, by wyruszyć w kolejną tym-razem-już-ostatnią akcję. We wrześniu tego roku, po niemalże dekadzie przerwy, Sły i spółka powrócą w „Niezniszczalnych 4”. Kolejna niemożliwa rzecz stała się możliwa dzięki podbojom Johna Wicka.

MARCIN ZWIERZCHOWSKI



# BEETHOVEN

— i szkoła holenderska TRYPTYK BALETOWY

Hans van Manen  
GROSSE FUGE  
Ted Brandsen  
EROICA VARIATIONS  
Toer van Schayk  
SIÓDMA SYMFONIA



PREMIERA: 18/05/2023 SPEKTAKLE: 19, 20, 21/05; 2, 3, 4/06/2023

Mecenas Teatru / Partnerzy Akademii Operowej

Partnerzy

Partner technologiczny

Patroni medialni

Partner medialny



# Podwyżki na żywo

Branża koncertowa nie notowała jeszcze w historii równie dobrych wyników. I nigdy nie miała tak złego wizerunku.

BARTEK CHACIŃSKI

**W**arszawski PGE Narodowy słynie z tego, że słabo tam słyhać. Tymczasem organizatorzy jednego z hitów sezonu, sierpniowego koncertu The Weeknd, wprowadzili do sprzedaży bilety na miejscach, z których również nie widać. To nie żart primaaprilisowy. Zresztą odpowiedzialna za ten występ firma Live Nation bilety na rzędy krzesełek na tyłach sceny

sprzedawała na długo przed 1 kwietnia. I choć spotkało się to z mnóstwem ironicznych komentarzy, usługa cieszy się zainteresowaniem. Zapowiada ją zresztą szczere hasło: „brak widoku – tylko dźwięk”. A jej cena to (w bazowej wersji) 221 zł, choć sprzedawca ostrzega, że do każdego zamówienia doliczy 20 zł. W wersji souvenir czeka nas jeszcze 10 zł dopłaty za bilet z kolorowym nadrukiem, a w wersji collector (karta ze smyczą) – 30 zł dopłaty.

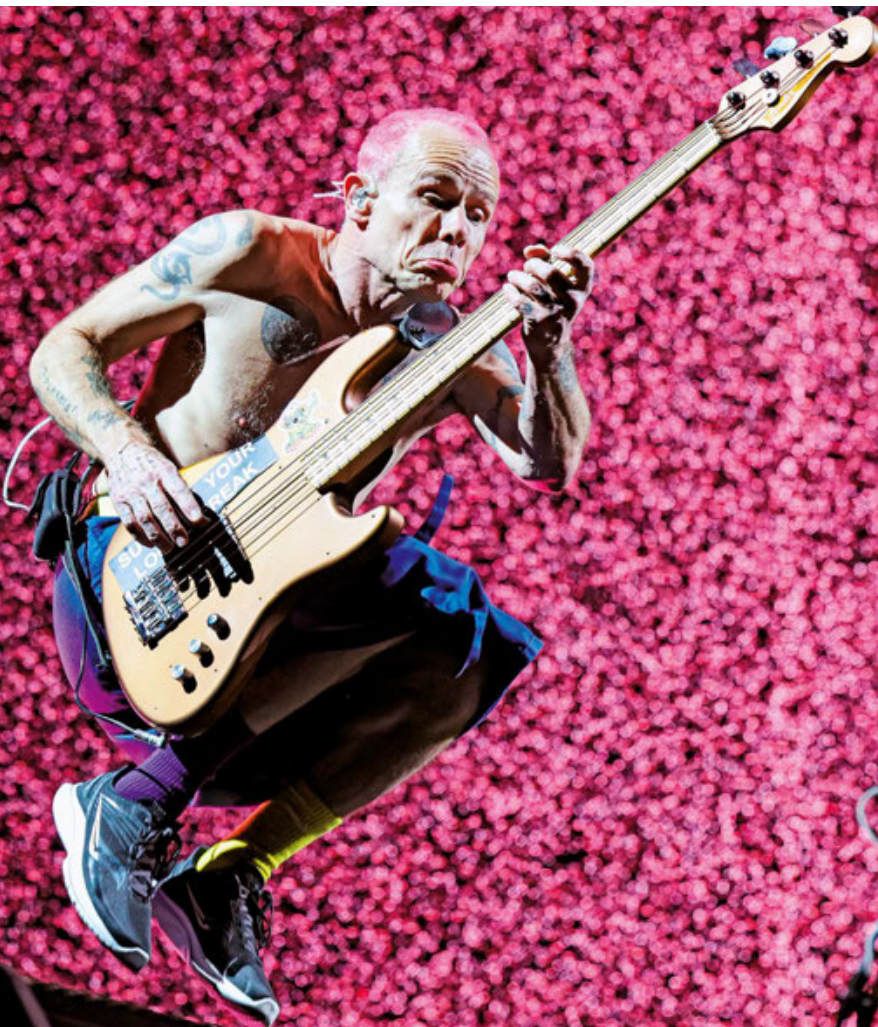
Wniosek? Ludzie są w stanie zapłacić dużo, żeby coś poczuć – bo oczywiście różne inne wrażenia związane z obcowaniem w wielotysięcznym tłumie fanów cena biletu gwarantuje – i jeszcze dorzucić trochę drobnych, żeby zachować pamiątkę z wydarzenia.

Dominującym wrażeniem ostatnich kilkunastu miesięcy, gdy wypożyczona branża zaczęła odrabiać straty po dwóch sezonach covidowych, jest jednak to, że koncerty wielkich gwiazd stały się dobrem jeszcze bardziej luksusowym. Zwykle bilety na koncert The Weeknd z miejscami stojącymi na płycie stadionu to koszt 976 zł. Przynajmniej gdy oddajemy do druku ten tekst, bo cena jest – o czym za chwilę – dynamiczna.

## Drodro promotorzy

Firma Live Nation to gigant rynku koncertowego z umowami na wyłączność z wieloma spośród największych światowych gwiazd, a w USA – z pozycją praktycznie monopolistyczną, bo jako

Flea, basista Red Hot Chili Peppers, tegoroczny koncert w Las Vegas.





koncern Live Nation Entertainment jest też właścicielem największego elektonicznego systemu sprzedaży biletów, Ticketmastera. Po fuzji, do której doszło w 2010 r., Ticketmaster kontroluje ok. 70 proc. amerykańskiego rynku biletów i przestrzeni w tamtejszych halach widowiskowych.

Także w Polsce jest to dominujący promotor koncertowy, jeśli weźmie się pod uwagę światowe gwiazdy grywające trasy w wielkich halach i na stadionach. W tym roku są wśród nich m.in. Beyoncé (aktualnie ceny biletów na PGE Narodowy: 1114 zł na płycie, 14 266 zł za najlepsze miejsca VIP – to nie błąd w druku, ceny biletów specjalnych bywają już pięciocyfrowe), Red Hot Chili Peppers (aktualnie 815 zł za stojące miejsce na płycie, 1476 zł za pakiet VIP) czy Depeche Mode (od 873 zł za zwykle miejsce stojące).

Na rynkach lokalnych Live Nation potrafi dyktować ceny, o czym przypomina sobie co rusz polska publiczność, która do uprzywilejowanych nie należy. Tańsze bilety niż na majowy koncert Petera Gabriela w krakowskiej Tauron Arenie można było (lub wciąż można) kupić we Włoszech, Szwajcarii czy w Holandii. Z kolei bilety na kwietniowy koncert Damiena Rice'a w Krakowie należały do najdroższych na trasie (od 165 do 440 zł). Dużo taniej występ irlandzkiego artysty można było zobaczyć w Budapeszcie (od ok. 60 do 250 zł) i Czechach (do ok. 275 zł), przy czym tam jego koncerty organizowano w bardziej kameralnych salach.

Polska publiczność ma spore ambicje i wysoką tolerancję na ceny zagranicznych gwiazd (mniejszą w wypadku polskich, o czym świadczyły krytyczne komentarze dotyczące cen biletów na zeszłorocznej trasie „Bankiet u Sanah”, rozpoczynających się od 359 zł). Ale sama Live Nation, by to ująć najdelikatniej, nie ma wśród polskich fanów dobrej opinii. Skarżą się na słabą obsługę klienta i nieklarowną politykę informacyjną. Ostatnio drwiny wywołała kampania internetowa, w ramach której majowy koncert grupy Yes firma reklamowała ogłoszeniami z nazwiskiem Alana White'a, choć muzyk nie żył już od prawie roku.

Sfrustrowani przeciwnicy LN założyli grupę facebookową „Nie jaram się Live Nation Polska”, którą firmuje zmodyfikowane logo koncernu: „Lie Nation” (od ang. *lie* – kłamstwo). A zorganizowane protesty wybuchały po przerwaniu występu Morrissey'a w Warszawie, kiedy fanom oczekującym zwrotu pieniędzy za bilet zaoferowano bon zniżkowy o wartości 25 zł na inne imprezy, oraz

po wprowadzeniu do sprzedaży droższej kategorii biletów GCEE (golden circle – early entrance) umożliwiających wcześniejsze wejście pod barierkę dla zamożniejszych – interweniowali wtedy polscy fani Depeche Mode (pisaaliśmy o tym w POLITYCE 35/13). Formy sprzedaży dzielące widownię na grupy lepsze i gorsze od początku budziły zresztą sprzeciw fanów, ale i tak weszły na stałe do katalogu usług. A ceny biletów rosły – dziś te najtańsze na Depeche Mode są w cenie najdroższych sprzed dekady. Bo LNE to komercyjna firma notowana na nowojorskiej giełdzie papierów wartościowych, a nie organizacja charytatywna. Choć gdy polski rząd ogłosił program pandemicznego wsparcia branży z pieniędzy podatnika, czyli słynny już Fundusz Wsparcia Kultury, Live Nation Polska – rodzima filia koncernu – zgłosiła się do konkursu, otrzymując niebagatelną sumę 2 mln zł.

### Dasz, ile masz

Kto śledził giełdowe notowania Live Nation Entertainment, zaobserwował po wybuchu pandemii ciekawe zjawisko: cena akcji najpierw gwałtownie spadła, a później rosła w miarę wykrwawiania się słabszej konkurencji. Wprawdzie koncern odnotowywał straty, a przyszłość branży była niepewna, ale sama perspektywa powrotu do biznesu po dwóch chudych latach okazała się zachętą dla inwestorów. Akcje LNE historyczne maksimum osiągnęły w lutym 2022 r., czyli u progu pierwszego po przerwie „normalnego” roku koncertowego. Prognozy giełdowe były o tyle słuszne, że apetyt na występy live urósł – rok okazał się dla branży (co potwierdza także polska konkurencja LNE, z którą rozmawialiśmy w podkaście POLITYKI) rekordowy. Koncern zamknął go z rocznym dochodem w wysokości 16,7 mld dol.

Jednym z kół zamachowych tych wzrostów była wspomniana już dynamicznie kształtowana cena biletów. Chodzi o praktykę uzależniania ceny od aktualnego zainteresowania. Im większe, tym drożej. Firma tłumaczy to koniecznością walki z wtórnym rynkiem, na którym błyskawicznie wyprzedane bilety krążyły w astronomicznych cenach. Wojnę z tym procederem, który dziś polega na rezerwowaniu wejściówek przez boty, podjęto jednak metodą samych koników: sprawiając, że bilet jest wart tyle, ile są w stanie w danym momencie zapłacić zdesperowani klienci. A bilet z podwyższającą się w wyniku zainteresowania ceną potrafi – jak się szybko okazało – zyskać nienotowane dotąd wartości. ►

REKLAMA

# DOWIEDZ SIĘ CO KRYJE SIĘ W UMYŚLACH MORDERCÓW...



## BESTSELLER TRUE CRIME



# Feeria

WYDAWNICTWO  
science

► Skandal wybuchł latem ubiegłego roku, gdy za wejściówki na jeden z amerykańskich koncertów Bruce'a Springsteena trzeba było płacić ponad 5 tys. dol. Na nic zdały się tłumaczenia, że takie ceny dotyczyły tylko drobnego wycinka widowni, na artystę, który dotąd słynął z troski o fanów i zdrowej polityki biletowej, wylała się krytyka.

W terminologii polskiego oddziału LNE ta innowacja nazywa się „oficjalny bilet platinum”. I towarzyszy jej zastrzeżenie, które w naszej wersji brzmi tak: „Bilety te mogą różnić się od siebie ceną zależną od popytu, podobnie jak bilety lotnicze czy pobyty w hotelach”. Problem w tym, że usługi hotelowe czy lotnicze podlegają zasadom wolnej konkurencji. A na rynku koncertowym problem jest bardziej złożony – jeśli Bruce Springsteen czy Depeche Mode wybiorą sobie Live Nation jako promotora koncertowego, nikt inny nie zaoferuje ich konkurencyjnych występów w danym sezonie.

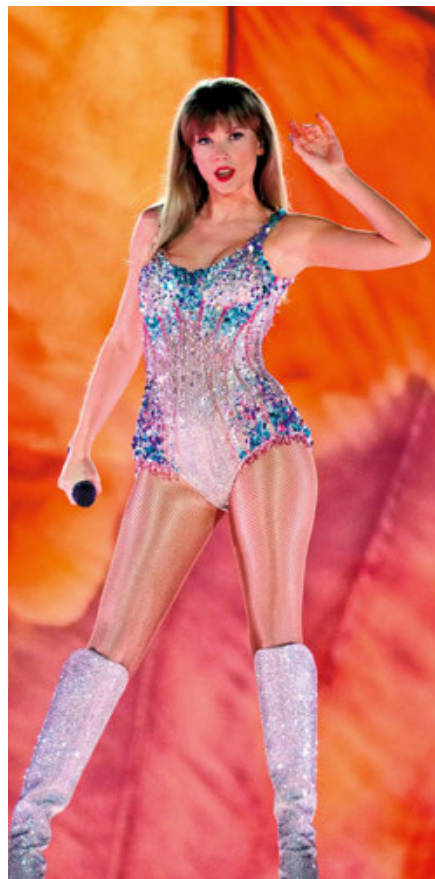
Rozgorzała przy okazji Springsteena dyskusja o cenach biletów i fanowskich emocjach trwa od wielu miesięcy. Pod koniec marca włączył się do niej Neil Young. 77-letni rockman, występujący coraz częściej w roli sumienia show-biznesu. Na swój pierwszy koncert po pandemicznej przerwie wybrał charytatywną imprezę w Los Angeles połączoną ze zbiórką pieniędzy na pomoc ludziom w spektrum autyzmu. I skończył, wróżąc zmierzch koncertowego rynku: „To już koniec pewnej epoki. Dostaję listy obwiniające mnie za bilety po 3 tys. dol.” – komentował szybko wywindowane ceny za wejście. – „Te pieniądze nie idą ani do mojej kieszeni, ani na szczytny cel. Zmartwieniem artystów są dziś fani oszukiwani przez dopłaty sprzedażowe firmy Ticketmaster albo przez koników”.

Pojedynczy artyści zaczęli w tej sprawie interweniować, próbując zagwarantować preferencyjne bilety dla fanów, którzy poddadzą się żmudnemu procesowi rejestracji. Do chlubnych wyjątków należy Robert Smith, lider The Cure, który nie zgodził się na udział w systemie sprzedaży biletów z dynamicznie kształtowaną ceną, bo sam system jego zdaniem „zakrawa na kant”. Wynegocjował z tandemem Live Nation i Ticketmaster specjalną niższą cenę biletów dla zweryfikowanych fanów na amerykańskiej trasie. Dość atrakcyjną, bo wynoszącą 20 dol. Cóż z tego, skoro w sieci natychmiast pojawiły się odcinki potwierdzeń sprzedaży – do owych 20 dol. Ticketmaster doliczył 11,65 dol. opłaty serwisowej, 10 dol. opłaty za korzystanie z obiektu i na końcu

jeszcze drobną (acz uciążliwą i często zupełnie niespodziewaną, co wie każdy, kto kupował bilet w wersji elektronicznej) opłatę za przetwarzanie zamówienia. Dopłaty sprzedażowe przewyższyły więc cenę samego biletu! „Wzbudza to we mnie odrazę” – skomentował Smith i zamiast przygotowywać trasę, negocjował z koncernem kilkudolarowe zwroty dla poszkodowanych fanów, próbując powstrzymać kryzys wizerunkowy.

### Widownia jako partia

Skutkiem tej koncertowej hossy są bowiem sukcesy niepostrzeżenie zamieniające się w katastrofy. O czym najdobitniej przekonuje przypadek Taylor Swift. Dla tej niekwestionowanej supergwiazdy muzyki pop okres pandemiczny okazał się wyjątkowo trudny w sferze koncertowej. Musiała pauzować po wydaniu trzech bestsellerowych płyt, więc na rok 2023 zapowiedziała trasę, jakiej jeszcze nie było – The Eras Tour, przegląd wszystkich jej dotychczasowych wcieleni w 10 aktach, łącznie ponad 40 piosenek. Gigantyczne tournée z kilkudziesięcioma stadionowymi koncertami w Ameryce



Taylor Swift podczas amerykańskiej trasy koncertowej „The Eras Tour”

na dobry początek. Chciała grać fair, więc nie skorzystała z opcji biletów „platinum” (co szybko wyśrubowałyby ceny), za to zaoferowała rozbudowany program przedsprzedaży dla fanów. Ci mogli się rejestrować przez kilka dni, ale gdy 15 listopada sprzedaż ruszyła, zainteresowanie było tak wielkie, że system online nie był w stanie obsłużyć ruchu i firma Ticketmaster przerwała sprzedaż. Gregory B. Maffei, prezes zarządu Live Nation, informował, że byli przygotowani na 1,5 mln zarejestrowanych fanów, a zgłosiło się 14 mln osób, które „mogłyby zapełnić 900 stadionów”. Przepraszam nie było końca, także ze strony Swift, choć ta tłumaczyła się zapewnieniami Live Nation, że są w stanie sprostać zadaniu.

Tak wielka grupa sfrustrowanych klientów skarżących się na złe praktyki giganta (w tym wypadku w skargach pojawiały się sugestie oszustwa i zмовy cenowej) to już nie problem na kolumny z rozrywką. To poważna siła polityczna. Temat podjęły więc w USA najważniejsze tytuły prasowe, Departament Sprawiedliwości rozpoczął dochodzenie antymonopolowe, doszło też do przesłuchań zarządu Live Nation w amerykańskim senacie. Zauważano, że Stany Zjednoczone powinny już dawno coś zrobić z monopolem Live Nation i Ticketmastera – a warto przypomnieć, że protestowali przeciwko niemu lata temu sami artyści. Bruce Springsteen sprzeciwiał się połączeniu obu firm w 2009 r., a członkowie Pearl Jam już w 1994 r. (!) przed Kongresem Stanów Zjednoczonych ostrzegali, że Ticketmaster staje się niebezpiecznym monopoliście, bo podpisuje z wielkimi halami wyłączne umowy na sprzedaż biletów.

„Żeby mieć silny system kapitalistyczny, potrzebujemy konkurencji” – mówiła podczas przesłuchań demokratka Amy Klobuchar, przewodnicząca senackiej komisji antymonopolowej. – „O czym na nieścieście w tym kraju wiemy aż za dobrze”. Te ostatnie słowa były zresztą zgrabnym nawiązaniem do przeboju Swift „All Too Well”. Gdzie popełniono błąd? Gdyby, jak twierdzi Klobuchar, kilkanaście miliardów dolarów wpompować podczas pandemii jako pomoc w rynek mniejszych firm koncertowych, LNE nie byłoby dziś tak wielkim problemem.

Bo jeśli wrócimy do tych zaskakujących wzrostów giełdowych – to właśnie taką sytuację obstawiali gracze giełdowi. Wzrost monopolistycznej pozycji LNE wobec całej słabnącej konkurencji. Dziś przekonują się o tym fani na całym świecie. Tylko że ta wiedza okazuje się dość kosztowna.

BARTEK CHACIŃSKI





Gary Oldman jako Jackson Lamb  
w serialowej ekranizacji „Kulawych koni”.

# Wszyscy jesteśmy trybikami

Szpiegowanie stało się bardzo zwyczajne. Żyjemy w epoce nieustannego nadzoru. Poziom paranoi rośnie i podświadomie myślimy o tym, jak przed tym uciec – mówi brytyjski pisarz Mick Herron, autor popularnych powieści szpiegowskich o Jacksonie Lambie.

**JAKUB DEMIAŃCZUK: – Ostatnie lata to burzliwy okres nie tylko w historii Wielkiej Brytanii, lecz całego świata. Czy łatwiej pisze się szpiegowską fikcję w niespokojnych czasach?**

**MICK HERRON:** – Niestety tak. Rzeczywistość dostarcza autorom paliwa. Zawsze pisałem z myślą, że polityka jest istotnym tłem moich powieści, ale od czasu brexitu stała się jeszcze ważniejsza, a wojna w Ukrainie sprawia, że jeszcze mocniej odżywają dawne konflikty między Wschodem a Zachodem. Z drugiej strony nigdy nie pisałem w spokojnej politycznej rzeczywistości, więc brakuje mi tego porównania.

**Gdy dziś patrzymy wstecz na 2010 r., kiedy ukazała się pierwsza część cyklu**

**o grupie agentów zwanych Kulawymi Końmi i Jacksonie Lambie, to wydaje nam się, że to były lepsze czasy. Potem nadszedł brexit, Trump, wojna w Ukrainie, polityczny zwrot w stronę prawicy...**

No tak, oczywiście, wszystko jest kwestią perspektywy. Wtedy wcale się nie wydawało, że to spokojny czas, ale dzisiaj jest jeszcze gorzej. Mówiąc cynicznie – i czuję się okropnie, gdy mam coś takiego powiedzieć – dla takiego pisarza jak ja to jest inspiracja. Zwłaszcza to, co dzieje się na świecie od 2016 r., dostarcza tematów, z których jako autor prozy szpiegowskiej mogę sporo czerpać.

**Pierwsza część pańskiego cyklu ukazała się na długo przed tym, zanim**

**torysi w ogóle rzucili pomysł brexitowego referendum. Polskie wydanie czytałem już po brexicie i nie mogłem uwierzyć, jak wiele rzeczy zdołał pan przewidzieć. Podobnie w drugiej części, „Martwych lwach”, przypomniał pan o nieustannym zagrożeniu ze strony Rosji. Może politycy i społeczeństwo powinni uważniej czytać prozę szpiegowską i słuchać tego, co jej autorzy mają do powiedzenia?**

To znów kwestia perspektywy. Raczej nie powinniśmy traktować autorów popularnych powieści jak wyroczni. To, w czym niektórzy z nas są nieźli, to analizowanie teraźniejszości i odsłanianie pewnych zaskakujących rzeczy na jej temat. Często polega to na tym, że przyglądamy się przeszłości i wyciągamy wnioski, a cykliczna natura rzeczy sprawia, że nagle taka czy inna powieść okazuje się w jakimś sensie prorocza. W 2008 r., gdy zaczynałem pisać „Kulawe konie”, niewiele osób wierzyło, że skrajna prawica będzie takim zagrożeniem jak dziś. A z pewnością nie wierzył w to mój wydawca, bo nie chciał już publikować moich kolejnych książek i musiałem poszukać innego wydawnictwa. Jeśli ►

► chodzi o „Martwe lwy”, to tam pisałem o szpiegach w starym stylu, grzebiących w przeszłości, więc musiały tam się pojawić odpryski zimnowojennych napięć między Zachodem a Związkiem Radzieckim. Wszystko, co później działo się w Rosji, potwierdziło jedynie, że ten konflikt nigdy nie wygasł, podobnie jak imperialne plany Moskwy. A przecież ja wcale nie przewidywałem, że coś takiego się stanie. Jestem rozczarowany rosyjską agresją i przerażony tym, co się dzieje w Ukrainie. Jednak nie patrzę na swoje książki jako na coś, co jest pełne politycznej mądrości i przenikliwości. To przypadek. I źle się z tym czuję, bo mój fabularny szczęśliwy traf okazuje się nieszcześciem całego narodu i świata. Jedna z postaci w mojej książce przewidziała brexit w czasie, gdy nie istniało nawet jeszcze to słowo. Wtedy myślałem, że to najgłupsza rzecz, jaką może zrobić Wielka Brytania. Po czym siedem lat później poszliśmy tą najgorszą z możliwych dróg, a ja zacząłem zbierać gratulacje za swoją przenikliwość. Wcale mnie to nie cieszy, bo to była katastrofa.

**A jaki wpływ na tworzone przez pana fabuły będą miały wydarzenia z ostatnich lat? Nie tylko polityczny ferment po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii, lecz także covid.**

Gdy zaczęła się pandemia, kończyłem pisać książkę i – jak wielu innych ludzi – myślałem, że gdy się ukaże, to będzie już po wszystkim. Stało się inaczej, choć sytuacja jest znacznie lepsza niż w pierwszym roku epidemii. Więc nie napisałem książki, której akcja toczy się np. podczas lockdownu, choć pewne elementy covidowej rzeczywistości, takie jak maski czy szczepienia, będą w niej obecne, bo stanowią opis naszego codziennego świata. Natomiast zamieszanie po brexicie oczywiście jest inspiracją dla mojej prozy. To wydarzenie, które nie tylko wywołało polityczne trzęsienie ziemi, lecz także jest odpowiedzialne za zmiany społeczne, kryzys gospodarczy, fatalną sytuację kraju. Oczywiście rząd torysów się do tego nie przyzna – będą nieustannie zwać winę na pandemię, wojnę w Ukrainie, na cokolwiek, by odwrócić uwagę od swojej winy. Więc myślę, że to kwestia, która będzie długo wracać w moich książkach, choć pewnie jako tło, a nie ich główny temat.

**Każdy z najśłynniejszych brytyjskich pisarzy powieści szpiegowskich znał tajemnice wywiadu z własnego doświadczenia. W. Somerset Maugham, Graham Greene, John le Carré, Ian Fleming. Więc może te przenikliwe**



© DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES

**Mick Herron** (ur. 1963 r.) – brytyjski pisarz, autor powieści o Jacksonie Lambie (znanych także jako cykl o Slough House), których bohaterami są szpiedzy nieudacznicy, pracujący na marginesie oficjalnych działań brytyjskiego wywiadu. Cykl doczekał się udanej ekranizacji, zrealizowanej na zamówienie serwisu Apple TV+. W Polsce ukazały się do tej pory cztery tomy serii. Piąty, „Londyńskie zasady”, ukaże się 26 kwietnia nakładem wydawnictwa Insignis.

**fabuły biorą się stąd, że i pan jest szpiegiem, tylko w tak głębokiej konspiracji?**

To musiałaby być tak głęboka konspiracja, że nawet ja sam o niej nie wiem.

**Może jakieś słowo klucz pana aktywizuje?**

A tu już wkraczamy do uniwersum Philipa K. Dicka – szpieg, którego pamięć została tak zmodyfikowana, żeby nie wiedział, że jest szpiegiem. Mam nadzieję, że pewną świeżością, którą wnoszę do prozy szpiegowskiej, jest świadomość pewnego rodzaju zamiłowania służb specjalnych do pracy biurowej. Wszyscy szpiedzy w moich książkach pracują w biurze. Takie jest też moje doświadczenie życiowe. I ta polityka, która rozgrywa się nie tyle w działaniu, ile za biurkami, jest znaczącą częścią tego, co piszę. Ale sam nigdy nie byłem członkiem żadnej organizacji wywiadowczej, nie brałem udziału w tego rodzaju operacjach.

Po prostu czytam dużo, oglądam te same filmy, co wszyscy i od zawsze fascynowała mnie szpiegowska fikcja.

**Inspiruje się pan klasyką, pisząc jednocześnie w kontrze do niej. Jackson Lamb, główny bohater pana powieści, genialny szpieg i jednocześnie odpychający abnegat, jest przeciwieństwem George’a Smileya z książek Le Carrégo. Pańscy szpiedzy to w większości przypadków nieudacznicy, ledwo radzący sobie w życiu.**

To Gary Oldman – który grał obu bohaterów – widzi w Lambie anti-Smileya. Ja nigdy nie definiowałem tej postaci w podobny sposób. Nie oglądałem się na powieściowe stereotypy, to był po prostu człowiek, jakiego chciałem opisać. Nie tworzę w kontrze do czegośkolwiek. Nie sądzę, żebym był w opozycji do całego gatunku czy do konkretnych autorów. Staram się raczej przekuć swoje słabości w zalety. Piszę tak, żeby podkreślić to, na czym się znam. Dlatego skupiam się tak często na pozaszpiegowskim życiu moich bohaterów. Nie jestem na tyle mądry, żeby stworzyć tak błyskotliwą postać jak George Smiley, więc tworzę pierdzącego gbura, jakim jest Jackson Lamb, bo to potrafię zrobić.

**Skoro o Oldmanie mowa... „Kulawe konie” doczekały się bardzo udanej ekranizacji telewizyjnej. Serial wiernie adaptuje treść książki, ale czy wpłynął na pana pracę nad kolejnymi powieściami?**

To się dopiero okaże. Ostatnich 18 miesięcy spędziłem, pracując nad innym projektem i dopiero teraz zaczynam pisać nową powieść o Slough House – pierwszą od czasu, kiedy obejrzałem serial. Który swoją drogą jest znakomity, a zwłaszcza świetnie obsadzony. Więc jeśli jakoś wpłynie na moją pracę, to zapewne ją ułatwi: teraz, gdy myślę np. o scenach z udziałem Rivera Cartwrighta, mam cały czas przed oczami Jacka Lowdena, który gra go w serialu. Ale to mi pomaga, bo zazwyczaj nie piszę z myślą o konkretnych obrazach.

**O Jacksonie Lambie napisał pan jednak w pierwszej części: „Mówiono, że przypomina Timothy’ego Spalla, tyle że z brzydszymi zębami”.**

Co mogę powiedzieć... To było zdanie, które, ot tak, wpadło mi do głowy i od tamtej pory mnie prześladowa. Myślę, że mógłbym tam umieścić nazwisko z tuzina charakterystycznych aktorów. Żałuję, że nie napisałem „Gary Oldman”, ale za późno, żeby to poprawić.

**A czy Timothy Spall kiedykolwiek zareagował na te słowa?**



Nie, przynajmniej nie bezpośrednio wobec mnie. Mam nadzieję, że jeśli czytał książkę, to zauważył, że to był hołd dla niego, nic innego.

**Mówił pan o pracy biurowej i już W. Somerset Maugham w „Ashendenie, czyli brytyjskim szpiegu” opisywał pracę wywiadowczą jako ekstremalnie nużące doświadczenie. Gdy poznamy bohaterów „Kulawych koni”, oni rzeczywiście siedzą za biurkami, przekładają papiery, albo – jak River Cartwright, jeden z głównych bohaterów serii – dosłownie grzebią w śmieciach. Ale gdy już działają w terenie, to pan zderza tę biurową monotonię z naprawdę ekscytującą akcją. Jak udaje się panu zachować tę równowagę między nudą a rozrywką?**

Lubię podkreślać zwyczajność moich postaci. Oni wszyscy są do pewnego stopnia wyszkolonymi szpiegami, lecz wielu z nich nie było szkolonych, by robić coś więcej niż prace biurowe. Nie mają własnej zbrojowni ani żadnych technicznych gadżetów, bo taka jest natura Slough House, departamentu od najnudniejszych zadań, do którego ludzie zsyłani są za karę. Więc gdy opisuję sceny akcji, muszę im dać takie narzędzia, jakimi mogą dysponować. Ścigają samochody na rowerach, nie mają żadnych helikopterów ani jet-paków w stylu Jamesa Bonda. Zresztą nie wiedziałbym, jak coś takiego wykorzystać w powieści. Nie umiem latać helikopterem, więc nie potrafiłbym wiarygodnie opisać kogoś, kto posiada taką umiejętność. Gdy River wsiada do awionetki, to jako pasażer,

i to z jego perspektywy, opisuję to doświadczenie, lęk, odczucia fizyczne. Nie chcę robić jakiegoś szczegółowego researchu technicznego, nie interesuje mnie to. Unikam sytuacji, w których jest niezbędny, wolę się zastanowić, jak reagowałby bohaterowie w ekstremalnych sytuacjach, ale z ograniczonymi zasobami. Pewnie stąd się bierze to napięcie, bo czytelnikowi łatwiej postawić się w sytuacji moich bohaterów, którzy są tak bardzo zwyczajni.

**Przed serią o Jacksonie Lambie pisał pan kryminały. Czy to prawda, że zdecydował się pan przerzucić na fikcję szpiegowską po zamachach terrorystycznych z 7 lipca 2005 r.?**

Byłem wtedy w Londynie, jechałem do pracy, a moja zwyczajowa trasa przebiegała przez stację Edgware Road, gdzie wybuchła jedna z bomb. Gdybym wybrał się w drogę pięć, dziesięć minut wcześniej, trafiłbym w sam środek tego piekła. Po prostu tam byłem, jak tysiące innych ludzi, więc nie przypisuję temu specjalnego znaczenia, ale rzeczywiście był to jeden z impulsów, które pchnęły mnie w kierunku pisania prozy szpiegowskiej. Wcześniej miałem jakieś niejasne przeświadczenie, że takie rzeczy – zamachy terrorystyczne, związana z nimi potem niepewność, inwigilacja – przytrafiają się innym ludziom, gdzie indziej. Wiedziałem o tym, co się dzieje na świecie, ale Brytyjczycy myśleli, że czas zamachów należy do przeszłości. Jeśli te ataki w Londynie czegoś nas nauczyły, to przypomniały, że każdy może być ofiarą. Wszyscy ludzie na całym świecie są na celowniku. Nie musisz

być zaangażowany w żadną aktywność, wystarczy, że istniejesz. I ta świadomość w jakiś sposób otworzyła przede mną drzwi do literatury szpiegowskiej.

**Możemy być nie tylko celami ataków, lecz także dzięki nowoczesnej technologii możemy być szpiegowani na każdym kroku. I sami stawać się szpiegami, nawet o tym nie wiedząc.**

O tak, szpiegowanie stało się bardzo zwyczajne. Żyjemy w epoce nieustannego nadzoru. Londyn ma jeden z największych systemów monitoringu na całym świecie, więc gdy mieszkasz w tym mieście, automatycznie rośnie twój poziom paranoi i podświadomie myślisz o tym, jak przed tym uciec.

**Proszę sobie spróbować wyobrazić, że jest 2010 r., pański wydawca niezadowolony ze sprzedaży „Kulawych koni” właśnie podziękował panu za współpracę. I nagle pojawia się ktoś z przyszłości i mówi, że za nieco ponad 10 lat będzie pan jednym z najpoczytniejszych pisarzy literatury szpiegowskiej, a na podstawie pańskich książek powstanie serial z Garym Oldmanem i piosenką napisaną specjalnie przez Micka Jaggera. Uwierzyłby pan?**

Niemal na pewno nie. Ale niewiele by to chyba zmieniło. Zawsze pisałem to, co chciałem. Mam mnóstwo szczęścia, że moja kariera tak się potoczyła i odniosłem sukces. Jednak nawet gdybym go nie odniósł, to cały czas starałbym się iść tą samą drogą. Gdybym próbował czegoś innego, czułbym się jak oszust.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA



## Nowy numer FORUM już w sprzedaży!

● Los Europy waży się w Polsce? ● Co ma Tajwan do Filipin ● Muzycy i kibole idą na wojnę ● Jaka jesteś, Paris Hilton? ● Najwyższe fale na świecie ● Dla kogo Dania jest więzieniem ● Hipopotamy zamiast kokainy ● Mniej lekarzy, więcej aptekarzy ● Jaskiniowcy są wśród nas ● Poczci chamów z dyplomem Oksfordu

Zamów prenumeratę drukowaną na: [www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl)

Zamów dostęp cyfrowy na: [www.dwutygodnikforum.pl](http://www.dwutygodnikforum.pl)

# Obrotowy

MARCIN PIĄTEK

**Radosław Piesiewicz** jako prezes Polskiego Związku Koszykówki stworzył system zależności klubów i działaczy od sponsoringu spółek Skarbu Państwa. Opłaca mu się on osobiście, a lada chwila może powielić ten model w Polskim Komitecie Olimpijskim. W o wiele większej skali.

# W

ybory prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego zaplanowano na 22 kwietnia. Radosław Piesiewicz jest przekonany, że ma zwycięstwo w kieszeni. Jego kandydaturę poparła większość przedstawicieli związków zrzeszonych w PKOl. Za rywala ma nieznanego szerzej prezesa

Polskiego Związku Sumo Kewina Rozuma, lat 29. Urzędujący od 2010 r. prezes Andrzej Kraśnicki niespodziewanie zszedł z placu boju. – *Został zaproszony do Pałacu Prezydenckiego, gdzie na spotkaniu w wąskim gronie, z udziałem Andrzeja Dudy, przekonano go, by ustąpił. Uważał prezydenta za swojego stronnika, ale się zawiódł* – opowiada jeden z działaczy.

Kraśnicki ogłosił, że oddaje pole młodszym i bardziej dynamicznym. Przystał też na hojną ofertę: 1 proc. nagrody od wszystkich umów sponsorskich, jakie PKOl zawarł pod jego kierownictwem. Uzbierało się ponad 4 mln zł, co olimpijska rodzina uznała za grubą przesadę, a niektórzy wręcz za przekupstwo, żeby ustąpił pola Piesiewiczowi. Więc Kraśnicki ogłosił, że jednak rezygnuje z premii. – *Najbardziej zaskakujące jest to, że nie pomogło mu nawet poparcie Obajtka [Orlen jest najważniejszym sponsorem PKOl – red.]. Prezes Orlenu okazał się za krótki, gdy w grę wchodził Piesiewicz, czyli protegowany Jacka Sasina* – opowiada rozmówca POLITYKI.

## **Radosław Piesiewicz, rocznik 1981, od 2018 r. sprawuje w polskim баскетcie władzę absolutną.**

Łączy posady prezesa Polskiego Związku Koszykówki oraz zarządzającej rozgrywkami Polskiej Ligi Koszykówki, ignorując zapisy ustawy o sporcie, która mówi, że szef związku sportowego nie może jednocześnie być członkiem organu albo podmiotu świadczącego na rzecz tego związku usługi. Piesiewicza nie sposób nie zauważyć: zwalista sylwetka, starannie wymodelowana fryzura, bokobrody, krzykliwe marynarki i koszule (najchętniej kraciaste), na przegubie ręki zegarek z tarczą wielkości spodka pod filizankę. Energiczny w ruchach i w mowie.

Polsce, nie tylko sportowej, dał się poznać kilka lat temu, gdy po zwycięskim meczu z Chinami na mistrzostwach świata wparował do szatni, ścisnął zawodników i krzyczał – prawdopodobnie pod adresem rywali bądź sędziów – ch... im w d...!!! Były pracownik koszykarskiej centrali: – *To kwintesencja jego osobowości. Zapalczywy, porywczy, wszędzie go pełno. Dla bliskich oraz zaufanych jest serdeczny i pomocny. Ale tych, którzy staną mu na drodze albo ośmielą się kwestionować jego pomysły, taranuje. Funkcjonuje według dewizy: będzie tak, jak postanowiłem, a jeśli się komuś nie podoba, to wyp...ć. Skonfliktował się z Marcinem Gortatem i zamknął drzwi reprezentacji przed kapitanem Adamem Waczińskim, bo ten ośmielił się upominać o prawa zawodników. Działacz z terenu: – Trudny człowiek. Nie przyjmuje jakiegokolwiek krytyki. Jeśli przegrywa w walce na argumenty, zakrzyczy cię albo beczelnie będzie*





wmawiał, że czarne jest białe. Jego metody zarządzania: uzależnić, obłaskawić, a w razie czego zastraszyć. Ludzie aktywnie działający w polskim баскеcie nie chcą o nim mówić pod nazwiskiem, bo nawet jeśli nie są bezpośrednio uzależnieni finansowo od publicznych pieniędzy, to nie chcą zaszkodzić klubowi, np. stronnictwemu sędziowaniu.

**Pomysł Piesiewicza na przejęcie władzy w PKOl jest prosty do bólu:** obiecuje więcej pieniędzy dla związków sportowych. Dziś budżet PKOl to ok. 30 mln, Piesiewicz najpierw zapowiadał, że przyniesie 200 mln, a ostatnio podbił stawkę do 300. Skąd? – *Przed wszystkim ze spółek Skarbu Państwa. Bo dzięki przyjaźni z Sasinem nie ma dla niego spraw nie do załatwienia* – opowiada jeden z członków zarządu PKOl. Znamość Piesiewicza z obecnym ministrem aktywów państwowych, mającym nieograniczony wpływ na dystrybucję pieniędzy ze spółek SP, wyciągnął kilka lat temu na światło dzienne „Newsweek”. W 2012 r. Piesiewicz, prawnik z wykształcenia, dzięki protekcji Sasina wylądował w obsadzonym przez ludzi PiS urzędzie miejskim w Wołominie. Przez dwa lata zarobił tam 170 tys. zł. Jako doradca był również niezbędny wołomińskiemu staroście z PiS – to kolejnych kilka tysięcy miesięcznie. – *Gdy służby badały wątek pożyczki od Piesiewicza dla Sasina w wysokości 8 tys. zł, oficjalnie przeznaczonej na remont schodów, urzędnicy z Wołomina zeznawali, że nie kojarzą kogoś takiego jak Piesiewicz i nie mogą doszukać się w urzędzie żadnych owoców jego pracy* – mówi tamtejszy samorządowiec.

Jednocześnie Piesiewicz działał w biznesie: był większościowym akcjonariuszem spółki Dobra Nasza, notowanej na New Connect, zajmującej się reklamą. Pod koniec 2013 r. Dobra Nasza oznajmiła, że łączy się z radomskim biurem podróży Alfa Star, którego współwłaścicielem był Sylwester Strzylak, działacz siatkarski. Wcześniej Dobra Nasza ledu przedła: ujemny kapitał własny, kilkaset tysięcy złotych straty w rocznym bilansie. Fuzja doszła do skutku, ale w sierpniu 2015 r. notowana już na giełdzie Alfa Star z hukiem upadła, pozostawiając na wakacjach za granicą ponad 1,6 tys. swoich klientów.

Dzięki Strzylakowi Piesiewicz złapał przyczółek w siatkówce, zwłaszcza że jej działacze też szukali kogoś z politycznymi doświadczeniami. Piesiewicz nie tylko jest znajomym Sasina, ale wpłacał też 30 tys. zł na fundusz wyborczy PiS. Gdy zainteresowało się nim CBA – sprawdzano nie tylko wątek pożyczki dla Sasina, ale załatwienie deweloperom pozwoleń na budowy dzięki powoływaniu się na znajomości z posłami PiS – siatkarscy działacze uznali, że bardziej może im zaszkodzić niż pomóc, a poza tym od otwierania politycznych drzwi mieli Ryszarda Czarneckiego, z wielkim parciem na jakiegokolwiek stanowisko w polskim sporcie. – *Piesiewicza to nie zraziło. I z powodzeniem przebił się w koszykówce. Taki typ: jak go wyrzucą drzwiami, wejdzie oknem* – opowiada były pracownik PZKosz.

Jego kandydaturę na prezesa Polskiego Związku Koszykówki wymyślił Grzegorz Bachański, który nie mógł, po dwóch kadencjach w fotelu prezesa, startować ponownie. Jacek Jakubowski, kontrkandydat Piesiewicza w wyborach: – *Bachański powiedział mi wprost, że zmienił się*

Piesiewicz łączy posady prezesa Polskiego Związku Koszykówki oraz zarządzającej rozgrywkami Polskiej Ligi Koszykówki, ignorując zapisy ustawy o sporcie.

układ polityczny, a ja, jako człowiek kojarzony z otoczeniem Grzegorza Schetyny, tylko zaszkodzę. Piesiewicz był słaby merytorycznie, gdy na zjeździe wyborczym zaciął się prezentacja multimedialna, pogubił się kompletnie. Ale pokonał mnie zdecydowanie. Bachański zdołał przekonać delegatów, że liczą się przede wszystkim polityczne doświadczenia. Bachański został na tylnym siedzeniu i zajął się przede wszystkim konserwowaniem wpływów w środowisku oraz zapewnianiem poparcia – kluczowego dla rządów w polskiej koszykówce – środowiska byłych sędziów, z którego zresztą sam się wywodzi.

Piesiewicz obiecał pieniądze i słowa dotrzymał, a to robi w środowisku elektorów PKOl wrażenie. Janusz Jasiński, działacz i sponsor Enei Zastal Zielona Góra: – *Przychodził w katastrofalnym momencie. Liga nie miała sponsora, całkiem realna była perspektywa likwidacji rozgrywek. Potrzebowaliśmy obrotowego, sprawnego organizatora, który załatwi koszykówce pieniądze. A że są to w większości pieniądze spółek Skarbu Państwa? Cóż, kluby szukały stabilizacji finansowej. I to się dla nich przede wszystkim liczy.*

Jedynym znaczącym prywatnym sponsorem jest Suzuki. – *Każdy klub ma do dyspozycji flotę samochodów.*

*To atut w negocjacjach z zawodnikami. Wszystkie kluby dostają też pakiet strojów od 4F oraz prywatną opiekę medyczną dla zawodników* – dodaje Janusz Jasiński. Poza tym niedawno podpisano nowy kontrakt na transmisje meczów w Polsce. Kluby mają ponoć wreszcie dostać jakieś pieniądze do podziału; dotychczasowa umowa oddawała Polsatowi prawa telewizyjne do ligowej koszykówki za darmo.

**Ale główny strumień finansowania zapewniają państwowe spółki:** Orlen, Pekao SA, Energa, Polska Grupa Spożywcza, Totalizator Sportowy. Ważnym partnerem jest też województwo

lubelskie, środki do Polskiej Ligi Koszykówki trafiają z budżetu urzędu marszałkowskiego, gdzie rządzi Jarosław Stawiarski, były wiceminister sportu. Lubelskie jest również od niedawna sponsorem koszykarskiej Ligi Mistrzów (rozgrywek pucharowych drugiego szczebla; najważniejsza jest Euroliga). – *Piesiewicz załatwił sobie posadę doradcy biznesowego w Lidze Mistrzów. I od razu dzięki układowi ze Stawiarskim przyniósł im sponsora* – opowiada osoba dobrze zorientowana w temacie. Pytania wystosowane przez POLITYKĘ do lubelskiego urzędu marszałkowskiego o skalę sponsorskiego wsparcia koszykówki na polskim i europejskim podwórku oraz konkretne efekty reklamowania województwa przy okazji zagranicznych meczów (mierzone choćby zwiększonym ruchem turystycznym) zostały bez odpowiedzi.

Państwowe spółki angażują się nie tylko na koszykarskim poziomie centralnym – w PLK i w PZKosz – ale również utrzymując zdecydowaną większość ligowych zespołów. Czasami łaska się odwraca, zwłaszcza jeśli ktoś się prezesowi narazi. – *Tak było w przypadku Macieja Wiśniewskiego, współwłaściciela klubu z Torunia. Maciej krytykował Piesiewicza, więc dostał propozycję nie do odrzucenia: pakuje manatki z klubu albo straci sponsora, Polski Cukier. No więc się wycofał, ale koniec końców Polski Cukier i tak Toruń opuścił. Przeniósł się do Lublina,* ►

► który za czasów Piesiewicza stał się stolicą polskiej koszykówki. A środowisko wyciągnęło lekcję: kto podskakuje prezesowi, dostanie po łapach i po kieszeni – kontynuuje rozmówca POLITYKI.

Inny działacz: – Dla większości klubów grających w PLK państwowe finansowanie, zapewniane również dzięki wpływowi Piesiewicza, to być albo nie być. Stworzył klientelistski system, jest upojony swoimi wpływami i możliwościami. Ci, którzy nie chcą się do niego łączyć, są traktowani po macoszemu. Niedawno głośno było o rozdziale 8 mln zł z Polskiej Organizacji Turystycznej – kluby występujące w europejskich pucharach miały dostać finansowy zastrzyk za promocję Polski. Pomysł nie wypalił; na dotację w wielkości 750 tys. zł załapała się dziwnym trafem tylko Legia Warszawa. – Nagle głównym kryterium stała się promocja Polski w Izraelu, a Legia akurat grała tam mecz. Ciekawe, że Śląsk Wrocław, który grał w Tel Awiwie parę dni po Legii, mimo starań nie zasłużył na bonus. Gdy jego działacze próbowali interweniować u Piesiewicza, uciął temat, mówiąc, że nie ma na to wpływu. Wystarczyłby pewnie jeden telefon do Sasina. Śląsk jest jednak poza układem, więc Piesiewicz palcem nie kiwnął – twierdzi rozmówca POLITYKI. Prezes Śląska Michał Lizak odmówił komentarza. 750 tys. zł to dla koszykarskiego klubu spore pieniądze. Średni ligowy budżet to ok. 2,5 mln.

### Układ, w którym polska zawodowa koszykowska funkcjonuje dzięki publicznym środkom, jest dla działaczy wygodny:

nie muszą biegać za pieniędzmi z prywatnego biznesu, bez wielkiego wysiłku mają zagwarantowaną stabilizację finansową. – O prywatnych sponsorów coraz ciężiej. Każda z potencjalnie zainteresowanych firm pyta o ekwiwalent reklamowy, o ekspozycję, a ja mam tu coraz mniej do zaoferowania. Na widocznej w telewizji ścianie, na tle której zawodnicy udzielają wywiadów, jest od tego sezonu miejsce tylko dla oficjalnych sponsorów PLK – mówi pracownik marketingu jednego z klubów.

Radosław Piesiewicz krzepnie jako dobry wujek. Pozycja zapewnia mu lukratywne dochody. Nie dość, że na obu prezesowskich stanowiskach zarabia ponoć ok. 70 tys. zł miesięcznie, to jeszcze otrzymuje prowizję od umów sponsorskich, które załatwił. Janusz Jasiński, członek rady nadzorczej PLK, nie widzi w tym niczego niestosownego. – Warunki premiowe prezesa są określone w uchwale rady nadzorczej. Dla mnie jako członka biznesu oczywiste jest, że jeśli ktoś się postara, załatwi kontrakt, przyciągnie finansowanie, którego dramatycznie brakowało, to należy mu się za to premia. Czy zarobki prezesa nie są wygórowane? Adekwatne do tego, co wnosi.

Budżet PLK wzrósł z 9,5 mln w sezonie 2018/19 do 22 mln w sezonie 2021/22. W PZKosz analogicznie: z 29 do 45 mln. Jednocześnie lawinowo wzrosły wydatki na tzw. usługi obce – w PLK to 13,5 mln, a w PZKosz 22,5 mln. Janusz Jasiński, w końcu członek rady nadzorczej PLK, z rozbrajającą szczerością przyznaje, że nie wie, co się pod usługami obcymi kryje. Przedstawiciel jednego z klubów: – Kto na tych usługach zarabia? Żaden delegat ani działacz nigdy o to zarządu oficjalnie nie zapytał. Bo nie chce się narazić. To, że prezes kasuje premię od kontraktów

To, że prezes kasuje premię od kontraktów ze spółkami Skarbu Państwa, które załatwia dzięki znajomości z Sasinem, to skandal – mówi przedstawiciel jednego z klubów.

ze spółkami Skarbu Państwa, które załatwia dzięki znajomości z Sasinem, to wyjątkowy skandal. Ale znów: nikt się nie wychyli, bo dobro klubu itp. W razie czego poplecznicy Piesiewicza mają koronny argument: to dziecko szczęścia, za jego kadencji reprezentacja notuje świetne wyniki, więc o co chodzi?!

Reprezentacja faktycznie była ostatnio na fali: mistrzostwa świata skończyła na ósmym miejscu, a mistrzostwa Europy na czwartym. Zawodnicy grali ofiarnie, skutecznie, a momentami porywająco. I dużo powyżej oczekiwań, bo liga jest na wyjątkowo marnym poziomie: nie eksportuje talentów, w europejskich pucharach polskie kluby zbierają srogie baty (mistrz Polski Śląsk Wrocław właśnie zakończył występy w trzeciorzędnych rozgrywkach EuroCup z bilansem 1–17), ligowe spotkania transmitowane w Polsce mało kogo interesują. Mecze ubiegłorocznego turnieju finałowego o puchar Polski oglądało średnio niespełna 17 tys. widzów.

### W przyciągnięcie wielkiej publiki na mecze reprezentacji, która wreszcie dostarcza emocji na wielkich imprezach, nie wierzy chyba sam Piesiewicz.

Wszystkie mecze ostatnich eliminacji mistrzostw świata, których Polska była gospodarzem, zostały zorganizowane w niewielkiej hali w Lublinie, na dodatek pozbawionej klimatyzacji. W czerwcu ubiegłego roku mecz z Izraelem podczas wyjątkowego upału w ogóle nie powinien się odbyć. Po spotkaniu trener gości grzmiał na konferencji prasowej, że jest w koszykówce od 40 lat, nigdy w tak skandalicznych warunkach nie grał, a wszyscy na parkiecie „pocili się jak świnię”.

Reprezentacja wygrała ten mecz, ale w grupie zajęła ostatnie miejsce i na tegorocznym mundialu nie zagra.

Radosław Piesiewicz najpierw zgodził się na rozmowę, ale odwołał ją w ostatniej chwili. POLITYKA wysłała do niego pytania mailem, za pośrednictwem osoby, która przedstawiła się jako odpowiedzialna za „obsługę medialną Radka”. W odpowiedzi prezes odmówił podania wysokości swoich zarobków oraz zainkasowanych do tej pory prowizji od umów sponsorskich i reklamowych. Zasłonił się również tajemnicą handlową, jeśli chodzi o skalę finansowania PZKosz i PLK przez spółki Skarbu Państwa.

Lawinowy wzrost wydatków na usługi obce? To nic dziwnego, však przychody też wzrosły, poza tym pod tą pozycją figurują m.in. umowy barterowe. Mała i duszna hala w Lublinie jako miejsce rozgrywania prestiżowych meczów reprezentacji? Wybrano ofertę, która była najkorzystniejsza.

Padło również pytanie o to, co ustalono podczas niedawnych spotkań prezesa Piesiewicza w centrali NBA w Nowym Jorku. Wybrał się tam na początku marca, przed kamerą Polsatu zapowiadając, że zamierza rozmawiać o sprowadzeniu imprez NBA do Polski i będzie to początek długotrwałej współpracy. Prezes odpowiedział enigmatycznie, że „rozmowy wciąż trwają”. Bardziej konkretna była Catherine Shefford z wydziału komunikacji NBA. Odpisała: „Nic nam nie wiadomo o takim spotkaniu z kierownictwem ligi”.

MARCIN PIĄTEK



# Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna  
**Kuby Wojewódzkiego**

Santander Bank Polska w nowej kampanii reklamuje promocyjne oprocentowanie na koncie oszczędnościowym. Narratorem w spocie jest aktor Piotr Adamczyk. Coś jednak wisi w powietrzu. Nawet środowiska finansowe wołają nie pokazywać papieża.

Tomasz Lis, znany z walki o wysokie standardy życia politycznego i społecznego, wystąpił w podkaście niejakiego Żurnalisty, którego normy etyczne są elastyczne i zależne od potrzeb. Brawo. Następnie polecam Michała Rachonia. Też podaje się za dziennikarza.

„Doda pokazała się nago i wyznała: Jestem wykończona”. Napisali o tym wszyscy. Od „Dziennika” przez NaTemat po „Party”. Nie dziwię się, że jest wykończona. Stworzenie z mediów fanklubu, który bezrefleksyjnie przepisuje jej Instagram, to męczące zadanie.

W podkaście Onetu Anna Lewandowska wyznała, że jej marzeniem jest – cytuję – „pobzykać się z Robertem na plaży latem w Barcelonie”. To jedno zdanie ma w sobie więcej życia niż film „Lewandowski – Nieznany”. No i całość trwa krócej.

Ambasadorami firmy Reuter.com sprzedającej w internecie artykuły łazienkowe zostało małżeństwo Agnieszka Więdłocha i Antoni Pawlicki. Trudno. Ale jak mówi porzekadło: Jeśli żona czyni cię szczęśliwym i bogatym, to nie jest istotne, czyja to żona.

Bogusław Linda wystąpił w reklamie firmy McDonald's. Aktor tańczy na ulicy, co prowadzi nas do oczywistego wniosku, że kawałek kurczaka jest już w panierce. Czyli też raczej słabo się rusza.

69 proc. Polaków nie uważa, że „Wiadomości” TVP przedstawiają prawdziwy obraz polskiej rzeczywistości. 20 proc. uważa. Żona Einsteina zapytana kiedyś, czy rozumie teorię względności, miała odpowiedzieć: Nie. Ale znam mojego męża i wiem, że można mu ufać.

2 kwietnia z okazji rocznicy śmierci papieża Jana Pawła II w pociągach Pendolino rozdawane były papieskie kremówki. Tego dnia opóźnienia pociągów sięgały 600 lat.

Dyrektor Teatru Kwadrat Andrzej Nejman oskarżony przez pracowników o mobbing, awantury, ubliżanie aktorom i alkohol w czasie pracy pożegna się z teatrem. Władze rozpięły konkurs na to stanowisko. Z opisu jasno wynika, że mogą startować byli duchowni.

Wszystko wskazuje na to, że Paweł Kukiz wystartuje w najbliższych wyborach z list PiS. W „Encyklopedii Polskiego Rocka” pojawi się kolejne hasło zaczynające się od litery k.

Karol Strasburger wyznał w TVN, że poglądy głoszone przez TVP Info nie są mu bliskie i nie zgadza się z nimi. „Szanuję to, co robię, i szanuję ludzi, z którymi pracuję. Nie szanuję tego, co się dzieje”. Brawo. Karol wrócił do swojej słynnej roli Agenta nr 1. Rozbija totalitaryzm od środka.

Sandra Kubicka, od niedawna współpracowniczka TVP, ujawniła, że podczas pobytu w Miami podrywał ją sam Leonardo DiCaprio, ale ona odrzuciła jego zaloty. Od czasu filmu „Titanic” wiemy, że tonący różnie się chwyta.

To byłby hit. Piłkarz Sławomir Peszko miał zmierzyć się w formule MMA z rapperem Malikiem Montaną podczas gali High League. Niestety news okazał się pierwszokwietniowym żartem. Szkoda. Sławek wreszcie zrozumiałby, na czym polega celne trafienie.

Przy okazji odejścia/wyrzucenia Agnieszki Kaczorowskiej z Teatru Tu i Teraz (!?) najbardziej wzruszył mnie news serwisu Plotek: „Agnieszka Kaczorowska od lat spełnia się jako aktorka”. Przypominę. Rolą w jednym serialu. Lubię dziennikarzy, którzy odbierają nam satyrykom narzędzia pracy.

Przemek Kossakowski obronił pracę magisterską na Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Szkoda, że tak późno. Gdyby zrobił to wcześniej, znałby 1. zasadę pedagogiki: żona mi odpowiada, bo mi nie odpowiada.

Akcja PiS na Facebooku „Nie oglądam TVN” przynosi skutki. „Fakty” umocniły się na pozycji lidera programów informacyjnych, a „Teleexpress” stracił 560 tys. widzów. „Teleexpress” powinien, jak Pendolino, rozdawać ciastka. W dniu urodzin prezesa – napoleonki. A Zbyszka Ziobry – ptysie.



© JAN BOGACZ PRASOWA AGENCJA TELEWIZYJNA FORUM

Legenda „Sprawy dla reportera” kopnęła w sędzie Leszka Bubla – donoszą media, przypominając incydent z udziałem **Elżbiety Jaworowicz**. Czyli cała prawda wyszła na jaw. Te nogi potrafią jednak żyć w innej pozycji.

## Kolorowe sny



Jedno z najbardziej znanych przemówień w historii zaczyna się od słów „I have a dream”. Martin Luther King wygłosił je po Marszu na Waszyngton w 1963 r. Śniło mu się, że pewnego dnia jego naród zacznie żyć według własnego credo: „uważamy za prawdę oczywistą, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi”. Minęło 60 lat, a sen nadal nie zmienił się w rzeczywistość.

Niemiecki filozof Walter Benjamin przestrzegał przed opowiadaniem na czczo tego, co nam się śniło. Świeżo obudzony pozostaje „pod czarem snów”, nie jest gotów, by zmierzyć się z realnym światem. „Na czczo człowiek mówi o śnie, jakby mówił przez sen”, poucza Benjamin. Ale opowiadanie sobie przy śniadaniu o tym, co nam się przyśniło, może być uznane za sposób budowania intymności, dzielenia się tym, do czego druga osoba nie ma dostępu.

Sny to opowieści bez jasnej struktury i narracji. Zasadzają się na nastrojach i emocjach, od euforii po przeraźliwy strach. Oto zbliża się wielki potwór z twarzą naszej pani od matematyki... A my rozkładamy ręce i – odlatujemy! Benjamin pisał: „język snu nie tkwi w słowach, lecz pomiędzy nimi”. Skupia się na tym, co poza kadrem, jak film, w którym pozornie nic się nie dzieje, a jednak oczarowuje nas muzyką, światłem, klimatem.

Opowiadanie snów bywa męczące dla otoczenia. Część osób na dźwięk słów: „och, muszę wam opowiedzieć, co mi się śniło”, natychmiast opuszcza pokój, by gdzieś przeczekać zawiłe opowieści. Opisywanie snów w utworach literackich to już prosta recepta na kicz. Wydawcy, którym trafia się tekst zaczynający się od majaków, zwykle prędzej czy później go porzucają.

Aczkolwiek pisarka Anaïs Nin pilnie sny notowała, jak zresztą większość jej pokolenia, zafascynowana naukami Zygmunta Freuda, a potem Gustawa Junga. Współczesna psychoterapeutka ze szkoły Junga Marion Woodman pisze: „im więcej pracujesz ze swoją nieświadomością, im bardziej ją szanujesz i rozumiesz, tym bardziej ona rozumie ciebie. Rozwijasz związek ze swoją psychiką, a jej energię zaczynasz przenosić do życia i związków”. Woodman wierzy, że jeśli nauczymy się słuchać naszych snów, ciało odpowie, jak dobrze nastrojony instrument.

Olga Tokarczuk w powieści „Dom dzienny, dom nocny” również stawiała w obronie snów, twierdząc, że: „nigdy się nie mylą, to świat realny nie dorasta do porządku snu. Książki telefoniczne kłamią, pociągi obierają niewłaściwe kierunki, ulice wyglądają zbyt podobnie, myślą się litery w nazwach miast, ludzie zapominają własne imiona. Tylko sen jest prawdziwy”. Stworzyła wspólnotę snów i dzielenia się nimi w internecie, co dla jej bohaterki stało się „ważniejsze niż jedzenie”. To właśnie tworzenie wspólnej mapy tego, co dzieje się w naszej podświadomości, stawa-

ło się podstawą do budowania społeczności tych, którzy z uwagą przyglądali się temu, co robią, kiedy rzekomo nic nie robią. Może to jest jakaś ścieżka – zajmowanie się tym, co w nas drzemie, choć nie zawsze ma szansę wyjść poza umysł, zablokowane konwenansami, racjonalnością lub pesymizmem z serii szklanka do połowy pusta.

Sen zajmuje podobno prawie połowę naszego życia. Pascal zastanawiał się: skoro sen to iluzja, bo wszystkie nasze uczucia są w nim złudzeniem, to kto wie, czy ta część życia, w której czujemy, nie jest innym snem, „z którego budzimy się, kiedy nam się zdaje, że śpimy”?

Inaczej jest, jeśli wspólnie „śnimy” o lepszym świecie. Jednym z haseł marcowej rewolty studenckiej w latach 60. było: „bądźmy realistami – żądajmy niemożliwego!”. Trawestując: śnijmy niemożliwe. Zwłaszcza w czasach niepewności, kiedy dotychczasowe systemy wartości nie znaczą wiele, a ci, którzy powołują się na idealistyczne koncepcje wolności, sprawiedliwości społecznej czy równości, dostają w twarz rosnącym poparciem dla Konfederacji, dyktatorskimi zbrodniami za wschodnią granicą lub w najlepszym razie obelgą. Wspólny sen staje się bajką. Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie, powtarzamy sobie.

Przeżywamy głęboki kryzys relacji międzyludzkich” – głosi Felwine Sarr, senegalski pisarz i wykładowca akademicki. W eseju pt. „Zamieszkiwać świat” („Habiter le monde”) pisze, że dziś rozdźwięk między tym, co głoszą politycy, a tym, co robią ludzie sami z siebie, jest porażający. Język propagandy czy zwykłych sztuczek perswazyjnych, mających skłonić obywateli do głosowania na partię czy polityka, jest językiem wojny. Ma on na celu wyrzucie i pogłębienie podziałów, bo łatwiej jest rządzić ludźmi, którzy nie czują się częścią wspólnoty, boją się, że nie mają nigdzie wsparcia. Co innego ludzkie odruchy pomocy, które ujawniają się w przypadku kataklizmów czy wojen. Fale empatii, jak ta, która wezbrała po ataku Rosji na Ukrainę, wiele mówią o nas, ludziach. Sarr pisze, że XXI w. stawia przed nami zadanie wydobycia tych okrucichów dobra, by zrównoważyły język zła. Zbudowanie „ludzkiego społeczeństwa” oznacza nie tylko świat zamieszkiwany przez ludzi, ale przede wszystkim taki, gdzie „ludzkie wartości” nie będą terminem pejoratywnym. Świat zamieszkiwany w harmonii. I w tę stronę zmierzamy, w końcu w Europie udało się utrzymać pokój przez 77 lat, z wyjątkiem wojny w byłej Jugosławii.

Zanim sny o równości i pokoju się spełnią, źródłem optymizmu niech będzie ruch pomocy ukraińskim uchodźcom w Polsce. Świadomość, że nie są sami w nieszczęściu, na pewno im pomogła. „Zostawiłem tam kolorowe sny” – śpiewał Czesław Niemen o Warszawie. Może uchodźcy zostawią choćby spokojne.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK





# Dziewczyna z harwestem we włosach

**Z**ima długo trzymała nas w zamknięciu. Wreszcie nadeszło kilka litościwych tygodni. Chwila pomiędzy sezonem smogu a szczytem pylenia leszczyny. Pewnego dnia zapuściliśmy się w podwarszawskie ostępy (umiarkowanie dzikie), żeby zwiedzić Centrum Edukacji Leśnej.

Centrum było zamknięte. Przez okno dostrzegliśmy tylko część zbiorów: kolekcję szyszek i wypchanego dzika. Uwagę zwracał za to rozległy teren z zadbanymi trawnikami, liczne wiaty, tablice dydaktyczne i ogromne modele owadów wykonane z gipsu. Nie brakowało miejsc parkingowych.

Jednak największe wrażenie robił mural, którym ozdobiono ślepa ścianę pawilonu wystawowego. W samym środku lasu wymalować mural o tematyce leśnej! Nie każdy muralista sprostałby takiemu zadaniu. To nie osiedlowy garaż z żołnierzem wyklętym ani wiadukt w barwach klubu piłkarskiego. Trzeba przyznać, że wykonanie okazało się na miarę zamysłu.

Malowidło przedstawiało profil młodej kobiety z lupą (szkłem powiększającym). Młoda kobieta przyglądała się kępie knieci błotnej (kaczeńców). Obok łodygi artystci zręcznie wkomponowali logo Lasów Państwowych.

W rozwianych włosach botaniczki znalazło się miejsce na liczne motywy leśne, takie jak liście dębowe, żółdzie i szyszki. Z kasztanowych pukli wyrastały zawiłce błotne i przyłaszczki pospolite. W okolicy dziewczęcego ucha przysiadł sympatyczny krogulec, lekko zdziwiony widokiem okazałego motyla (rusałka pawik), krążącego dokoła. Nie zabrakło pracowitych pszczołek ani prawdziwków. Wszystkie obiekty przedstawiono z realizmem i pieczołowitością, które ułatwiały identyfikację i podnosiły edukacyjną wartość muralu. Dzieło odznaczało się elegancją i finezją, przywodzącą na myśl reklamy szamponów lub malarstwo Rafała Olbińskiego. W subtelny sposób nawiązywało do surrealizmu.

Do elementów surrealistycznych należał samiec łośa wystający zza loków. Twórcy włożyli wiele wysiłku, żeby nadać pyskowi łośa odpowiednio entuzjastyczny wyraz. Ponieśli porażkę, ale trudno ich winić. Łoś jest zwierzęciem melancholijnym. (Możliwe zresztą, że to tylko złudzenie wywołane przez obłość i opadającą górną wargę).

Ten konkretny osobnik miał powody do zmartwienia. Wpatrywał się w centralny punkt kompozycji. Gapił się w pień po świeżo wyciętym drzewie. Powyżej pieńka, dla jasności sytuacji, lewitował kombajn zrębowy – wieloczynnościowa maszyna leśna ścinkowo-okresująca-przerzynająca wykorzystywana przy zrębie. Czyli harwester.

(Dla tych z państwa, którzy opuścili ostatnie akapity albo zaczynają lekturę od połowy, konieczne wyjaśnienie: w dzisiejszym odcinku zapoznajemy się

z przykładem monumentalnego malarstwa ściennego sponsorowanego przez Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe).

Na prawo od kombajnu zrębowego można było zobaczyć alegorię gospodarki leśnej. Znalazły się tam wyobrażenia produktów przemysłu drzewnego: mianowicie belki, ołówki oraz dwa pliki białych kartek unoszonych wiatrem. Zza oferty materiałów budowlanych i piśmiennych wysuwała się para odciętych dłoni, trzymających garść ziemi i niewielką sadzonkę. Gest ów miał zapewne wyrażać troskę o przyszłość terenów zielonych.

Na szczęście w tym miejscu kończyła się ściana. Resztkę powierzchni wypełniały blade sylwetki sosen.

**A** jak było w samym lesie? W lesie, jak w lesie. Ładnie. Zielono.

– Popatrz – mówiłem – te takie tutaj to już chyba tegoroczne.

Na tym polega problem. Las jest jak gazeta w obcym języku. Przynosi mnóstwo ciekawych historii, tylko trudno coś zrozumieć.

Należałoby się wreszcie poduczyć, wyedukować albo chodzić z przewodnikiem. Prawdziwy przyrodnik zawsze coś wypatrzy. Wystarczy go posłuchać i sceneria się zmienia. Tu pojawia się siedzuń, tam dorodny chrobotek, ówdzie sterta frapujących odchodów zajmująca wypluwka lub pierwszorzędną truchło.

Nagle widać, że wszystko ze wszystkim jest jakoś pozrastane. Wszystko się płoży, krzewi i zaplata. Współpracuje ze sobą lub walczy. Otaczają nas kłącza i grzybnie. Pod stopami zawiązują się sekretne związki. Wszędzie wokół kryją się rozgałęzione konspiracje, zakorzenione spiski, pajęczyny mrocznych powiązań. Gazeta zamienia się w księgę pokręconych spiskowych teorii.

W ostatnim numerze kwartalnika „Autoportret” Tomasz Samojlik mówi ogólnie: „z prawdziwym lasem mamy do czynienia dopiero wtedy, kiedy funkcjonuje w nim – w sposób zrównoważony i długotrwały – cały zespół zwierząt i roślin powiązanych miliardem nierozpoznanych przez nas wzajemnych połączeń i zależności”.

Chyba tylko Centrum Edukacji Lasów Państwowych potrafi przedstawić to miejsce jako schludną halę produkcyjną. Przerobić na gazetkę supermarketu. (W wiosennej promocji: łoś, kaczeńce i deski).

Tymczasem aktywiści ujawnili, że Lasy Państwowe planują wycinkę 364 ha drzew wokół Warszawy i w granicach miasta. Większość prac ma zostać przeprowadzona metodą zrębu zupełnego. Czyli nic nie zostanie. Może potem coś posadzą. A może machną następnym mural. Z zysków.

MARCIN WICHA



# Bąkiewiczki

**W**iele lat temu podczas zwiedzania jakiejś wystawy, chyba komiksu, na bok wziął mnie sam Krzysztof Teodor Toeplitz. Mogłam mieć wtedy lat 19. Wielce zafrasowany losem swego syna pytał: „słuchaj, bardzo się martwię. Mój Franio już drugi rok spotyka się z jedną i tą samą dziewczyną...”. Taki już los rodziców, że martwimy się i pochylamy nad „dziwactwami”, które wyprawiają nasze dzieci. Teraz zastanawiamy się, dlaczego wielu młodych mężczyzn nie tylko nie uprawia seksu, ale jeszcze w pakiecie głośuje na skrajnych narodowców. Czy to się łączy? Zapewne spora wśród nich grupa tzw. inceli. Atrakcyjne, niezależne koleżanki wybierają randkowanie z inną grupą niż z gośćmi, którzy sprawnie poczynają sobie jedynie z joystickiem. Sprawa oczywiście nie sprowadza się li tylko do sfery seksualnej, a udawanie, że Konfederacja jest jakimś marginesem, to zwykła arogancja.

Staram się poznać kobiety, które głośują na brunatnych „wolnościowców”. Mamy aż 5 proc. kobiet deklarujących poparcie dla tej mizoginistycznej formacji. Ewidentnie „siostrzeństwo” nie ma się tak dobrze. Co z tego, że od dawna już mamy urodzaj przekonujących książek feministycznych. Począwszy od kultowego „Świata bez kobiet”, przez prace Joanny Kuciel-Frydryszak, Bell Hooks czy książkę Rebeki Solnit „Mężczyźni objaśniają nam świat”. Jednocześnie jednak dożyliśmy potężnego *backlashu* i dobre sondaże Konfederacji są między innymi efektem tegoż *backlashu*. Mizoginek czy po prostu kobiet, które nie życzą innym dziewczynom dobrego życia, są w Polsce miliony.

Mizoginkami bywają nasze własne matki. Taka sytuacja: do mamy nagle dzwoni dorosła córka, która ma potężne problemy z mężem. Wyzwiska, przemoc finansowa, nękanie, bo kobieta chce pracować na ćwierć etatu. Mąż nie pozwala jej pracować, drwi: „ile tam posiedzisz? To na waciki? Czego ci brakuje?” Co na to wszystko matka? Matka na to: „Siedź cicho. Trafiłaś na takiego, co nie pije, forszę masz, dziecko w modnych ciuchach. Ja na ciebie sama całe życie harować musiałam. Ty do roboty? I tak nic nie potrafisz”.

Poczytałam trochę o programie Konfederacji, wypowiedzi panów Mentzena, Bosaka i mogę sobie wyobrazić, kim są panie, które się w tym odnajdują. Wśród głośujących na Konfederację mamy więc właśnie grupę mizoginek. One nie chcą, żeby ich córki żyły sobie lepiej. Chcą, by inne kobiety też po cichu niosły swój krzyż. W tej grupie znaleźć można również tzw. dzielne siłaczki dumne z tego, że są współczesnymi MacGyverkami. Nie proszą państwa o pomoc. Pomoc to oznaka słabości. Turbokapitalizm nie lubi słabych. Służby zdrowia boją się. Nie cierpią lekarzy. To felczery, którzy czyhają na skóry. Leczą się dziurawcem, swoje nowo narodzone dzieci wykradają ze szpitala, żeby pielęgniarki nie zdążyły ich zaszczepić. Zwykle

są to tzw. strażniczki domowego ogniska i z tego czerpią poczucie godności. Strażniczki, jak to strażniczki, są nieufne, a wręcz wrogie obcym elementom. Dlatego głośujące na Konfe-

derację matki Polki nie interesują się „wymyślaną wspólnotą”, jaką jest np. Unia Europejska. Cechuje je klanowość, ewentualnie plemiennosc.

Życie towarzyskie to nie jakieś bywanie w sali koncertowej NOSPR-u czy wypad z koleżankami do Pragi na wystawę litografii. Konfederatki to Penelopy, czekają na powrót swoich wojowników, choć często mają prawo jazdy. Samochód to dla tych dziewczyn symbol niezależności, szczególnie, że wierzą w spisek. Oto jacyś „oni” chcą doprowadzić do tego, że ludzkość będzie jeździła komunikacją zbiorową. Jeżdżenie pociągami to upadek, bo prawdziwa kowbojka jeździ autem, nawet jeśli mieszka blisko przystanku.

Amerykanów widzi konfederatka jako „okupantów”. Sojusze są wykluczone. Stawiamy wszak na suwerenność, więc po co nam przyjaciele. Patrzę na wiek wyborczyń aż tak wrogo nastawionych do ludzi mówiących po niemiecku i czuję przepaść pokoleniową. My, pokolenie urodzone w latach 70., dosłownie rzuciliśmy się do wyjeżdżania na Zachód. Autostopem do Rawenny, żeby zobaczyć bazylikę Sant' Apollinare Nuovo. Pociągami do Niemiec, do pracy przy szparagach. Wyborczynie Konfederacji świat postrzegają jako zagrożenie. Do Paryża nie latają, bo tam są „czarnuchy z Senegalu”. Z domu lubią wyjść, ale raczej na grzybobranie, pomóc wujkowi przy polowaniu, odwiedzić siostrę na imieninach albo pojechać na chrzest.

Konfederatki to przeciwniczki podatków. Podatki na edukację są według nich bez sensu. Obiady szkolne nie są domowe, zaraz robaki suszone będą dawać. Dzięki temu, że dziecko nie jest w przedszkolu, to nie musi spotykać się z Ukraincami, przez których rosną ceny najmu. Konfederatki nie chcą podatków, bo wtedy „ciężko zarobione pieniądze” musiałyby „oddać” jakimś młodziejom. Taki spasiony Głapiński tylko kombinuje, jak kredytobiorców jeszcze bardziej zgłodnić.

**P**odczas jazdy autem konfederatki lubią sobie słuchać pogadanek w sieci. A to usłyszą od Jana Pospieszalskiego, że Ministerstwo Zdrowia celowo blokuje skuteczne leki. A to od felietonisty „Do Rzeczy” Wojciecha Cejrowskiego dowiedzą się, że aresztowanie Trumpa jest bez sensu. Rządy prawicy zrobiły wiele, by udawać, że promują demokrację, ale jednocześnie dofinansowują szczytnie Matyszkiewicza i ładują pieniądze w reklamę w tygodnikach homofobicznych. Sukces Konfederacja zawdzięcza nie tylko trampizmowi, sobie samym, ale w ogromnej mierze też władzy Zjednoczonej Prawicy finansującej bojówki wszelkich odcieni bąkiewiczów. I bąkiewiczek.

AGATA PASSENT



## Uwaga, Czytelnicy!

**Kioski Garmond Press SA bez POLITYKI. Znajdźcie nas w punktach sprzedaży innych dystrybutorów.**

W związku z problemami w rozliczeniach finansowych za dystrybucję POLITYKI podjęliśmy decyzję o zawieszeniu współpracy i niedostarczaniu nakładów POLITYKI oraz pozostałych wydawanych przez nas pism do firmy Garmond Press SA.

W celu zapewnienia możliwie wysokiej dostępności POLITYKI w sprzedaży zwiększyliśmy liczbę egzemplarzy POLITYKI dostarczanych za pośrednictwem pozostałych dystrybutorów do kiosków, saloników prasowych, stacji benzynowych, sklepów spożywczych i usługowych oraz do marketów i hipermarketów. We wszystkich tych punktach sprzedaży prasy POLITYKI nie powinno zabraknąć.

W razie problemów z zakupem POLITYKI w Państwa miejscowościach prosimy o kontakt telefoniczny: **22 451 61 65** (od pon. do pt. w godz. 9–17) bądź mailowy: **dystrybucja@polityka.pl**

Wszystkim, którzy mogą mieć problemy z zakupem POLITYKI, a chcą mieć pewność cotygodniowej lektury naszego tygodnika, rekomendujemy gorąco korzystanie z prenumeraty wydania drukowanego lub z subskrypcji cyfrowej. Prenumeratę papierową można zamówić na **www.sklep.polityka.pl**

Szczegóły dotyczące prenumeraty cyfrowej POLITYKI (z możliwością wyboru między wersjami Standard, Premium i Uniwersum) znajdą Państwo na stronie: **www.polityka.pl/pelnewydanie/stronasprzedazowa/**

REDAKCJA



## Wileńska w Kownie

W numerze 14. POLITYKI na s. 88 zostało zamieszczone zdjęcie przedstawiające ulicę Wileńską w Kownie. Tymczasem fotografia ilustrująca artykuł „Freski pamięci” powinna przedstawiać Wilno. Oba te miasta, Kowno i Wilno, są piękne, pomyłka zaś wynikała z nieprecyzyjnego opisu agencyjnego. Panią Kristinę Sabaliauskaitę oraz Czytelników przepraszamy.

REDAKCJA



## Kobieta w spodniach

W artykule poświęconym Sarah Bernhardt „Sztuka skandalu” (POLITYKA 13) Paula Apanowicz porusza wątek cross-dressingu kobiecego, pisząc, iż bohaterka była jedną z pierwszych XIX-wiecznych kobiet noszących spodnie. Informacja ta wymaga pewnych objaśnień. Autorka ma tu na myśli z pewnością przypadki przebierania się, które – aczkolwiek tchnące skandalem – były już tolerowane. Przypadki takie zdarzały się bowiem oczywiście wcześniej, lecz były surowo karane, nierzadko nawet śmiercią. Tolerancja wobec takich aktów rozwijała się stopniowo po rewolucji francuskiej. W 1800 r. we Francji wprowadzono system policyjnych zezwoleń na noszenie przez kobiety

stroju płci przeciwnej, chociaż i tak naruszenie tego przepisu skutkowało już tylko niedużą grzywną. Z takiego zezwolenia korzystała m.in. znana malarka Rosa Bonheur (1822–99). Z ograniczeń tych nic sobie nie robiła natomiast słynna pisarka, ukochana Chopina, George Sand (1804–76), która często przywdziewała strój męski, a do tego jeszcze paliła papierosy i cygara.

Warto może dodać, że wszystkie te uwagi dotyczą kultury zachodniej, w innych kulturach napotkać można bowiem różne stopnie przyzwolenia na praktykowanie cross-dressingu

(np. hidżra w Indiach czy berdache u Indian północnoamerykańskich).

DR JERZY A. KOWALSKI  
INSTYTUT BADAŃ SEKSUALNYCH W OPOLU



REKLAMA



## Wiedza to Wolność

Wspieraj Wikipedię. Przekaż **1,5%** podatku na rozwój projektów edukacyjnych.



**www.wikiskola.pl**

**KRS 0000244732**

opp.wikimedia.pl

Łuna nad płonącym gettem warszawskim, prawdopodobnie widok na szop szczotkarzy w kwartale Świętojskiej, Wałowej, Franciszkańskiej i Bonifraterskiej.

# Zapiski z piekła

„Wokół nas morze ognia. Losy  
w Muzeum POLIN w 80. rocznicę tych



© ZBIGNIEW BOROWCZYK/MUZEUM HISTORII ŻYDÓW POLSKICH POLIN, GETTY, POLIN





Poniżej: **Stella Fidelseid (zdjęcie powojenne)**. Na sąsiedniej stronie: **pacyfikacja getta – propagandowe zdjęcie niemieckie z Raportu Jürgena Stroopa**.

żydowskich cywilów podczas powstania w getcie warszawskim” – to tytuł wystawy wydarzeń. Jednym z głosów, które nas prowadzą przez to morze, jest relacja Stelli Fidelseid.

JOANNA PODGÓRSKA

**G**etto pustoszało. Co sobotę z Umschlagplatzu odjeżdżało 40 wagonów. Po ostatniej akcji likwidacyjnej w styczniu 1943 r. panował nastrój coraz większej rezygnacji. Kończyła się nadzieja. Młodych, którzy stracili bliskich, nic już nie trzymało. Jedni uciekali w wódkę, inni w planowanie zemsty. W chlebie i mące szmuglowano zza muru broń. Żeby nie oszaleć, ludzie starali się żyć tak normalnie, jak tylko się da. Gdy kontakt ze stroną aryjską był jeszcze możliwy, za resztki kosztowności szmuglowano żywność. Półoficjalnie działały kawiarnie, w których można było kupić niemal wszystko. Dzieleno się wiadomościami zza muru i nadzieją, że może wyzwolenie jest blisko. Po godzinach pracy w warsztatach szczerzy ludzie starannie się ubierali i wychodzili na spacer na „deptak”, jak nazywano Bonifraterską. Krótko przed świętem Pesach odbył się wieczorek poety żydowskiego Władysława Szlengła. Były nawet akcenty humorystyczne. Zbierano pieniądze na świąteczne paczki dla najbiedniejszych. Szykowano macę, wino; niektórym udało się nawet zdobyć jajka. Do getta wracali ludzie z aryjskiej strony – ograbieni, przerażeni, zaszczuci. Woleli już być wśród swoich. Dodatkowo, w wigilię święta Pesach, setki Żydów zza muru przyszły tu odwiedzić swoich bliskich i znalazły się w pułapce. 19 kwietnia w chwili wybuchu powstania w getcie było ok. 50 tys. ludzi.

W nocy z niedzieli na poniedziałek poniosło się po getcie: Niemcy obstawili dzielnicę,

zaczyna się akcja. Ludzie w pośpiechu zamykali się w przygotowanych kryjówkach. Ulice opustoszały.

Getto budowało schrony już wcześniej – górne, w zamaskowanych pokojach, do których wchodziło się przez otwieraną ścianę pieca, ruchomy zlew czy tylną część szafy. Teraz budowano kolejne, także podziemne, dobrze wyekwipowane, z wentylacją, pompą i zapasami. Niemal w każdym domu szykowano bunkry. Zamożniejsi angażowali do tego nawet inżynierów.

**Stella, absolwentka biologii, pracowała jako laborantka w Żydowskim Szpitalu Zakaźnym.** Jej mąż Salomon Świeca, którego nazywała Lolkiem, był tam lekarzem. Oni także, wraz

z sąsiadami, mieli przygotowaną skrytkę. „W pierwszych dniach akcji byliśmy zupełnie odcięci od innych domów i nie wiedzieliśmy, że w getcie toczą się walki. Wieczorami, kiedy nie obawialiśmy się blokad, wychodziliśmy z kryjówki. Przeważnie ludzie mieli jakieś zapasy, gotowali jedzenie i jedli, aby zachować siły. Myśmy również mieli trochę kaszy i tłuszczu, ale nie mieliśmy cierpliwości ani apetytu do jedzenia. Byliśmy stale w takim napięciu nerwowym, że nie czuliśmy głodu. Z miasta dochodziła nieustanna strzelanina” – opisuje Stella. Wszyscy ludzie pochowani w bunkrach uczyli się wróżyć z odgłosów o tym, co się dzieje w getcie. Łomot żołnierskich butów, terkot karabinów, detonacje. Kto się wychylał, narażał się na kule. „O żydowskiej obronie nie wiedzieliśmy nic. Byliśmy wstrząśnięci wiadomością, że naprawdę doszło do walki, o której tyle ►





Niemcy, zamiast szukać bunkrów z ukrywającymi się ludźmi, zaczęli systematycznie podpalać dom po domu – fot. z Raportu Stroopa.

► się mówiło przed akcją. Nowina ta podniosła nas na duchu. Dodała nam odwagi”.

Lolek, tak jak inni lekarze, nie zrezygnował z chodzenia do ambulatorium. Któregoś dnia nie wrócili. Stella przypuszczała, że zaprowadzono ich na Umschlagplatz, ale wierzyła, że mąż ucieknie z transportu. O tym, że popełnił samobójstwo w obozie na Majdanku, dowie się dopiero po wojnie. Została sama. Jej rodziców i młodszą siostrę wywieziono do Trebłinki podczas Wielkiej Akcji w 1942 r.

Gdy poszła do mieszkania sprawdzić, czy się nie spaliło, usłyszała ciche skomlenie – był jeszcze Bimbuś, ukochany piesek, przerażony i na wpół uduszony od dymu. Gdy go nakarmiła, spokojnie usnął jej na kolanach. „Robiło się późno. Zbliżał się znienawidzony dzień. Nie wiedziałam, co robić z pieskiem, ludzie zaczęli sarkać, obawiali się, że będzie piszczał. Mieli rację. Wyniosłam Bimbusia na podwórze, ucałowałam między uszy i wypuściłam na drogę prowadzącą na ulicę. Parę razy wracał do mnie i piszczał. Zostawiłam go i wróciłam do bunkra. Nie miałam prawa go zatrzymać, aby nie narażać innych. A poza tym – na wolności miał przecież większą szansę życia ode mnie”.

Za murem błyszczą w słońcu wystawy, ludzie spacerują, na rogu ulicy działa kiosk z kwiatami. Gospodynie niosą w koszykach mleko i bułeczki. Do getta dolatują dźwięki muzyki, krzyki młodzieży, nawoływania gazeciarzy „Nowego Kuriera Warszawskiego”. A w zamkniętej dzielnicy tego roku nie było wiosny. Zamiast zapachu świeżej trawy był dym i smród spalenizny. Niemcy, zamiast szukać bunkrów, zaczęli systematycznie podpalać dom po domu. Płonęły Miła, Zamenhoffa, Gęsia, Smocza, Nalewki. Wiatr rozdmuchiwał iskry, przenosząc ogień na kolejne domy. Asfalt topił się od gorąca. Spanikowani ludzie ginęli w płomieniach, dusili się od dymu, skakali z okien na bruk. Ci, którym udało się wydostać, biegali w przerażeniu od domu do domu, szukając schronienia przed kulami. Nocami w getcie od ognia było jasno jak w dzień. Na ulice spadały płonące balkony i framugi okienne. Wyłapanych uciekinierów Niemcy rozstrzeliwali na miejscu lub na dziedzińcu przy Zamenhoffa 19 – kolejny otoczony atmosferą grozy adres w zamkniętej dzielnicy (dziś stoi w tym miejscu Muzeum POLIN). Część wyłapanych pędzono na Umschlagplatz. Prowadzone pod lufami karabinów grupki ludzi deptały po osmalonych ogniem zwłokach.





Ujęci przez Niemców mieszkańcy getta – fot. z Raportu Stroopa.

W pomieszczeniu przy Umschlagplatzu panował niehumanitarny tłok. Brakowało wody. Z przepełnionych ubikacji ekskrementy lały się strumieniami. W tym piekle masa ludzka, ranna, wycieńczona, poparzona, kłębiła się po kilka dni. Szły plotki, że podobno brakuje wagonów. Modlono się, żeby już wreszcie przyjechały. Może zawiozą do otoczonej makabryczną sławą Treblinki. Może do Trawników, gdzie podobno pracą można się było wykupić od śmierci.

**Ocalali pogorzelcy dołączali do schronów, które jeszcze nie zostały odkryte.** W miejscach przeznaczonych dla kilkudziesięciu osób tłoczyło się po kilkaset. Zaczynało brakować nie tylko żywności, ale także powietrza. Ludzie mdleli. Jedyną obroną była bezwzględna cisza. Nasłuchiowano odgłosów kroków nad głowami i za ścianą. Byle szmer przypisywał o atak histerii. W wielu kryjówkach ludzie całymi dniami leżeli pokodem. Nocą gotowano posiłki, wyprowadzano na zewnątrz dzieci, żeby złapały tyk świeżego powietrza.

Lęk, że ktoś zakaszle, że chory jęknie, zapłacz niemowlę. Tak stało się w bunkrze Stelli: „Padają szeptem przekleństwa,

»dziecko nas zgubi«, »trzeba je udusić«. Jakieś szuranie, szamotanie. Po paru minutach jest już zupełnie cicho... Godziny się wloką. Wciąż słychać Niemców przeszukujących podwórko. Wreszcie słyszymy miarowe kroki ponad nami, odmarsz, okrzyki i głosy milkną, pewni już odeszli. Czekamy w ciszy jeszcze przez pewien czas i ostrożnie uchylamy klapę bunkra. Jest ciemno. Zapalamy świece. Teraz następuje odprężenie po ciężkim dniu. Widzę naokoło zmęczone, nagle postarzałe twarze. Pewnie i ja tak wyglądam. Jedna z sąsiadek, widząc, że zbieram się do wyjścia, podaje mi jakieś zawiniątko. Przyglądam się i poznaję dziecko. Jest martwe, trzeba je stąd wynieść. Biorę je pod pachę – jest dziwnie lekkie – i zaczynam wchodzić po drabinie ku wyjściu. Rzuciłam trupka do jakiejś palącej się piwnicy”.

Miejscem wymiany informacji i dóbr stała się „gielda”. W podwórzu domu przy Świętojskiej 34 o północy odbywał się handel wymienny. Najlepszą walutą był pistolet – płacono za niego 10 gramów słoniny, 100 papierosów i pół litra wódki. Jeden papieros to kilogram kaszy. Biżuteria i pieniądze nie miały wartości w hermetycznie izolowanej dzielnicy. Gdy w getcie wyłączono prąd, jednymi z najbardziej poszukiwanych towarów stały się świece ►



Zdjęcie autorstwa Zbigniewa Leszka Grzywaczewskiego z Warszawskiej Straży Ogniowej, skierowanej przez Niemców do getta, żeby pożar nie rozprzestrzeniał się na aryjską stronę.

► i zapalki. Po odcięciu wodociągów i zatruciu przez Niemców studni siarkowodorem – woda. W skrajnych przypadkach osiągała cenę dwa razy wyższą od kaszy. Getto modliło się o deszcz.

Wysadzenie Wielkiej Synagogi 16 maja Niemcy uznali za koniec powstania, ale getto nadal było ściśle pilnowane i nie skończyło się polowanie na ocalańców. Po ulicach wały się trupy coraz bardziej napuchnięte i przerażające, ale nikt nie starał się ich pochować, żeby Niemcy nie zauważyli zmian. Wśród gruzów, zgłiszcz i wypalonych szkieletów kamienic nadal ukrywali się udręczeni i przerażeni ludzie. Bali się nie tylko Niemców, którzy codziennie przeszukiwali getto, ale też „muserów” – wytapanych Żydów, którzy za obietnicę życia wydawali im bunkry. Żłudną obietnicę, bo gdy któryś już nie potrafił wskazać więcej kryjówek, był likwidowany.

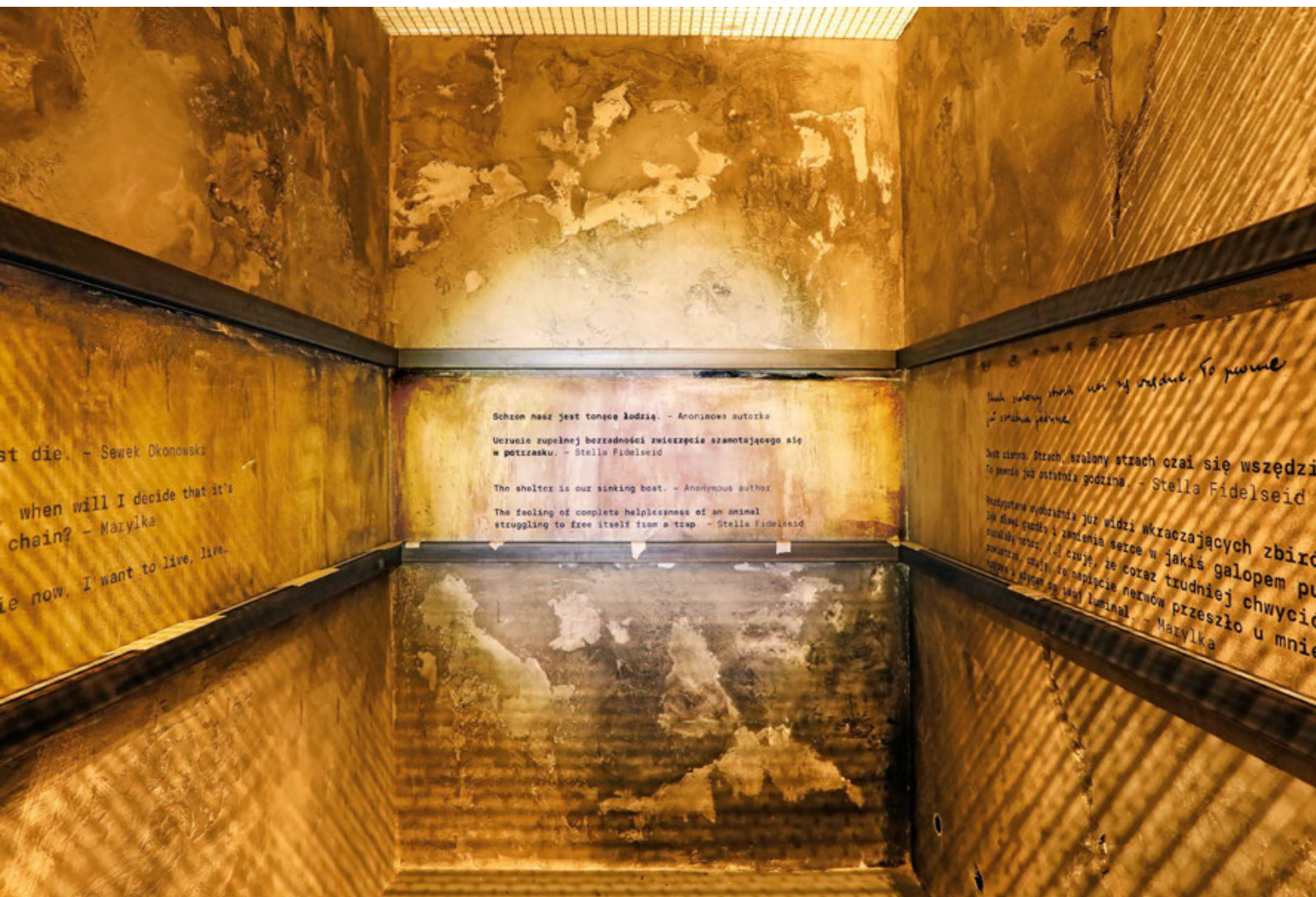
**Trudno się doliczyć, ile razy grupa Stelli zmieniała schrony, bunkry i kryjówki.** Kończyły się odpowiednie miejsca. Jako dzienny schowek grupa wykorzystywała przez jakiś czas część dachu, która podczas pożaru opadała na gruzy, tworząc pogiętą powierzchnię. O świcie wchodził pod blachę i leżeli tam cały dzień bez najmniejszego ruchu. Nocami mężczyźni wychodzili przeszukiwać gruzy w poszukiwaniu porzuconych zapasów: garnka z tłuszczem, kaszy, woreczka sucharów. I wody. Mówili, że getto znów zaczyna porastać trawą. Dadek Zelcer, znajomy,

który pomagał Stelli się ukrywać, z jednej z takich wypraw przyniósł jej zielonego pomidora i kilka cebulek; pachnącą powietrzem i słońcem namiastkę dawnej normalności.

Coraz trudniej było wytrzymać w ciasnych, dusznych skrytkach. O żywność też było coraz trudniej. Narastało osłabienie i apatia: „Ze zmęczenia jeden opiera się o drugiego. Kłótnie, sykanie. Nienawidzimy się wzajemnie. Nie wiadomo, po co ta męka, żadnej możliwości ratunku” – opisuje Stella. „Byłam tak osłabiona, że traciłam poczucie rzeczywistości. Leżałam na wilgotnej ziemi i marzyłam. Widziałam dokładnie twarze rodziców, siostry, męża. Zdawało mi się, że jestem z nimi razem w domu, śniłam o jedzeniu. Obrazy zamazywały się. Budząc się z odrętwienia, słyszałam znowu ciężkie oddechy leżących obok mnie towarzyszy”. Nadal wsłuchiwali się w odgłosy z zewnątrz. Którejś nocy usłyszeli coś, co brzmiało jak ciężkie działa. Ale nadzieja, że może nadchodzi ocalenie, trwała krótko. To była tylko letnia burza.

Z każdym tygodniem i miesiącem warunki były coraz trudniejsze. Ocalańcom groziła śmierć głodowa. Zbliżała się zima. Gdy spadnie śnieg, ukrywanie się będzie już niemożliwe. Ślady zdradziłyby ich natychmiast. A Stella miała jeszcze inny problem. Gdy rozpoczęła się likwidacja getta, była w pierwszych tygodniach ciąży. Ukrywała to, jak długo było to możliwe. Nie miała wsparcia od kobiet ze swojej grupy. Nie mówiła wjidysz, była dla nich obca. W listopadzie urodziła chłopczyka. Grupa nazwała





Na sąsiedniej stronie: kryjówka sfotografowana przez Niemców po zakończeniu pacyfikacji getta.

Powyżej: bunkier, w którym ukrywała się Stella, odtworzony na wystawie Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.

go Bunkierkiem, dla niej był Piotrusiem. Nie miała pokarmu, dawała małemu wodę z cukrem.

**Zapadła decyzja, że grupa spróbuje się wydostać na drugą stronę muru.** „Majorka i Sruła nie liczyliśmy już. Nikt z nas nie był w stanie ich nosić. Sruł od kilku dni nie odyskiwał przytomności, dla niego właściwie nie było już ratunku. Majorek z błędnym wyrazem oczu obserwował nasze przygotowania do drogi. Nie rozpacział, błagał tylko, żeby go zabić, nie chciał powoli umierać w samotności. W przeddzień naszego wymarszu, nie wiem skąd, zdobył on sznur. Siedząc przy kuchence usłyszeliśmy nagle charczenie, gdy przybiegliśmy do niego, oczom naszym ukazał się okropny widok wisielca. Abram natychmiast odciął sznur. Majorek żył jeszcze, ale był już nieprzytomny. Położyliśmy obok niego parę sucharów i wodę. To wszystko, co można było dla niego zrobić” – opisuje Stella. „Wieczorem umyliśmy się wszyscy porządnie i ja wykapałam dziecko. Słabło ono coraz bardziej. Już nawet nie płakał, wyglądał jak mały szkielecik. Wróciłam na prycze do dziecka, aby je zapakować. Nagle z przerażeniem spostrzegłam, że jest bezwładne, zaczęłam nim trząść, nic nie

pomogło, przelatywało mi przez ręce. Zrozpaczona usiadłam przy maleństwie, nie chciałam się ruszyć z miejsca. Było mi wszystko jedno, stępiałam na wszystko. Nawet nie słyszałam, że Chanele stanęła obok mnie. Wzięła mnie za rękę i pociągnęła. »Chodź, jesteś młoda, uratujesz się, to będziesz jeszcze miała dzieci«. Jak automat dałam się przez nią zaprowadzić. Wypchnęła mnie przez otwór, znalazłam się na zewnątrz”. Był grudzień 1943 r.

Stella wraz z Chanele, jedyną przyjazną jej kobietą z grupy, po aryjskiej stronie trafiły do Michaliny Poncylusz, która prowadziła sklep spożywczy. Potem ukrywały się w innych polskich domach. Koniec wojny zastał je w Milanówku. Po wojnie Stella trafiła do Łodzi, gdzie studiowała reżyserię w Szkole Filmowej.

W 1950 r. wyemigrowała do Izraela, tam poznała przyszłego męża – Mordkę Milenbacha. Wyjechali na stałe do Brazylii, gdzie urodziła się ich córka Anette. Stella zmarła w 2001 r.

JOANNA PODGÓRSKA



Od lewej: plakat zapowiadający wystawę „Wokół nas morze ognia” w Muzeum POLIN w Warszawie (18.04.2023–8.01.2024). Okładka Pomocnika Historycznego POLITYKI „Opór i Zagłada” do kupienia w dobrych punktach sprzedaży i na [sklep.polityka.pl](https://sklep.polityka.pl)



Nowa Gazeta. Europe No ukraińskich atakach na terytorium Rosji: „Władimir Putin w lutym nazwał likwidację ostrzałów rosyjskich terytoriów priorytetowym zadaniem państwa. Mimo to ich liczba nie przestaje rosnąć; w lutym władze informowały o ostrzale rekordowe 74 razy, w sumie od początku wojny różne regiony (licząc z anektowanym Krymem) atakowane były nie mniej niż 480 razy. (...) – Rosyjski system obrony przeciwniczej jest bardzo niedoskonały, ma wiele dziur – mówi analityk wojskowy Jurij Fiedorow. – Teoretycznie istnieje możliwość uderzenia dronami produkcji ukraińskiej i w Ministerstwo Obrony, i w Kreml. W Moskwie to rozumieją i ulokowali już systemy obrony przeciwniczej w obrębie miasta”.

W magazynie „Wolna Sobotka” prof. Marcin Matczak, odwołując się do pojęcia „płynności świata”, czyli dokuczliwego poczucia braku stabilności, wyjaśnia: „To polityka – tu percepcja jest sto razy ważniejsza niż rzeczywistość. PiS rośnie, bo miesza populizm lewicowy (ekonomia) z prawniczym (światopogląd) i w obu przypadkach zmniejsza płynność świata. Na tę mieszaninę przeciwnicy PiS odpowiadają najgorzej, jak mogą. Lewica zamiast stabilności światopoglądowej oferuje hiperpłynność. A Koalicja się miotła między babciowym (ekonomia), aborcją do 12. tygodnia (światopogląd) i niszczeniem Hołowni”. Oj, popłyniemy...

W „Plusie Minusie” Katarzyna przewiduje: „Tegoroczna kampania wyborcza

zapowiada się na wyjątkowo głupią, a to przecież dopiero początek. (...) Oto Sławomir Mentzen, »wolnościowiec« z Nowej Nadziei, pochwalił się swoją kreatywnością w kwestii urządzania ludziom życia. »Chciałbym zawrzeć z moją żoną ślub, który jest nierozzerwalny tak, jak moje małżeństwo kościelne z nią jest nierozzerwalne. Nie mam takiej możliwości. Chciałbym, żeby państwo dało mi taką możliwość«. Postulat, aby państwo zmuszało dwoje ludzi do bycia razem, jest tak kuriozalny, że już się cieszę na kolejne odsłony kampanii. Mądrze pewnie nie będzie, ale emocji nie zabraknie”. Emocje to polityczne złoto.

Szef „Rzeczpospolitej” Bogusław Chrabota także o cynizmie lidera Konfederacji: „W co naprawdę więc wierzy Sławomir Mentzen? Czy naprawdę w realną władzę nad Wisłą Chrystusa Króla, jak chce tego Konfederacja Gietrzwałdzka, której aktu jest sygnatariuszem? Czy jest gotów rozpuścić zespół w zespół z Kają Godek piekło konfliktu światopoglądowego o aborcję? Czy będzie wspierał prawo przeciw repatriantom w imię Polski dla Polaków? Czy – na koniec – zafunduje nam referendum w sprawie wyjścia z Unii Europejskiej? A może odwrotnie; po wejściu do Sejmu przyjmie z godnością od Kaczyńskiego posadę np. wiceministra finansów, a jego poglądy rozpuszczą się jak kostka lodu wrzucona do miski z ciepłą

wodą?”. Raczej jak trucizna w misce jadu.

W „Do Rzeczy” Piotr Semka z wielką troską pochyla się nad przyszłością PiS w artykule zilustrowanym zdjęciem zatroskanego prezesa Kaczyńskiego: „Czy PiS będzie w stanie na nowo zarysowywać nowatorskie projekty kampanii w ślad za zmieniającą się sceną polityczną? Na pewno odwrócenie się młodej generacji od PiS na rzecz Konfederacji jest wyzwaniem. Rządząca partia musi znaleźć na to jakieś odpowiedzi. Na razie wśród pomysłów na ożywienie kampanii PiS słyszymy tradycyjnie już powtarzane wyzwania [chyba powinno być: wezwania], by ściągnąć Beatę Szydło z Brukseli. Ale czy odgrzewanie pomysłu z 2015 r. nie świadczy o braku nowszych idei? Co z młodszymi twarzami?”. Nie ma co, szarmancki komentator.

Coś marnie ze sprzedażą „Sieci” i wiarą redaktorów w jesienne zwycięstwo. We wstępie do świętecznego wydania Michał Karnowski (który osobiście wyznacza standardy polskości) apeluje: „W tym krytycznym roku Polska szczególnie potrzebuje silnych propolskich mediów. Dlatego zwracamy się do Państwa z prośbą o wsparcie, o ten gest pomocy, o zaprenumerowanie tygodnika »Sieci« (...). Dla siebie lub kogoś bliskiego. To dla nas wielka pomoc”. Pomoc ze spółek Skarbu Państwa już nie wystarcza. Poszła na kary sądowe.

Jan Koza

© JAN KOZA



Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegłi ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

## POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA  
ADRES ul. Słupecka 6  
02-309 Warszawa

### RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;  
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY [www.polityka.pl](http://www.polityka.pl)  
POCZTA ELEKTRONICZNA [polityka@polityka.pl](mailto:polityka@polityka.pl)

### PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński  
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

### CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,  
Wiesław Władysław

### Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),  
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03  
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

### BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37  
e-mail: [reklama@polityka.pl](mailto:reklama@polityka.pl)

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),  
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

OGLASZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ  
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

### PRENUMERATA PAPIEROWA

[www.sklep.polityka.pl](http://www.sklep.polityka.pl)  
Infolinia: tel. 67 210 86 30,  
e-mail: [infolinia@polityka.pl](mailto:infolinia@polityka.pl)  
Monika Kaliszuk-Radzko,  
tel. 22 451-61-00, 451-61-15  
e-mail: [prenumerata@polityka.pl](mailto:prenumerata@polityka.pl)

### PRENUMERATA CYFROWA

[www.polityka.pl/cyfrowa](http://www.polityka.pl/cyfrowa)  
Infolinia: tel. 22 336-79-16,  
e-mail: [cyfrowa@polityka.pl](mailto:cyfrowa@polityka.pl)

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA  
BGZ BNP Paribas S.A.  
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763  
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna  
numerów aktualnych i archiwalnych  
po cenie niższej od ustalonej  
przez Wydawcę  
jest zabroniona, nielegalna i grozi  
odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Dalsze rozpowszechnianie  
artykułów, w tym artykułów  
na aktualne tematy polityczne,  
gospodarcze i religijne  
opublikowanych w POLITYCE  
jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu  
zgody Wydawcy.  
Kontakt: Maciej Domagała,  
tel. 22 451-61-25,  
e-mail: [m.domagala@polityka.pl](mailto:m.domagala@polityka.pl)

DRUK Quad

PBC

PRINTED IN POLAND

[www.izbapraszy.pl](http://www.izbapraszy.pl)

IZBA PRASY  
KONTROLA



# CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

## Uprawiaj sport świadomie

### Klinika ortopedyczna

#### Szpital

operacje ortopedyczne

### Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

### Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neulizy współczulne

blokady / neulizy nerwów obwodowych

termolezja

### Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

### Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

### Rehabilitacja

Rehabilitacja ortopedyczna:

- stawów rzepkowo-udowych
- stawów barkowych
- kręgosłupa
- stawów kolanowych
- kontuzji sportowych
- po zwichnięciach stawów
- urazów mięśni
- więzadeł
- po złamaniach

Fizykoterapia

Masaż leczniczy

Diagnostyka funkcjonalna

Rehabilitacja w uroginologii

Rehabilitacja po COVID-19

### Rezonans Magnetyczny 3T

Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

### Tomografia Komputerowa

Pełny zakres badań

### Diagnostyka

RTG, USG, EEG, EMG

## CMS i Wracasz do gry!

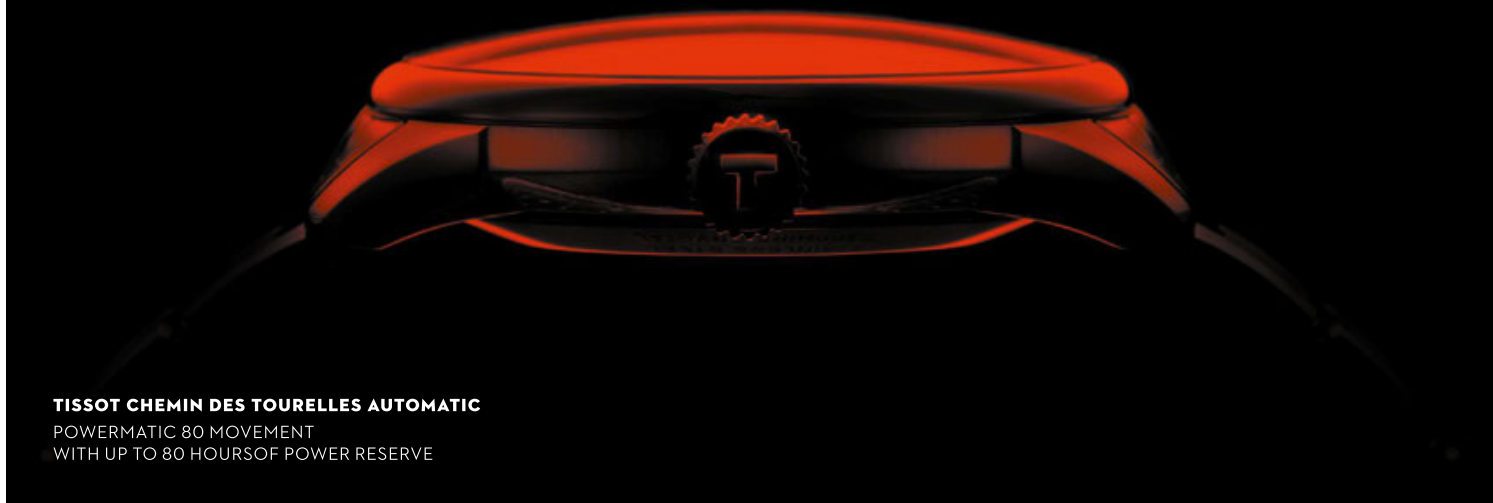
Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

# T + TISSOT



**TISSOT CHEMIN DES TOURELLES AUTOMATIC**  
POWERMATIC 80 MOVEMENT  
WITH UP TO 80 HOURS OF POWER RESERVE



FACEBOOK.COM/TISSOT

OFICJALNY SKLEP INTERNETOWY [TISSOTWATCHES.COM](http://TISSOTWATCHES.COM)  
TISSOT, INNOVATORS BY TRADITION